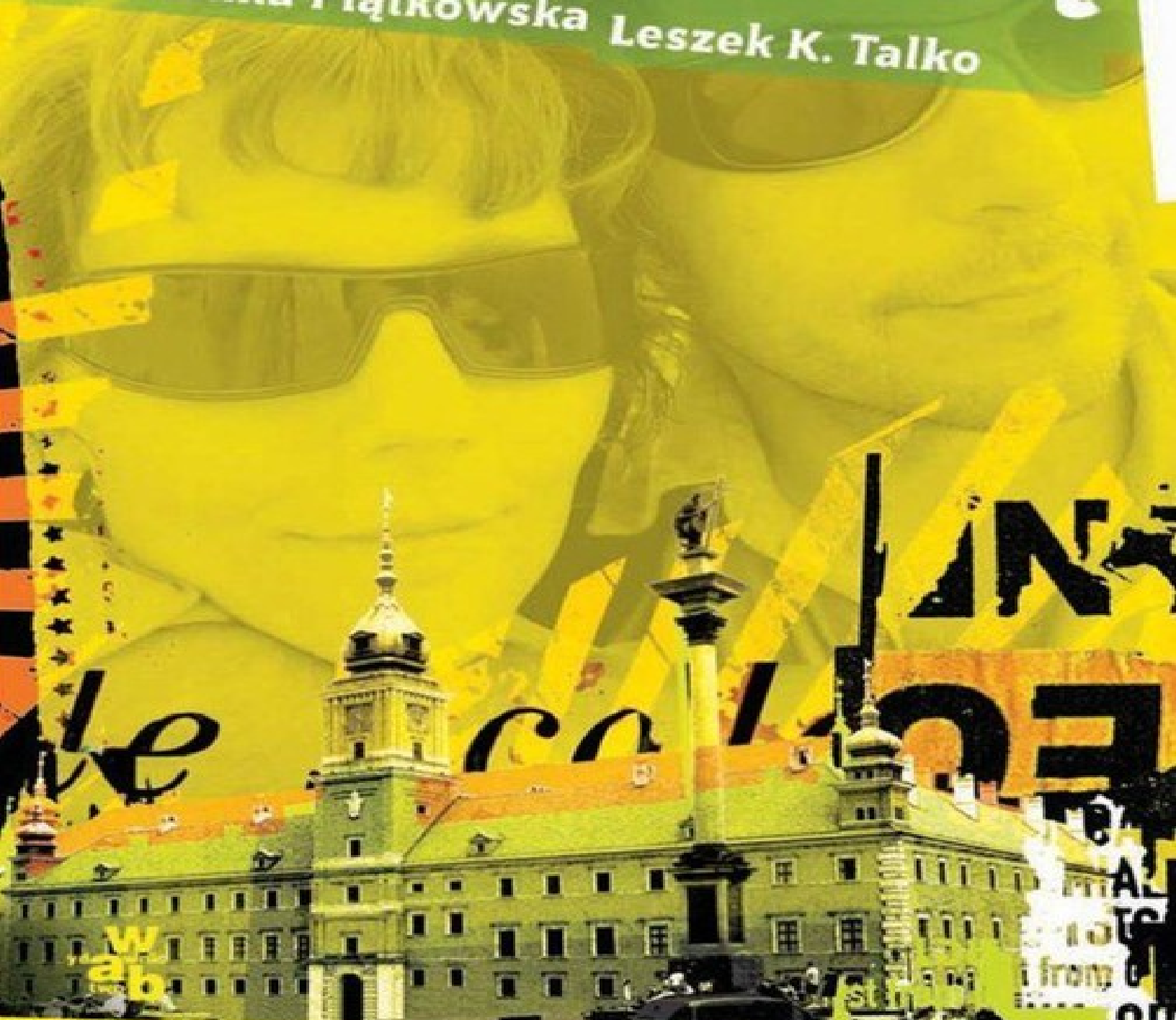


Talki z resztą

Monika Piątkowska Leszek K. Talko



Absurd wielkomiejskiego świata, przywodzący na myśl filmy Barei.
„Gazeta Współczesna”

Monika Piętkowska Leszek K. Talko

Talki z resztą

Copyright © by Monika Piętkowska, Leszek K. Talko, 2005 Wydanie I Warszawa 2005

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.

Spotkanie

Siedzieliśmy na kanapach z ponurym wyrazem twarzy.

- A więc, Talko, znowu chcesz nam to zrobić? - westchnął Roszko.

- Co chce zrobić? - zainteresowała się pani Roszko.

- To, co robi zwykle, obsmarować nas w tych swoich opowiadankach - mruknął groźnie Kazik.

- Ależ słuchajcie, ja to wszystko zmyślam - zapewniłem ich. - Wszystkie osoby i zdarzenia opisane w tej książce są zupełnie fikcyjne, o proszę, sam to napisałem i zaręczyłem własnym nazwiskiem. Wszelkie podobieństwo do osób żyjących jest czysto przypadkowe.

- Tak? - zdziwił się Roszko. - To dlaczego wciąż piszesz, że jestem skąpy? No powiedzcie sami, czy jestem skąpy?

- Weźmy lepiej jakiś inny przykład - przerwała mu pani Roszko. - Można by sądzić, że jestem jakąś kretynką, która nic innego nie robi, tylko strofuje swojego męża. A przecież warto by napisać coś o tym, że kocham sztukę i zaczęłam malować obrazy.

- Na pewno wspomnę - zrezygnowany skinąłem głową.

- Nie zapomnij o mnie - syknął Edzio. - Nabijasz się wciąż z moich wierszy...

- Skąd, bardzo je cenię - przerwałem słabo.

- Nabijasz się, ale nigdy ich nie cytujesz. A może jednak ta garstka czytelników, którzy kupią twoją książkę, chciałaby sama wyrobić sobie pogląd o mojej poezji. Masz tu mój najnowszy zbiorek, na razie wydany napowielaczu, więc to biały kruk. Możesz któryś zacytować.

- Edziu, one mają po kilka stron.

- A więc tyle jest warta dla ciebie przyjaźń - oburzył się Edzio.

- Zobaczą, co da się zrobić - skapitulowałem.

- A ja chciałem tylko powiedzieć, że nie można mnie przedstawiać wyłącznie jako człowieka zachwycającego się swoimi włosami - dorwał się do głosu Kazik.

- Kiedy czytam te wasze felietoniki, mam wrażenie, że cały dzień spędzam przed lustrem.

- No przecież cały rano dobijałam się do łazienki - narzeczona Kazika dała mu sójkę w bok.

- Mnie bardzo bawi, jak Kazik układa sobie włosy - zachichotała pani Roszko.

- Ale te fragmenty o mnie to - wybaczone, Talko - same nudziarstwo i nieprawda.

- O przepraszam, mnie rozbawiły do łez - zaśmiał się Edzio. - Zwłaszcza to, jak robisz zakupy.

- Lepiej już pisz wiersze - odcięła się pani Roszko. - Naprawdę są niezamierzenie komiczne.

- W porządku - podniosłem ręce do góry. - Jeszcze jakieś życzenia?

- Mógłbyś nie pisać, że jestem dyrektorem personalnym - obruszył się Roszko. - To poważna funkcja, a te wasze felietoniki są jednak na innym poziomie. Przyłapałem moją sekretarkę, jak je czytała pod biurkiem. Rozumiecie chyba sami, miałbym nieprzyjemności,

gdyby się wydało, żejatoja.

- Przecież sam powiedziałeś, że ty to ty - wybałuszyłem oczy.

Do dziś pamiętam rozanieloną twarz Roszka, który wepchnął się do wspólnej fotografii, kiedy z okazji wydania książki pojawiła się dziennikarka.

- Powiedziałem: nie potwierdzam i nie zaprzeczam

- skorygował Roszko. - A sfotografowałem się jako twój przyjaciel, *incognito*.

- Jednym słowem chodzi o to, żebyście pisali trochę poważniej - podsumowała pani Roszko. - O tym, o czym czytelnicy będą chcieli czytać. O tym, jak wychowujemy szczęśliwe dziecko, jak pan Roszko robi karierę, jak rozwija się moja kariera malarska...

- I wiersze, koniecznie moje wiersze - wtrącił się Edzio.

- Eeeee, kto je przeczyta - skrzywił się Roszko.

- To już lepiej coś o moich przemyśleniach na temat kultury korporacyjnej.

- Kochanie, o kulturze to ty nie masz pojęcia - zgasiła go pani Roszko. - Coś o sztuce, mam szalenie interesujące poglądy na sztukę i pamiętaj, że maluję.

- Chcesz malować - uściślił Roszko.

- Ależ oczywiście, że maluję. Maluję pawia - wyjaśniła pani Roszko. - Mam już wszystko opracowane, tylko usiąść i namalować.

- Mniej o moich włosach, a więcej o mnie jako prywatnym przedsiębiorcy z sukcesami - przerwał jej Kazik.

- Można by też podać telefon do mojej firmy eventowej na wypadek, gdyby ktoś przeczytał te wasze kawałki. Mam zresztą nadzieję, że ta książka będzie lepsza od poprzedniej.

- Oczywiście - potwierdziłem. - Reasumując: Kazika nie śmiesz opowieści o tym, że kocha swoje włosy, ale śmiesz historyjki o Roszku, Roszka irytują opowieści o jego biurze i chciałby więcej o sobie jako czułym ojcu i korporacyjnym wizjonerze, Edzio nie chce, aby pisać, że wszystkich nudzą jego wiersze, wolałby więcej o malarstwie pani Roszko, które go śmieszy do bólu. Ale pani Roszko chce, żeby było poważnie. Czy tak? Super, że mieliście tyle konstruktywnych uwag.

- Drobiazg. W końcu od czego ma się przyjaciół - machnął ręką Kazik. - No i może by na okładce dać nasze zdjęcie. W końcu tak naprawdę to my jesteśmy autorami.

- O nie - zaprotestowała pani Roszko. - Na wspólnych zdjęciach źle wychodzę.

- Dobrze, że się zgadzamy - uśmiechnęła się milcząca do tej pory najlepsza z żon. - W końcu to książka o przyjaźni.

- No właśnie - ucieszył się Edzio. - Tak *a propos* przyjaźni. Pożycz stówę.

Ekscytujące życie

Nie wiem, naprawdę nie wiem, co mnie podkusiło, żeby założyć sobie bloga. Chyba pozazdrościłem Roszkowi, który chełpił się, że jest na czasie, że teraz bloga ma każdy, więc on, Roszko, nie chce pozostawać w tyle i podzielił się ze światem radościami swoich sukcesów.

- Rozumiesz, Tałko - perorował. - Czysta prawda, rzesze czytelników i ta popularność! Czy wiesz, że moją notkę o tym, jakim jestem ludzkim dyrektorem, przeczytało dwieście trzydzieści siedem osób?!

- Imponujące - wyraziłem ostrożny entuzjazm. - A komentowali jakoś to, że musiałeś zrobić cięcia i zwolniłeś sekretarkę?

- Co? No nie, wiesz, jakoś zupełnie wypadło mi z głowy, żeby o tym wspomnieć. Pisałem głównie o nagrodach motywujących, które przyznałem, i radosnej, twórczej atmosferze. Wiesz, jakaś dziewczyna napisała mi, że chciałaby, aby jej dyrektor był takijakja. - Roszko dumnie uderzył się w pierś.

- Aha, zespół na pewno był zachwycony, że na święta każdy dostał dwadzieścia złotych więcej, a ty zgarnąłeś dwa tysiące.

- No wiesz! - oburzył się Roszko. - Te dwa tysiące dostałem od prezesa z całkiem innej pułi - motywowania dyrektorów. Nie przyznałem ich sobie sam.

Pokiwałem głową. Rzeczywiście, jeśli chodzi o Roszka, to sam przydzielił tylko premie dla zespołu.

Uznał przy tym, że zespół nie okazał się bardzo twórczy, więc przesunął fundusz nagród na fundusz reprezentacyjny i zaprosił mnie na kolację.

Pomysł z blogiem wydał mi się całkiem niezły. W końcu miałem tyle ekscytujących myśli, którymi chciałem się podzielić ze światem. Nawet w przestrzeni wirtualnej.

- Poza tym to internet, czyli anonimowość - zniżył głos Roszko. - Nikt cię nie rozpozna i możesz pisać, co chcesz.

To mi trafiło do przekonania. Już następnego dnia założyłem sobie ślicznego bloga, w którym zamierzałem opisać moje prawdziwe życie.

Poniedziałek

Napisałem pierwszą notkę. O tym, jak spotkałem się z Roszkiem, i o tym, że przy sąsiednim stoliku siedziała taka blondyna, że szczęki nam opadły, a Roszko z wrażenia zapłacił za mnie rachunek, co zdarzyło mu się ostatni raz pięć lat temu. Dowiedzieliśmy się, że blondyna ma na imię Basia, jest fotomodelką i pozuje fotoamatorom.

Chciałem napisać coś więcej o tym, jak błysnęła nam myśl, że właściwie podpadamy pod fotoamatorów jako posiadacze aparatów fotograficznych i że zawsze chcieliśmy zająć się portretem, a może i aktem - oczywiście artystycznym - ale w tym momencie najlepsza z żon zawołała z kanapy: „A co ty tam tak pisziesz?” Pomyślałem, że właściwie spotkanie z Basią nie było tak ważne, jak mi się wydawało, i mogłoby przez niektórych zostać opacznie zrozumiane, gdyby te niektóre trafiły przypadkiem na bloga, i skasowałem notkę. Zostało tylko to o Roszku - może przeczyta i jeszcze kiedyś zapłaci za mnie?

Wtorek

Napisałem, co mi się nie podoba w pracy. Ho, ho, ależ się tego nazbierało. Przy okazji przypomniało mi się, że niektórzy ze znajomych wcale nie są tacy wybitni, jak im się zdaje, więc dołożyłem też kilka słów o tym. Byłem dumny i bezkompromisowy. Anonimowi internauci utwierdzali mnie w moim przekonaniu.

„Nie daj się” - pokrzepiła mnie jakaś dziewczyna podpisująca się „Czarodziejka”, a inna zastanawiała się, czy tak wybitny umysł jakja spotyka się może z wielbicielekami.

Nie odpowiedziałem tak czy nie, bo sam nie wiem. Z nieznanymi kobietami się nie spotykam, bo co by powiedziała najlepsza z żon. Ale z wielbicielekami? Właściwie to może i tak. Przecież wielbiciel nie ma płci i wszystko jedno, czy jest kobietą, czy nie, i czy jest szczupłą brunetką, czy nie.

Chociaż z drugiej strony... Może jednak ma to znaczenie?

Środa

Zadzwoił Roszko i zapytał, czy z byka spadłem. Zapytałem, o co mu chodzi, kończąc właśnie kunsztowną notkę o Edziu. Ech, ten Edzio, niby poeta, ale jednak marny. Zawsze musiałem chwalić jego wiersze, ale ani w ząb ich nie rozumiałem. No i to jego pożyczanie pieniędzy i ustawiczne wpadanie do nas na śniadanie. Z początku miłe, ale z czasem jednak frustrujące. Zakończyłem notkę zdaniem: „Gdyby tylko chciał, znalazłby jakąś normalną pracę i przestał nam zawracać głowę. Za tę jego bezkompromisowość płacę przecież ja. On mijeszczę nigdy nie oddał żadnych pieniędzy”. Nie chciałem się zdekonspirować, więc zamiast Edzio pisałem E.

- Talko, czyś ty zwariował?! - pytał tymczasem Roszko. - Przeczytałem twoją notkę o pracy, a co będzie, jak w pracy też ją przeczytają?

No tak, to mi nie przyszło do głowy. Szefowie nie byłiby pewnie równiejak Czarodziejka zachwyceni moimi epitetami. Skasowałem notkę o pracy i zamiast tego machnąłem notkę o tym, że najlepsza z żon wciąż mnie goni do roboty zamiast się cieszyć z tego, że ma takiego wspaniałego męża. Znowu męczyła mnie za okruszki na blacie. Tak jest mądra? A ilu mężów robi zakupy i gotuje codziennie? No ilu?

Czarodziejka odpisała natychmiast, że chyba żaden, i zachwyciła się moimi umiejętnościami. Niesamowite, a od najlepszej z żon dobrego słowa nie usłyszałem o swoim barszczyku.

Czwartek

Skasowałem tę notkę o żonie. O Edziu też. Niby ukryłem ich pod pseudonimami - najlepszą żonjako NŻ - ale licho nie śpi. Poza tym znowu dzwonił Roszko, znowu pytał, czy upadłem na głowę, i radził zajrzeć najego bloga. Zajrzałem, ale nic nie rozumiem. Sądząc z bloga, to Roszko zajmuje się w pracy podnoszeniem podwładnych na duchu. Przed siedemnastą sam wypycha ich za drzwi, żeby się nie przepracowali. Dopytuje stale o ich sytuację rodzinną, a jeśli któryś się zakocha, natychmiast udziela mu urlopu. Kiedy się odkocha - na otarcie łez dostaje premię. Na ulicy Roszko wspomaga biedaków, natomiast w domu zajmuje się nieustannie dzieckiem. Nic dziwnego, że pod każdą notką wpisują mu się zachwycone czytelniczki, zazdroszczące jego żonie posiadania tak niezwykłego męża.

Czy ja kiedyś widziałem, żeby Roszko zajmował się dzieckiem? Widziałem, właśnie sobie przypominałem. To było wtedy, jak poszedł z Robciem do parku i czytał gazetę, a Robcio kąpał się w fontannie w ubraniu.

Piątek

Rano pokłóciłem się z najlepszą z żon, a po południu napisałem notkę o tym, że kochamy

się do szaleństwa i że obsypałem ją rana tulipanami, natomiast ona zrobiła mi ciasto i zadzwoniła do mamy, zachwycając się jakimś ma wspaniałego męża. To rzeczywiście działa. Co prawda najlepsza z żon nadal się do mnie nie odzywa, ale mam już dziesięć komentarzy o tym, że jestem supermężem, a Czarodziejka wzdycha, że zagapiła się i nie zaklepała mnie, kiedy byłem wolny, ale może nie jest jeszcze za późno.

„Nigdy nie jest za późno” - odpisałem, a ona przysłała mi zdjęcie. Nawet fajne, z plaży. Napisała, że innego nie ma.

Sobota

Cały dzień siedziałem w domu, bo nic mi się nie chciało, ale przecież nie mogłem zostawić swoich czytelników samym sobie. Opisałem żywym stylem, jak całe rano biegałem, żeby nadrobić trochę formę i utrzymać wklęsły brzuch, a potem skoczyłem nad rzekę oglądać cietrzewie o wschodzie słońca. Wróciłem i trenowałem golf industrialny, a potem zabrałem żonę na romantyczną kolację. Żona wzdychała z zachwytu, patrząc na moją umięśnioną sylwetkę. Jakaś dziewczyna napisała mi: „Ty to masz ekscytujące życie”.

W życiu realnym najlepsza z żon zaczęła się do mnie odzywać, ale tylko po to, by mi powiedzieć, że zaczęły mi się robić boczusie i mógłbym rzucić albo przynajmniej ograniczyć słodycze.

Nienawidzę tego prawdziwego życia.

Niedziela

Dziś cały dzień spędzę na lodowisku, a w przyszłym tygodniu lecę surfować na Rodos. Wspieram jeszcze sieroty i dokarmiam bezdomne zwierzęta, a poza tym wyciągam na jaw afery i walczę o uczciwość. Najlepszą z żon zabieram zaś do Wenecji.

Ja to mam ekscytujące życie!

Dlaczego kobiety mają makijaż w łóżku

No właśnie. To zasadnicze pytanie dręczy najlepszą z żon, fankę telewizyjnych seriali od niepamiętnych czasów. Uporała się już nawet z kwestią być albo nie być, a to przy pomocy rewolucyjnej przewrotki: wszystko jedno, jestem głodna, zrób, Talko, coś na kołację. Ale dlaczego ten makijaż?

- Nie wołno się wstydzić tego, jak się wygląda, że tak powiem, w sosie własnym - mówi najlepsza z żon.

Oto jedno z naszych miłych popołudni. Najlepsza z żon, która nikomu dziś poza mną i dziećmi nie musiała się pokazywać, jest właśnie w idealnym sosie własnym. Bez brwi i oka siedzi na kanapie w starych gaciach od dresu i je niedozwołone chipsy, popijając cołą light wprost z butelki, bo szkoda brudzić szklanki. Za nią kurzy się zabytkowe pianino, na którym kiedyś grała mi patriotyczne kawałki w łatwym opracowaniu, ale teraz jej się nie chce. W tle widzimy też komputer, na którym niegdyś pisała swoją mroczną powieść, ale zarzuciła ją, kiedy zrozumiała, że można na komputerze oglądać filmy.

Reszty tej naprawdę miłej rodzinnej sceny dopełniają pasące się na podłodze nasze dzieci, brudne, ale szczęśliwe w gigantycznym bałaganie stworzonym z rozwłóczonych koców, żołądki, chrupek bezglutenowych, kocich kłaków i samych kotów.

- No i patrz na te aktorki - mówi najlepsza z żon. Gdyby spotkało ją to samo nieszczęście co żonę Lota, ludzkość odkryłaby ją skamieniałą z ręką przedłużoną o pilota telewizyjnego, którym niepodzielnie rządzi. - Babka dopiero co wstała z łóżka, a już ma ułożone włosy, szminkę, nie mówiąc o podkładzie. Ja tego nie rozumiem. To wina reżyserów czy tych aktorek? Może one mają to w kontrakcie?

Nie odpowiadam. Za naszymi oknami melancholijnie zachodzi słońce, a ja idę po aparat fotograficzny. Uwielbiam swoje zdjęcia z dzieciństwa, zwłaszcza te, na których widać jeszcze jakieś życiowe tło, matkę przy praniu czy coś takiego. Najlepsza z żon też je uwielbia.

- I dlatego właśnie - ciągnie swoje najlepsza z żon z za porcj i chipsów - współczesne kobiety ganiają na operacje plastyczne i rocznie zjadają pół kilo szminki. Bo ciągle widzą te wypięknione aktorki na kanapach. A życie kobiety toczy się w kuchni również w gaciach dresowych. O, będziesz robił zdjęcia?

- Taki reporterski zapis chwili. Dzieciaki zobaczą, jak to kiedyś wyglądało.

To jest ostatnia kwestia, którą wypowiadam w tym dniu oraz w tym felietonie, bowiem...

- Fantastyczny pomysł - odpowiada najlepsza z żon. - Zabiorę stąd te koce, no bo jak to będzie wyglądało, że one w takim bałaganie siedzą. Chrupki zamieciemy pod kanapę. Poczekaj chwilę. On szarpie siostrę za włosy. Synu, usiądź grzecznie, mamusia cię wyczyści, i teraz daj siostrze buzi. No, rób szybko zdjęcie, jakoś go przytrzymam. Rany, nie widzisz, że masz w tle telewizor? Wyłącz go. Telewizor to wróg życia rodzinnego, nie? Dobra, teraz, synku, przytul siostrę na tle tego pięknego plakatu. Czemu mi, Talko, robisz zdjęcie? Przecież muszę się umalować. Rany, jakie mam okropne włosy, chwile potrwa, zanim je ułożę. Dobra, te letnie spodnie będą super wyglądały, i do tego top. OK, to teraz zabierz te chipsy. No i dlaczego robisz zdjęcie z butelką coli? Daj mi kieliszek wina. I co z

tego, że nie znoszę wina? Daj w ładnym kieliszku. Nie od góry. Od góry mam ostrąbrodę. I nie teraz, jak syn szarpie mnie za włosy. Gdzie idę? Po książkę. To będzie zdjęcie „wieczór z książką”. O, ta jest gruba, kiedyś ją na pewno przeczytam. No już, rób mi, jak siedzę na kanapie i czytam, a dzieci baraszkują u moich stóp. Dzieci, baraszkować. Teraz przy pianinie. Mamusia gra. Tylko pamiętaj, lewy profil z lekko pochyloną głową, OK? Nie, jednak zabierz dzieci. One nie rozumieją, że mamusia tak ładnie gra *Pożegnanie ojczyzny*. No i czemu płaczecie? Ojczyzna wciąż jest nasza. Talko, nie rób, jak płaczą, nasze dzieci są przecież szczęśliwe. Do diabła, nocoja mówię, masz mi nie robić zdjęć z zaskoczenia! Nie możesz mi zrobić zdjęcia, kiedy tak po prostu opieram się zamyślona o ścianę, z lewym profilem? Co sztuczne! Ty nawet nie wiesz, ile ja się opieram o ściany, bo ciągle cię w domu nie ma. Poczekaj, jeszcze tylko sprawdzę, nie, teraz mi nie rób. Zjadłam, kurczę, szminkę. Dobra, teraz się opieram. A teraz w sypialni, jak leżę, tylko poczekaj, bo oko mi się rozmazuje i muszę jeszcze ułożyć włosy. Na poduszce ułożyć, nie martw się, no, że się rozsypują, a to nie jest takie proste. Te lakiery *extra strong* są naprawdę *strong*. No, już je rozsypałam. Nie, ta poduszka jest biała, na białej źle wyglądam. Daj czerwoną. W porządku. No więc leżę i marzę o przyszłości. Tylko z lewego profilu! Będziemy mieli wspaniałą pamiątkę.

Człowiek dobrej roboty

Jedną z większych przyjemności pokarnawałowych jest wręczanie dorocznych nagród dla niezastąpionych przedstawicieli dyrektorskiego szczebla przyznawane przez prezesów i oklaskiwane przez zespół - zwany dalej zasobem ludzkim - na specjalnie w tym celu zwołanych zebraniach.

Tego roku już po raz drugi taką nagrodę otrzymał i mój przyjaciel Roszko, największy znany mi obibok. Roszko, który - ilekroć odwiedzałem go w jego dyrektorskim gabinecie - grał w gry komputerowe lub ćwiczył minigolfa. Nagroda wiązała się z gratyfikacją pieniężną i dwoma luksusowymi biletami lotniczymi w obie strony do dowolnego zakątka świata i z powrotem, które Roszko położył właśnie na naszym stoliku do kawy, wachlując się nimi, kiedy obok przechodziła długonoga kelnerka.

- Jak? - wysapałem nie bez zawiści. - Jak to zrobiłeś, leniu?

Roszko zakręcił w dłoniach filiżanką z espresso i spojrzał na mnie z politowaniem.

- Powiem ci, durnoto - zaczął - pod warunkiem, że nie umieścisz tego w tych beznadziejnych felietonach, w których robisz ze mnie sknerę i nygusa.

Przytaknąłem: jakżebym śmiał upubliczniać prywatne sprawy Roszka, i czym prędzej włączyłem minidyktafon, który noszę ze sobą, odkąd tak bardzo wszedł w modę.

- Otóż, Talko - zaczął Roszko - opracowałem metodę. Nie było to łatwe, oj nie - rozczulił się - wiele lat przepracowałem na podrzędnych stanowiskach zwykłego kadrowego, zaharowywałem się, brałem robotę do domu, ciąłem koszty papieru, kawy, zgłaszałem inicjatywy, słowem, byłem niezastąpiony, a po roku zastępowano mnie kimś innym. Aż pewnego dnia, gdy cudem i dzięki pewnym rodzinnym koneksjom awansowałem na dyrektora, olśniło mnie.

Pominę półgodzinny fragment o tym, jak Roszka olśniło, przejdę do podniecających szczegółów metody, która ijego uczyniła niezastąpionym.

- Moj a praca - ciągnął Roszko - zaczyna się wprawdzie o ósmej, ale nigdy nie przychodzę na czas. Piję spokojnie w domu kawę i zjawiam się na dziewiątą piętnaście, akurat wtedy, gdy prezes wsiada do windy. On zasnął, ale twierdzi, że był na basenie, żeby nabrać sił do dalszej pracy, ja zaś mam ze sobą przepocony kostium na siłownię. Zespół już jest. Dzień wcześniej kazałem im zrobić zestawienie do zestawienia o zasobach ludzkich i dać mi to na ósmą na biurko. Pamiętaj, jeśli kiedyś zostaniesz dyrektorem, w co osobiście bardzo wątpię, zawsze żądaj wszystkich dokumentów na ósmą rano. Twoi pracownicy będą musieli siedzieć do późna albo nawet zarwać noc...

- Roszko, jesteś potworem - wycelowałem w niego widelec.

- Skąd - uśmiechnął się rozbrajająco. - Ja po prostu sprawiam, że czują się potrzebni. Jakby wyglądało ich życie, gdyby tak po prostu pakowali teczkę i szli o siedemnastej do domu? A tak mają wrażenie, że uczestniczą w wielkiej przygodzie i muszą się sprawdzić, ba, dogonić inne firmy, wspiąć się na szczyty swoich umiejętności. Wracają potem do domu i mówią: Ha, dobry jestem, dałem sobie radę.

„Raczej wracają i mówią: Ale ten mój szef to kretyn” - chciałem powiedzieć, ale po namyśle nic nie powiedziałem. Po co denerwować Roszka? Zwłaszcza że tym razem chyba

nawet wierzył w to, co mówił.

- Biorę to zestawienie i każę je kserować sekretarce, a reszcie dopisać aneks do zestawienia i przygotować listę firm szkoleniowych na jutro na ósmą na biurko ze wszystkimi szczegółami, i w ten sposób osiągam osiem kilogramów wyprodukowanych papierów na miesiąc.

- Na Boga! - zakrzyknąłem. - Ale po co?

Roszko zaśmiał się do swojej filiżanki.

- Cóż, drogi głupcze - powiedział. - Ostatecznie, jak już firma przyjęła pracowników, to ich ma, dopóki ich nie zwolni, i na tym się kończy moja praca jako dyrektora personalnego. A pracować trzeba. Pomyśl tylko, kogo prezes by zwolnił jako pierwszego, gdyby zaczął podejrzewać, że nie mamy nic do roboty? Więc biorę te papiery i chodzę z nimi kwadrans, przeglądając je z ołówkiem, aż spotkam dyrektora finansowego z jego papierami i razem idziemy na plotki i kawę.

- To znaczy, że lenisz się cały dzień?

- Ależ skąd - powiedział Roszko. - Każdego dnia robię jedno dwugodzinne zebranie zaplanowane, jedno spontaniczne i jedną szybką naradę z aktywem działu na temat: bieżące pomysły. Ta ostatnia narada koniecznie gdzieś o czternastej, kiedy dzwoni prezes, a sekretarka ma przykazane powiedzieć, że jestem na zebraniu zespołu i odezwę się za chwilę.

Reszty makiawelicznych pomysłów tego nieroba Roszka nie będę opisywał, a było ich sporo, aż do finału, gdy Roszko obwieszcza wszystkim, że będzie dziś pracował do późna, po czym nagły pilny telefon, który sam do siebie wykonuje, wyrывa go do domu. Szczyt cynizmu jednak Roszko osiągnął, gdy zapytałem go, co zatem robi przez ten cały czas, kiedy nic nie robi, a on odpowiedział: „Ćwiczę sztuczki barmańskie”. Sztuczki te prezentuje potem na dorocznym raucie, akurat tuż przed tym, jak przyznaje się nagrody, i nikt nie ma wątpliwości, jak bogatą osobowością jest Roszko - w sztuczkiach barmańskich nieźrównany.

Jestem człowiekiem prawym, więc napadłem na mojego przyjaciela, on zaś puknął się w czoło.

- Nic nie rozumiesz, Talko. Nie chodzi o to, co robisz, ale jakie robisz wrażenie. Ja na przykład nie jestem teraz z tobą na kawie, tylko na spotkaniu z prasą w celu - spojrzal do kalendarza - omówienia wybranych zagadnień z dziedziny komunikacji medialnej.

Byłem zdruzgotany. W końcu poszedłem na kawę z dobrym starym Roszkiem, a nie na spotkanie z dyrektorem *human resources* w celu napisania fascynującego tekstu o rekrutacji pracowników. To jest - przepraszam - w celu omówienia podejścia do zasobów ludzkich.

W domu czekała na mnie najlepsza z żon. Zamierzałem jej powiedzieć, jakim potworem stał się Roszko, ale zrobiła mi awanturę, że latam nie wiadomo gdzie, a ona siedzi z dziećmi sama, i co ja sobie wyobrażam. Powiedziałem więc, że nie latam byle gdzie, tylko spotkałem się z Roszkiem w celu omówienia strategii zainwestowania resztek naszych oszczędności w maksymalnie wydajny fundusz inwestycyjny przy użyciu kontaktów Roszka, dla poniesienia naszego poziomu życia.

- Jesteś wspaniały - powiedziała najlepsza z żon. - Nikt tak jak ty nie myśli o rodzinie.

Ogląd Roszka

Roszko zawsze był dziwny. Nie zdziwiłem się nic a nic, kiedy zadzwonił w zeszłym tygodniu i zapytał, czy nie mógłbym wpaść do niego do biura. Nie zdziwiłem się, kiedy powiedział, żebym zabrał ze sobą kalkulator i notes. W ogóle się nie zdziwiłem, mimo że w biurze Roszka bywam rzadko. Miało to, zdaje się, coś wspólnego z opinią Roszka, że rozpraszam zespół i nadwerżam morale, zwracając się do niego przy pracownikach: „Roszko, ty stary ośle”.

- Bądź co bądź jestem tu dyrektorem, Tańko - tłumaczył mi później. - Lubimy się i w ogóle, musisz jednak zrozumieć, że to ma fatalny wpływ na ludzi. Mogłoby zacząć wątpić w moje kompetencje. Umówmy się, że będziesz czekał w portierni.

- Mam poczekać w portierni? - zapytałem więc przezornie.

- Co? Nie. Skąd ci to przyszło do głowy! - prychnął Roszko. - Wał śmiało do mojego gabinetu.

- Więc tak - Roszko rzucił się na mnie, ledwo przekroczyłem próg. - Masz kalkulator i notes? W porządku. To przejdź się po firmie i zrób ogląd, co się marnuje.

- Jaki ogląd? - wytrzeszczyłem oczy.

- Normalny - uspokoił mnie Roszko. - Dajmy na to idziesz i widzisz, że stoją trzy kwiatki, a wystarczyłyby dwa. Albo, powiedzmy, czujesz, że jest ci za zimno, i można przykręcić klimatyzację.

- Roszko? - zapytałem podejrzliwie. - Ale wszystko w porządku?

- Tak, tak - machnął ręką uspokajająco. - Po prostu, rozumiesz, musimy zmaksymalizować osiągi. Wyeliminować marnotrawstwo. Konkurencja. Musimy być bardziej konkurencyjni i mieć mniejsze koszty.

- Ale dlaczego? - zdziwiłem się. - Ja się w ogóle nie znam na kosztach.

- I o to chodzi - podkreślił Roszko. - Ja tu pracuję już tyle lat, że żadnych kosztów nie widzę. A ty jesteś nowy. Idziesz korytarzem i widzisz ten zbędny kwiatek. Zapisujesz, i już jest optymalizacja kosztów.

- Kwiatek? - wybałuszyłem oczy. - A jak, na miłość boską, zoptymalizujesz kwiatek?

- Przenośnie mówię - obruszył się Roszko. - Idź już, idź. Pamiętaj, każdy koszt wpisuj do notesu i podliczaj.

- Chwila, skąd ja mam wiedzieć, jaki jest koszt kwiatka? - zacząłem, ale Roszko już wypchnął mnie z gabinetu i rozmawiał przez telefon.

Przeszedłem korytarzem, rozglądając się po ścianach i wypatrując obrazów, które można by zoptymalizować, ale żadnego nie zauważyłem.

- Może kawy? - zagadnęła mnie jakaś długowłosa blondynka.

- Bardzo chętnie - zgodziłem się, bo z reguły nie odmawiam długowłosym blondynkom.

Z kawą szwendałem się jeszcze pół godziny po korytarzach. Kwiatki były. Wpisałem je skrętnie do notesu, podobnie jak ksero, przy którym się zatrzymałem. Wróciłem do Roszka.

- Aaa, witam konsultanta - rozpromienił się Roszko. - I co tam słyhać?

- No więc tak - zacząłem, wpatrując się w zeszyt.

- Gdyby kwiatki prawdziwe zamienić na sztuczne, nie trzeba by ich podlewać.

- Genialne - sapnął Roszko. - Nie pomyślałem o tym. Przez rok na podlewaniu kwiatków firma traci, traci...

- Chyba nie tak dużo - podsunąłem.

- Nie masz pojęcia, jak często się je podlewa - zamknął sprawę Roszko. - Wpiszę pięć tysięcy.

- Dalej mamy ksero...

- Też o tym myślałem - Roszko aż podskoczył.

- Tujedna kopia, tam druga. Zamknie się na klucz, a klucz będę miał ja. Wpiszę dziesięć tysięcy. No, co mamy dalej?

- Właściwie już nic - przyznałem. - Trochę się włóczyłem, jakaś blondynka poczęstowała mnie kawą...

- Talko, jesteś genialny! - ryknął Roszko. - Kawa pięć tysięcy, blondynka dwadzieścia tysięcy.

- Ale kawa była bardzo dobra - zaoponowałem.

- I o to właśnie chodzi - Roszko aż podskoczył.

- Żadnej dobrej kawy za darmo dla obcych. Nie będzie takich rzeczy w moim biurze. Masz coś jeszcze?

- Eee, no nie - zamknąłem notes. - Pewnie można by drukować na mniej szym papierze bez marginesów albo pisać ołówkiem, a potem wycierać - zażartowałem.

- Ha, też o tym myślałem - ucieszył się Roszko. - Niby tu spinacz, tam gumka, ajeszcze gdzie indziej długopis, ale w skali roku robią się koszty. Talko, masz u mnie duże piwo.

Najbardziej mnie zdziwiło to, że Roszko rzeczywiście postawił mi to piwo.

- Centrala uznała, że poważnie podszedłem do kwestii cięcia kosztów - wyznał, ocierając pianę z brody. - Dostałem premię i podwyżkę.

- A kwiatki i kawa? - zapytałem.

- Zoptymalizowane - sapnął Roszko.

Nie zapytałem o sympatyczną blondynkę, bo było mi trochę głupio. Niecodziennie ma się okazję kogoś zoptymalizować.

Cokolwiek, kochanie

Historia zna wiele przypadków, kiedy skazaniec może prosić o wszystko, ale wybór jest ograniczony.

Dajmy na to, przed wejściem na szafot w ramach ostatniego życzenia można domagać się hamburgera albo papierosa, ale prośba o zwolnienie raczej nie wchodzi w rachubę. Podobnie z życiem małżeńskim. Na przykład kilka dni temu najlepsza z żon zastrzeliła mnie z pozoru niewinnym pytaniem:

- Wiesz, że zbliżają się walentynki?

- Mhm - zagrałem na czas.

- Ciekawe, co wymyślisz - zastanowiła się najlepsza z żon. - Nie, nie, nic nie mów. Sama zgadnę.

Odetchnąłem w duchu, bo tak się składa, że w nawale zajęć w ogóle zapomniałem, że istnieją jakieś walentynki, co dopiero mówić o planach.

- Ach, pamiętam nasze pierwsze walentynki - rozmarzyła się najlepsza z żon. - Poszedłeś wtedy pieszo po kwiaty przez śnieg i zawieruchę.

- Nic wielkiego, do miasteczka miałem marne trzy kilometry i wcale nie było tak zimno, najwyżej minus piętnaście - machnąłem niedbale ręką.

- A na drugie walentynki napisałeś mi taki piękny wiersz i wręczyłeś w ozdobnej tubie z pieczęcią - rozmarzała się dalej najlepsza z żon.

- No tak, ale wtedy mieliśmy o wiele więcej czasu, nie było jeszcze dzieci - skontrolowałem, bo spostrzegłem, że rozmowa zdążyła w potencjalnie groźnym kierunku.

- To dopiero była niespodzianka - ciągnęła najlepsza z żon, jakby mnie nie słyszała. - Ciekawe, czym mnie zaskoczysz w tym roku, ale nie mów, sama zgadnę. Może romantyczna kolacja we dwoje w jakiejś nowej małej knajpce, co?

Zanim zdążyłem się ustosunkować do małej knajpki i przypomnieć, że romantyczne kolacje są urocze, ale tylko wtedy, kiedy nie bierze się na nie przychówku, a na to są raczej marne szanse, bo opiekunka wyjechała, rodzice daleko, a przyjaciele na wzmiankę o tym, że mogliby zostać na kilka godzin z naszymi pociechami, przypominają sobie o pilnej służbowej delegacji na drugi koniec Polski - najlepsza z żon powiedziała:

- Nie chcę nic sugerować. To przecież może być cokolwiek, kochanie.

Kiedy najlepsza z żon mówi „cokolwiek”, to dla męża oczywiste jest, że chodzi o realizację jej ostatniej myśli. Zapewne podobne zasady panują w dyplomacji. Jeden prezydent szepcze drugiemu na ucho, że byłby zachwycony, gdyby zniknęło jakieś cło, została podpisana jakaś umowa czy gdyby kogoś wypuszczono z więzienia lub do niego wsadzono. Prezydent jest w o tyle lepszej sytuacji, że może wezwać zaufanego szefa gabinetu i powiedzieć, aby się tym zajął. Co mają jednak zrobić męż?

Pojechałem rozejrzeć się za małą romantyczną knajpką, co zajęło mi cały dzień, a kiedy szczęśliwy wróciłem do domu, nie zdążyłem powiedzieć ani słowa. Najlepsza z żon siedziała na kanapie i przeglądała pismo.

- Wiesz, cieszę się, że to jednak nie mała knajpka. Spójrzmy prawdzie w oczy. Romantyczny wieczór nie wchodzi w rachubę - mamy przecież dzieci. Ale jest tyle innych

możliwości, zobacz to zdjęcie, jaki ładny złoty wisiołek. Znając ciebie, wiem, że na pewno coś wymyślisz.

- A co? - wypaliłem.

- Cokolwiek, kochanie, cokolwiek - uśmiechnęła się najlepsza z żon.

Już chciałem iść do sklepu po ten wisiołek, kiedy najlepsza z żon przyjrzała mi się podejrzliwie.

- Poczekaj, nie chcesz chyba kupować mi tego wisiora? Kosztuje masę pieniędzy, absolutnie nas na to nie stać.

- To co byś chciała? - westchnąłem ciężko.

- Cokolwiek - powiedziała najlepsza z żon. - Naprawdę drobiazg bez znaczenia.

Cały następny dzień spędziłem w sklepach, rozglądając się za prezentami. Potem przejrzałem oferty wyjazdów w romantyczne miejsca - niestety, nikt nie umiał mi powiedzieć, jak pogodzić romantyzm w Wenecji z dwójką dzieci.

- Kiedyś byłeś taki romantyczny - westchnęła najlepsza z żon. - Pamiętasz, jak czekałeś na mnie w deszczu przez godzinę?

- No cóż, nie miałem wtedy samochodu - mruknąłem.

- A pamiętasz tę wiosnę, kiedy zebrałeś wszystkie kwiaty z łąki? - rozmarzyła się najlepsza z żon.

- Nie mieliśmy kompletnie pieniędzy - powiedziałem. - Nie było innego wyjścia.

- Albo ten dzień, kiedy zaśpiewałeś mi swoją piosenkę?

- Eee - skrzywiłem się. - Wiesz przecież, że nie mam głosu. Zaśpiewałem, bo nie stać mnie było na kolację.

- To były romantyczne czasy. A co będzie w tym roku? - zapytała najlepsza z żon. - Albo nie, nic nie mów. Niech to będzie cokolwiek.

Bądź sobą

Ponury nastrój naszedł Roszka gdzieś tak tydzień temu.

- Robię się coraz starszy, nie awansuję, podwyżki nie dostałem - wyżałał mi się, leżąc na kanapie.

- Nie przesadzaj - zgasilem go. - Jesteś dyrektorem, zmieniłeś samochód, byłeś na Dominikanie.

- E tam - Roszko machnął ręką. - W moim wieku Aleksander Wielki podbił cały świat.

- W twoim wieku to on już nie żył - sprostowałem.

- E tam - machnął ręką Roszko. - Widziałem się z Mattim. On twierdzi, że nie udaje mi się, bo niejestem sobą.

- A kim jesteś? - zdziwiłem się.

- Tego nie wyjaśnił - godnie odparł Roszko. - W każdym razie opowiadał, że on jest sobą i dlatego ma takie sukcesy, latają za nim te hostessy, których nogi się nie kończą, i ciąglejeździ po świecie.

- No dobra, Roszko. To kim ty jesteś?

- Tego właśnie nie wiem - przyznał Roszko.

Od tej rozmowy minęło kilka dni, które spędziliśmy na wertowaniu gazet. Wszystko zdawało się potwierdzać tezę Mattiego. Jakaś słynna aktorka opowiadała, że nie wysiła się nic a nic. I na ekranie, i poza ekranem jest po prostu sobą. Inny z koleji znany z telewizji człowiek mówił, że nieważne jest doświadczenie, nieważne są układy. Liczy się tylko to, żeby być sobą.

- To znaczy, masz nie udawać! - wyciągnąłem logiczny wniosek.

- Ja? Udawać? W życiu - oburzył się Roszko. - Ja nigdy nie udaję.

- Nigdy? - zdziwiłem się.

- Podaj choć jeden przykład - zirytował się Roszko.

- A niedzielne obiady u teściów? Nienawidzisz ich, ale zawsze mówisz, że to wspaniała okazja do konfrontacji poglądów.

- No i co? - oburzył się Roszko.

- Sam mówiłeś, że teść wyszedł, trzaskając drzwiami, kiedy powiedziałeś, że nie zamierzasz dowiadywać się, kim był Toulouse-Lautrec, bo to nie przyda się do polityki personalnej firmy.

- Bo się nie przyda.

- Może i nie, ale jednak trudno żyć w zgodzie z teściami, będąc dyrektorem, jeśli oni sądzą, że powinieneś być artystą.

- Teściowie się nie liczą - Roszko machnął ręką. - Raz w tygodniu można wytrzymać.

- A wizyty w teatrze z panią Roszko, chodzenie do opery, chodzenie na zakupy, kuchnia pani Roszko, praca - przecież nie znosisz szefa!

- Dobra, dobra, wystarczy - Roszko zamachał rękami. - Może rzeczywiście czasem nie jestem sobą. Ale to się zmienia. Od dzisiaj.

Nie miałem okazji oglądać Roszka w działaniu, bo na moją propozycję pójścia do knajpy zareagował jakoś nerwowo.

- Nie chce mi się. Znowu będziesz nudził, co tam u ciebie, że znowu coś piszesz i najlepsza z żon znowu coś pisze.

- No bo pisze - wtrąciłem.

- Wciąż coś piszecie i nie chce mi się już o tym słuchać. Ile można pisać i mówić o tym? - uciał Roszko. - Jak będzie mi się chciało, to zadzwonię i zapytam, co piszesz. Ale pewnie nie zadzwonię.

Z informacji, jakie do mnie docierały, wyłowiłem pogłoski o awanturze, do której doszło na działce teściów Roszka, kiedy w pewnym momencie Roszko wstał i wyszedł, trzaskając drzwiami, i o poważnej różnicy zdań między Roszkiem a jego szefem na naradzie.

Spotkałem Roszka wczoraj całkiem przypadkiem. Stał pod sklepem w dresie, pożerał cukierki czekoladowe i popijał oranżadą.

- No co? - uprzedził moje zarzuty. - Lubię cukierki, ale pani Roszko zawsze twierdzi, że osoba na moim stanowisku nie ma cukierków, a że słodczy dopuszczalny jest *mousse au chocolate*. A w ogóle, Talko, to marnie wyglądasz, naprawdę powinieneś pobyć sobą. Pyszne te cukierki!

Zastanowiłem się przez chwilę nad radą i natychmiast ją odrzuciłem. Perspektywa bycia sobą przerażała mnie jeszcze bardziej niż przemiana Roszka.

- Chodź - pociągnąłem go za dres. - Pójdziemy do Mattiego się naradzić.

Na widok Roszka Matti załamał ręce i zaproponował martini.

- Nie lubię martini - burknął Roszko. - Wolno mi, jestem sobą.

- Ciężka sprawa - westchnąłem. - On tak ze wszystkim. Teściowie zapowiedzieli, że go wydziedziczą, kiedy powiedział, że nie ma zamiaru rozmawiać o winach i dolewać go paniom, bo nie znosi wina.

- A do teściów w życiu nie pójde, jeszcze czego - zarzekał się Roszko. - Wreszcie jestem sobą. Mogę to powiedzieć.

- A czy ja jestem sobą? - zaczął Matti.

- No pewnie - potwierdził Roszko.

- A ta aktorka? - Matti pokazał wywiad z gwiazdą, która zawsze była sobą, i na planie, i poza planem.

- Jasne, też bym chciał taki być.

- No więc nienawidzę martini, nienawidzę wyjazdów i w ogóle nie znoszę ludzi - wyjaśnił Matti. - Ba, powiedziałbym, że nikt nie lubi wyjazdów, i jeszcze nie spotkałem kogoś, kto by lubił ludzi. A ta baba - pokazał aktorkę - to prawdziwy potwór, pozaplanem wrzeszcząca na wszystkich, i ma silikon.

- Co ty? - wytrzeszczył oczy Roszko.

- Taaa. Usta też sobie zrobiła. A co, myślałeś, że urodziła się z takimi wyдутymi? - spytał z politowaniem Matti. - Wracaj i bądź sobą. Przeprós teściów i powiedz, że uwielbiasz ich obiady, daj cygara szefowi i szepnij, że jest genialny, a żonie powiedz, że uwielbiasz zakupy.

- I to wszystko? - zdziwił się Roszko.

- Nie - uśmiechnął się Matti. - Najważniejsze, abyś przy tym powtarzał, że jesteś sobą.

Po co nam żony i przyjaciele

Przyszedł taki dzień, gdy w głowie zaświtały mi naraz aż dwie myśli, których jednak nie udało mi się powiązać w logiczną całość, siedziałem bowiem na kanapie i domowo gnuśniałem.

Pierwsza dotyczyła kroniki towarzyskiej z kolorowego pisma. Brzmiała mniej więcej tak: „Rany, po co oni tak biegają na te rauty, wystawy i bale?!” Myśl wynikała z obserwacji, że większość zdjęć przedstawia te same osoby. Pomyślałem, że to musi być okropne, stać pośród tłumu obcych i uśmiechać się do fotoreporterów z nadzieją, że nie opublikują potem zdjęcia, na którym mamy świecący nos i głupią minę.

Druga myśl dotyczyła życia jako takiego. Pomyślałem, że znalazłem sobie najlepszą z żon, która wówczas była zachwycająca, i uwiodłem ją, żeby zachwycała się tylko mną... W międzyczasie zdobyłem przyjaciół: ludzi błyskotliwych i inteligentnych, którzy kiedy ostatnio przyszli do nas, nawet nie chcieli ze mną gadać - woleli fajerwerki dowcipu Kazimiery Szczuki w *Najśłabszym ogniwie*. Ja też wolałem, bo obok mnie siedziała narzeczona Kazika i powtarzała, że Kazik nie chce się żenić. Co do najlepszej z żon, to nie była zachwycona, że ubabrałem świeże spodnie buraczkami. Miast błyskotliwej riposty oczekiwała ode mnie, że upiorę spodnie i zrobię jej herbaty.

Teraz, gdy piszę te słowa, jestem już mądrzejszy, a to za sprawą wykwintnego przyjęcia, na które zostaliśmy zaproszeni, i to nie byle gdzie, bo do eleganckiego hotelu, czego nie omieszkałem znacząco zakomunikować sąsiadowi, którego spotkałem w windzie.

Tego dnia miałem mnóstwo spraw, umówiliśmy się więc z żoną, że każde z nas przyjdzie osobno, aja obiecałem, że nie powalam buraczkami eleganckiego stroju, który włożyłem z samego rana. I rzeczywiście - na przyjęcie dotarłem w stanie dziewiczej czystości i pozostałem w nim nawet po skonsumowaniu tataru z łososia. Nigdzie natomiast nie widziałem najlepszej z żon. Udałem się więc na obchód sam i już za filarem wpadłem na czarującego faceta, wybitnie autoironiczną jednostkę, której posada dyrektora w niczym nie przeszkodziła śmiać się z samego siebie. Postanowiłem, że potem go odnajdę i oczaruję. Przy rybie w galarecie wpadłem - wciąż nie znajdując najlepszej w żon - na zjawiskową dziewczynę, która klepnęła mnie w plecy, bo była to narzeczona Kazika. Zupełnie jej nie poznałem. Miała na sobie coś, w czym wydawała się naga, choć była ubrana po szyję i śmiała się perliście, ani razu nie przypominając mi, że Kazik nie chce się z nią ożenić. Pomyślałem: „Głupi Kazik! Toż to wspaniała kobieta!”

Najlepszej z żon wciąż nie było. Po raz kolejny ruszyłem więc w tłum i - nie chwając się - miałem nawet powodzenie: byłem dowcipny, ironiczny, przypomniałem sobie sto podręcznych cytatów i oszołomiłem nimi pewną czarującą szatynkę w czymś powłóczyستم. W tłumie słuchaczy dostrzegłem też tego dowcipnego faceta, który słuchał mnie z uwagą. Wciąż jednak nie było najlepszej z żon i musiałem zadowolić się szatynką. Wpadłem na nią raz i drugi, odnotowując z przyjemnością, że śmieje się z moich dowcipów, sama zresztą też jest błyskotliwa. Wiodła, jak rozumiałem, ekscytujące życie przyszłej pisarki, spędzając czas z przyjaciółmi i - ku mojemu rozczarowaniu - z ukochanym mężem, którego natychmiast zniechęciłem.

Nie będę już nikogo zanudzał ani tym, jak wpadłem na panią Roszko, ani niczym innym. Dość powiedzieć, że za którymś tam przypadkowym spotkaniem szatynka westchnęła: „Napiłabym się herbaty”, i dopiero ten ton i to życzenie pozwoliły mi spojrzeć na nią inaczej. To była najlepsza z żon. Ona też mnie nie poznała - jak twierdziła później - dlatego, że nie byłem w buraczkach. Sądzę jednak, że był inny powód. Ten sam, dla którego zabrałem ją, już rozpoznana, żebyśmy razem poznali tego świetnego faceta, dyrektora z zawodu, i okazało się, że to stary dobry Roszko cudem odmieniony.

Zmierzam do puenty. Tego wieczoru postanowiłem sobie, że już nigdy nie odmówię żadnemu zaproszeniu, rautowi, balowi czy choćby zwykłej promocji, o ile tylko będzie z wyszynkiem, ponieważ dopiero tam odkryłem, po co mam przyjaciół. Odkryłem też, po co w ogóle są takie imprezy - tego samego wieczoru, ledwie wpadłem do domu, nagrałem wszystkie złote myśli, którymi z taką łatwością sypałem przed publiką, i doszedłem do wniosku, że wyjdzie z tego sześć felietonów i być może wystarczy na małą książeczkę. Jedyne, co jeszcze muszę wyjaśnić, to tytuł dzisiejszego felietonu - rzeczywiście nie skrzy się humorem. Ale od tygodnia, niestety, nie byłem na żadnym raucie.

Po prostu Bolek

Zawsze imponowali mi giganci intelektu wydający wspomnienia. Pisze ktoś taki wspomnienia u schyłku życia i pamięta wszystko.

Pamięta, jak się nazywał kolega, z którym podłożyli petardę w szkolnej stołówce, i co powiedział taksówkarz, który wiozł go na lotnisko trzydzieści lat temu. Pamięta mamę dawnej dziewczyny i pamięta menela, któremu wręczył trzy złote napiwo zaraz po wojnie. I co najgorsze, pamięta te wszystkie wspaniałe anegdotki, któreja, niestety, już teraz zapomniałem, mimo że nie mam w planie pisania wspomnień. Na pewno pamiętałby też Bolka, gdyby go spotkał.

Takie oto ponure myśli zajęły mnie kilka dni temu przy okazji spotkania z człowiekiem, którego umownie nazwę Bolkiem, bo skojarzył mi się z postacią z kreskówki. Szedłem sobie ulicą, radośnie pogwizdując i nie przewidując rozwoju wypadków, kiedy usłyszałem z tyłu jakieś wrzaski:

- Ej, Talko, Talko!

Odwrociłem się i zobaczyłem, jak w moją stronę gna klusem człowiek umownie nazwany Bolkiem.

- Cześć, stary - wysapał, z trudem łapiąc oddech - nie masz pojęcia, jak się cieszę. Już myślałem, że cię nie dogonię - po czym rzucił się na mnie i zaczął mnie obściskiwać.

- Eee, cześć - powiedziałem bez entuzjazmu. A to dlatego, że nie miałem najmniejszego pojęcia, kim jest człowiek umownie zwany Bolkiem, i zacząłem nawet podejrzewać, że wziął mnie za kogoś innego - powiedzmy, Antonio Banderasa.

- Co u ciebie? - zainteresował się tymczasem nieznamy, dając do zrozumienia, że tak łatwo nie odpuści.

Szybko oceniłem sytuację. Nie miałem pojęcia, kim jest, nie wiedziałem, czy mam streszczać ostatnie parę miesięcy, czy ostatnie dwadzieścia lat, więc zapytałem podchwytliwie:

- A wiesz, jakoś leci. Powiedz lepiej, co u ciebie.

- Pozmieniało się, oj pozmieniało - ucieszył się z mojego zainteresowania. - Pamiętasz moją narzeczoną?

W tym momencie udałem, że coś mi wpadło do oka, i wykonałem nieokreślony gest świadczący o tym, że trochę pamiętam, ale nie za bardzo.

- No to wyobraź sobie, że się pobraliśmy! - wypalił.

- Super - powiedziałem. - Gratulacje i w ogóle. Zawsze was widziałem jako parę.

- He, he, z ciebie to zgrywus, jak zawsze - zarechotał człowiek zwany Bolkiem. - Przecież jej nie znośiłeś. Tak naprawdę to się ożeniłem, ale z Baską.

- Z Baską? - mruknąłem, zastanawiając się, czy powinienem znać Baškę.

Człowiek zwany Bolkiem wybawił mnie z opresji.

- Baśka wciąż pyta, co tam u ciebie.

- Pyta, co tam u mnie - powtórzyłem, żeby zyskać na czasie, i przewijając film do tyłu, usiłowałem znaleźć w nim jakąkolwiek Baškę. Niestety bezskutecznie.

- A Baśce wreszcie się udało i pracuje tam, gdzie chciała, dasz wiarę? - cieszył się

tymczasem człowiek zwany Bolkiem.

- Aha, no to wspaniale - też się ucieszyłem, ale umiarkowanie, bo nie miałem pojęcia, co to może być za miejsce.

- W razie jakby co, to dzwoni - zmrużył oko Bolek. - Baśka ci wszystko załatwi.

- Na pewno zadzwonię - obiecałem. - Tylko nie mam numeru.

- Ooo, nie ma problemu - powiedział. - Zaraz ci zapiszę.

Niestety moje nadzieje spełzły na niczym, na karteczce, którą mi wręczył, nie było ani nazwiska, ani nazwy pracy Baśki.

- No, fajnie się gadało i w ogóle - westchnąłem. - Ale wiesz, jak jest. Muszę lecieć.

- Czekaj chwilę - zatrzymał mnie Bolek. - Powiedz, co u ciebie, bo co u mnie, to już wiesz. Dalej macie trzy koty?

- Uhm - potwierdziłem, bijąc się w myślach po głowie. Skąd ten facet wiedział, ile mam kotów? Pewnie sam mu powiedziałem. Ale dlaczego w takim razie nie pamiętam, kim on jest?

- Świetnie, świetnie - cieszył się Bolek. - Baśka uwielbia koty. A wiesz, że my dalej mamy tego dachowca?

- Naprawdę? - zdziwiłem się nieco teatralnie. - On już jest dosyć stary, poczekaj, ma chyba... kilkanaście lat?

- Co? - zdziwił się Bolek. - Nie, dopiero skończył cztery.

Zdarzają się chwile w życiu, kiedy człowiekowi przed oczami przesuwa się film w przyspieszonym tempie. Podobno tylko wtedy, kiedy leci się bez spadochronu albo właśnie tonie z Titanikiem. Mnie jednak ostatnie cztery lata stanęły przed oczami właśnie teraz. Wakacje? Nie, wcześniejsze wakacje? Tym bardziej nie. Wyjazd? Praca? Spotkanie rodzinne? Też nie.

- No nic, nie będę cię zatrzymywał, ale koniecznie musimy się zobaczyć. - Bolek serdecznie potrząsał moją ręką.

- Koniecznie - sapnąłem i ruszyłem do przodu.

- To w najbliższy piątek u nas około dwudziestej - zatrzymał mnie głos człowieka zwanego Bolkiem. - Nie spóźnijcie się. Adres znasz.

Kiedy wróciłem do domu, najlepsza z żon spojrzała na mnie z troską.

- Co się stało? - zapytała.

- Jesteśmy na piątek zaproszeni do Bolka - zacząłem.

- A kto to jest Bolek? - zdziwiła się najlepsza z żon. - I gdzie mieszka?

Sam chciałybym wiedzieć.

Ostatnie pocieszenie

Jak wiadomo, przyjaciele potrzebni są nam to, by służyć radą, pomocą i wsparciem w trudnych momentach życia. Ot, choćby w kryzysie związanym z kolejnymi urodzinami. Mężczyźni ponoć przechodzą takie kryzysy w związku z wchodzeniem w smugę cienia. Kobiety natomiast przynajmniej corocznie, choć bywa, że nawet co tydzień.

- Słuchaj, musimy wspomóc Zuzę- zawiadomiła mnie najlepsza z żon któregoś poranka.
- A co z nią? - zdziwiłem się. - Znowu pokłóciła się z Kazikiem?
- Nie, ma urodziny - wyjaśniła najlepsza z żon z niezmaconym spokojem.
- No i co?
- Jak to co? - zniecierpliwiła się małżonka. - Ma urodziny i ma kryzys. Jasne?

Jasne, żejasne. Powiniennem sam na to wpaść. Urodziny najlepszej z żon to nieustanne źródło kryzysów i przyczyna nieustannych pytań, czy aby nie utyla albo też za bardzo nie schudła. I czy pod okiem nie widać przypadkiem jakiejś zmarszczki. A jeśli nie widać pod jednym okiem, to co z drugim? A jeśli też nie widać, to nie widać, bo nie ma, czy nie widać, bo ja nie widzę, i może warto, żeby ktoś inny popatrzył. Urodziny trwają wprawdzie jeden dzień, ale pytania co najmniej kilka tygodni i powinno mi to dać do myślenia.

- Może by tak wpadła do nas i trochę się wyzaliła
- kontynuowała najlepsza z żon. - A my, Roszkowie i Edzio byśmy ją pocieszyli. No wiesz, ona ma syndrom trzydziestki.
- Ale przecież nie majeszczce trzydziestki - zaprotestowałem nieśmiało, jak to mężczyzna.
- Nieważne - powiedziała małżonka. - Syndrom trzydziestki można mieć w każdym wieku. Coś o tym wiem.

Ja też coś o tym wiedziałem, więc w piątek wieczorem narzeczona Kazika siedziała na naszej kanapie, zalewając się łzami, a my zgromadziliśmy się obok, chrząkając i patrząc niepewnie po sobie, niczym rodzina przy łóżku chorego w którymś z lekarskich seriali. Niestety, jak okiem sięgnąć, nie było żadnego miłego doktora Kuby, który przyszedłby i ciepłym głosem zapewnił, że wszystko będzie dobrze. Musieliśmy sobie poradzić z tym sami i patrzyliśmy na siebie głupio, a mnie się niemal wyrwało: „Siostró, proszę narkozę”...

- Nie mam nawet męża - szlochała narzeczona Kazika - a Kazik słyszeć nie chce o ślubie, nie mówiąc o dzieciach.
- Wiesz, mąż to czasem kłopot - wyznała pani Roszko. - Brudzi, nie odkłada skarpetek na miejsce... Nie ma w sumie czego zazdrościć.
- Kazik też brudzi, a w dodatku nie chce się żenić
- zaszlochała Zuza.
- A z dziećmi to bywa różnie - włączyła się najlepsza z żon, bo pani Roszko, porażona siłą kobiecej logiki, przeżuwała swoją klęskę. - Wczoraj uwalowały nową pościel czekoladą i pomazały farbami ściany.
- A co mi po ścianach - łkała narzeczona. - Można odmalować. Jakbym miała męża, toby odmalował.

Tor, w który zbaczała dyskusja, nagle przestał mi się podobać, bo wyraz twarzy najlepszej z żon zmienił się jak zawsze w chwili, kiedy wpadał jej do głowy jakiś morderczy pomysł - choćby zrobienie za pomocą męża porządków w dokumentach. Na szczęście najlepsza z żon musiała zainterweniować i nie miała czasu rozwinąć sobie tej myśli.

- A wiesz, że zrobiły mi się zmarszczki koło oczu od tego niedosypiania i wstawania do nich po nocy - najlepsza z żon sięgnęła po najmocniejszy argument.

- Nie zależy mi - zachlipała narzeczona Kazika. - Mogę mieć sto zmarszczek, ale za to dzieciaczki kochają was. A Roszko ma świetnąpracę i do czegoś doszedł.

- Pewnie i kochają, ale ja bym wolał, żeby nie kochały mnie o szóstej rano, tylko, jeśli to możliwe, po dziewiątej - włączyłem się do gry.

- A praca i moja posada tojednak ogromna odpowiedzialność - sapnął Roszko. - Ty o godzinie siedemnastej jesteś wolna jak ptak, a ja muszę ślęczeć nocami, zarywać weekendy.

- Ale zarywaszje w eleganckich knajpach i płacisz służbową kartą - jęknęła Zuza.

- Fakt - zdziwił się Roszko. - Fakt.

- Przynajmniej mnie nie musisz niczego zazdrościć - włączył się Edzio. - Nic nie mam, mieszkanie wynajmuję od Roszka, ale i tak nie płacę, bo nie mam z czego, na śniadanka wpadam do was, bo takjest taniej, a ubieram się w sklepach z używaną odzieżą.

- A jednak wydałeś zbiorek wierszy - westchnęła narzeczona Kazika. - Ja też piszę wiersze, ale czy ktokolwiek chciałbyje wydać?

- Eeee tam - machnął ręką Edzio. - Jakie tam wiersze. To znaczy rzeczywiście, miałem kilka pochlebnych recenzji, no i było kilka wieczorków autorskich, ale to wszystko.

- Recenzenci uważają cię za nadzieję literatury i liczą, że napiszesz coś wielkiego - chlipnęła Zuza.

- No cóż, skoro tak stawiasz sprawę, nie będę zaprzeczał - Edzio aż pokraśniał z zadowolenia. - Rzeczywiście wydaje mi się, że jakby idzie lepsze. Wiecie, że mam zamówienie na duży artykuł?

Wtedy włączyła się najlepsza z żon z opowieścią, że rozmawia z telewizją w sprawiejakiegoś nowego programu, więc oczywiście ja też musiałem wsadzić swoje trzy grosze i obwieściłem, że pewne znane wydawnictwo zaproponowało mi napisanie książki.

Roszko zaś zakomunikował wszystkim, że wyjeżdża służbowo do Paryża i będzie mieszkał w pięciogwiazdkowym hotelu z widokiem na Łuk Triumfalny.

Najlepsza z żon skontrowała to opowieścią o naszym synu, który namalował pierwszą w życiu laurkę dla mamy i powiedział jej „kocham cię baldzio”, i zdaje się w tym momencie usłyszałem jakiś szloch, ale nie miałem czasu się tym zająć, bo koniecznie chciałem opowiedzieć o sukcesach w pracy. Edzio przypomniał sobie, że przecież ma za dwa dni kolejny wieczorek autorski, a pani Roszko opowiedziała o swojej pracyjako malarki. Wtedy znowu usłyszałem jakieś jęki, ale wszyscy bawiliśmy się tak doskonale, że nikt nie zwracał na to uwagi.

Rozeszliśmy siępo północy i wtedy najlepsza z żon zauważyła, że nie ma narzeczonej Kazika.

Zastanawiamy się, co się z nią stało. Naprawdę, zajęliśmy sięniąnajlepiej, jakbyło można.

Rzeczywistość wirtualna

- A gdzie my właściwie spędzimy sylwestra? - zapytała znieczarna najlepsza z żon, kiedy wieczorem siedzieliśmy na kanapie i oddawaliśmy się naszej ulubionej zabawie, czyli sprawdzaniu, czy na innym kanale nie ma czegoś fajniejszego niż na tym, który właśnie oglądamy.

Z reguły okazywało się, że nic nie ma, co kwitowaliśmy niezmiennie stwierdzeniem: A widzisz, kiedyś to były dobre, wartościowe programy, a teraz już nic nie ma.

- Hmm - powiedziałem, żeby zyskać na czasie. Z najlepszą z żon nigdy nie wiadomo. Prawdziwa odpowiedź brzmiała: siedzimy w domu, bo gdzie niby mamy siedzieć, skoro po pierwsze, nigdzie nie chce nam się jechać, a po drugie, nawet gdyby się chciało, to przecież nie zostawimy dzieci samych ani ich nie weźmiemy ze sobą, bo po ósmej śpią. To znaczy jeszcze nie śpią i coś tam sobie kumkają w łóżeczkach, czego my staramy się nie słyszeć, przekonując się wzajemnie, że śpią.

Ponieważ jednak z najlepszą z żon nigdy nic nie wiadomo, a zwłaszcza nie wiadomo, jakiej odpowiedzi oczekuje, powtórzyłem raz jeszcze: „Hmm”.

- Roszkowie mówili, że gdzieś wyjeżdżają, Kazikowie chyba wybierają się na wielkie party, Edzio jedzie do jakiegoś domku w górach, a my?

- My może też gdzieś się wybierzemy - pociągnąłem bohatersko.

- Zobacz, w gazecie reklamują wyjazdy na sylwestra do Paryża - kontynuowała najlepsza z żon. - Wyobraź sobie tylko: my, Łuk Triumfalny i Sekwana.

- Och, to wspaniale - ucieszyłem się i wcale nie wymknęła mi się żadna uwaga w rodzaju: „A jak sobie wyobrażasz, co zrobimy z dziećmi? My pójdziemy nad Sekwanę, a one? Skoro mają rok i trzy latka, to chyba jednak nie pójdą. Możeja zostaną z nimi, bo mniej mi zależy, widziałem już tę Sekwanę, a ty pójdziesz sama, ale przecież się boisz, że się zgubisz, więc zostaniesz w domu i będziemy siedzieć i zmieniać kanały we francuskiej telewizji, która na pewno też jest beznadziejna i na innym programie też nie ma nic interesującego. W takim razie łatwiej i taniej robić to w domu”.

- O, popatrz tylko! - najlepsza z żon aż sapnęła.

- Sylwester w Kenii. Co o tym myślisz?

- Myślę, że nigdy nie byłem w Kenii - powiedziałem, co akurat było zgodne z prawdą.

- Albo to, spójrz, sylwester na nartach.

- Super - powiedziałem ostrożnie. - Tylko że nie umiemy jeździć na nartach.

- Och, wcale tego nie wiesz - poprawiła mnie najlepsza z żon. - Wyglądasz mi na takiego, który potrafi.

- Oczywiście - potwierdziłem. - Czuję, że mógłbym zjechać. Zwłaszcza slalomem. To dopiero byłby gigant!

- Z drugiej strony, może jednak jakieś ciepłe kraje

- zastanawiała się najlepsza z żon. - W końcu mam już dosyć tego zimna. Może Tajlandia. Tam się na pewno spędza sylwestra w kostiumie kąpielowym.

Do Tajlandii i Kenii miałem jeszcze więcej zastrzeżeń. Skąd niby mieliśmy wziąć na to pieniądze, a gdyby nawet udało się pożyczyć, to - jak słyszałem - wszystkie wyjazdy

były już wykupione przez tłumy rodaków, choć z gazet wiedziałem, że nie mają pieniędzy, albowiem mamy kryzys, który trzyma rodaków pod kreską. On jednak najwyraźniej nie czytał tych samych gazet i szastają pieniędzmi na prawo i lewo, wykupując luksusowe wakacje na końcu świata, o nowych samochodach nie wspominając.

- Jasne, Tajlandia to rewelacyjny pomysł - przytaknąłem.

- Chyba że wolisz coś swojego - zatroszczyła się najlepsza z żon. - Na przykład bal w luksusowym hotelu. Popatrz tylko, pokój gratis.

Spojrzałem na cenę, ale zrobiło mi się słabo i zera zaczęły mi migać przed oczami, więc nic nie powiedziałem, tylko poszedłem się napić wody. Najlepsza z żon wyraźnie wzięła moje milczenie za wyraz aprobaty, bo przejrzała następne oferty luksusowych pensjonatów, w których cena sylwestra niebezpiecznie zbliżała się do ceny niezłego używanego samochodu.

- Wiesz co, zadzwonimy do Roszków. Może byśmy się z nimi zabrali - zdecydowała wreszcie żona, chwytając telefon, po czym odbyła godzinną konferencję z panią Roszko. - Ona mówi, że prawdopodobnie jednak Mauritius. Wszystko inne jest już zbyt ograniczone - zawiadomiła mnie, kiedy skończyła.

- A co robisz Robciem? - zainteresowałem się.

- A wiesz, że nie zapytałam. Może jedzie z nimi, a może zostaje z dziadkami. W dzisiejszych czasach dziecko to nie problem - pouczyła mnie.

Westchnąłem cicho, ale nic nie powiedziałem, najlepsza z żon obdzwoniła zaś wszystkich naszych przyjaciół, chłonąc szczegóły ich planów sylwestrowych. Do wieczora byłem już przygnieciony pięciogwiazdkowymi apartamentami, tyrolskimi willami z widokiem na Alpy, kąpiącymi od złota sałami bałowymi w hotelach i całą resztą wielkiego świata.

Następnego dnia złamałem się.

- Idę kupić jakąś wycieczkę - zawiadomiłem najlepszą z żon.

- Ani mi się waży - prychnęła. - Zapomniałeś, że mamy dzieci? Kto z nimi zostanie, jeśli wyjedziemy? Naprawdę sądziłam, że jesteś bardziej odpowiedzialnym ojcem! Chcesz ciągnąć małeństwa na drugi koniec świata...

- Ale myślałem...

- Nie chcesz ich chyba zostawić z opiekunką?

- No cóż...

- Miło sobie pomarzyć, ale nie bierzesz chyba tego poważnie - skrzywiła się najlepsza z żon. - Przecież to masa forsy. Nie mamy tyle.

- Nie - skinąłem głową.

Wczoraj spotkałem Roszka i spytałem o ten Mauritius. Spojrzał na mnie dziwnie i coś mruknął. Zdaje się, że o rzeczywistości wirtualnej. A potem zapytał, czy mogą wpaść w sylwestra do nas.

Zbrojne ramię

Wiadomo, że w życiu trzeba być sobą. Ha! Wymyślił to chyba ktoś, kto nie był z najlepszą z żon. Ta myśl mnie naszła po tym, kiedy zdecydowaliśmy, że musimy złożyć reklamację z powodu naszej nowej podłogi.

- Popatrz tylko - argumentowała najlepsza z żon.

- Tu robi się dziura. Niech ten facet przyjedzie i natychmiast wymieni nam całą podłogę. Za chwilę tu będą same dziury.

- Ale to tylko mała szparka - uspokajałem. - Zresztą ten facet ostrzegął, że mogą się zrobić małe szparki.

- Według ciebie onajestmała?! Tajestmała?!

No cóż, żyję w związku z najlepszą z żon, a nie z facetem od podłóg, i chcę żyć dalej, więc odpowiedź mogła być tylko jedna.

- Rzeczywiście to duża szpara. Jak się jej dobrze przyjrzałem, to właściwie jest duża, ba, ogromna.

- To masz tu telefon i wygarnij mu wszystko - fuknęła najlepsza z żon.

- Ty jesteś w tym lepsza, to może ty spróbuj - zacząłem bez specjalnych nadziei na sukces.

- Ty jesteś facetem - stwierdziła najlepsza z żon.

- Ja sobie tylko posłucham.

- Dzień dobry, dzwonię w sprawie podłogi - zacząłem. - Otóż zastanawiam się, czy nie pojawiła się szpara. - W tym miejscu przerwałem, bo najlepsza z żon zaczęła machać ręką, a potem pisać na kartce. - Chwileczkę - powiedziałem do słuchawki.

„Nie baw się w kurtuazję. Powiedz, że zaraz ma tu być” - napisała najlepsza z żon.

- I właśnie tak się zastanawiam, czy to możliwe, żeby pan tu zaraz przyjechał?

- Jedna szpara? - upewnił się fachowiec.

- Jedna szpara - powtórzyłem głośno na użytek najlepszej z żon. - Ale duża. Aha, jedna szparajest w normie.

„Powiedz, że jak nie przyjedzie, to pozwiemy go do sądu” - dowiedziałem się z kolejnej karteczki, którą najlepsza z żon podetknęła mi pod nos.

- Jedna szpara - kontynuowałem. - Ale jednak dokuczliwa. Dlaczego dokuczliwa? No właśnie. Niepokoiimy się, że będą inne, i wtedy niewykluczone, choć chcielibyśmy tego uniknąć, że musielibyśmy pozwać pana do sądu, chociaż wiadomo, że sądy teraz są strasznie obłożone sprawami i pewnie wcześniej niż za pięć lat nie weszlibyśmy na wokandę.

„Nie pertraktuj. Niech zaraz tu będzie!” - oburzyła się bezsłownie najlepsza z żon.

- Rozumiem, chętnie by pan przyjechał, ale w przyszłym tygodniu. Czy pasuje nam przyszły tydzień? Niech się zastanowię...

„Absolutnie nie! Ma tu być najpóźniej jutro!”

- Zastanowiłem się i doszedłem do wniosku, że jednak nie mogę tyle czekać. Ta szpara mnie uwiera. Mogę wytrzymać najwyżej do jutra. Aha, ma pan inną robotę...

„A co nas to obchodzi?”

- No cóż, rozumiem, ale jednak obchodzi nas nasza podłoga. Aha, w innym mieście ta robota i nie mapanjak dojechać, żeby zobaczyć szparę? No rzeczywiście, szpara może kilka dni poczekać.

„Nie może czekać. Jak nie ma samochodu, niech weźmie taksówkę!”

- Właściwie to doszedłem do wniosku, że jednak nie może czekać. Rozumiem, nie ma pan samochodu, ale są autobusy, taksówki. No tak, przejazd taksówką, żeby zobaczyć naszą szparę, kosztowałby pana tysiąc złotych. Tak, to bez sensu.

„Nic nas to nie obchodzi” - listy najlepszej z żon stawały się coraz ostrzejsze.

- To mnie nic nie obchodzi.

„Powiedz, że jest kretynem i go zniszczysz”.

- No właśnie. Zależałoby mi, żeby japań obejrzał, ajak nie, to pana zniszczę.

„Dobrze, dobrze! Postraszyć go jeszcze!”

- Co mówiłem? Jakieś zakłócenia? Mówiłem, że pana chętnie zobaczę. Chwileczkę.

Najlepsza z żon kopała mnie pod stolikiem.

„Jak się nie zgodzi, to go obsmarujemy w gazecie, złożymy zażalenie do cechu i zażądamy odszkodowania!”

- Nie możemy - szepnąłem do ucha najlepszej z żon.

„Możemy. Daj mi telefon. Już japońskiemu łobuzowi!”

- To karygodne - rzuciłem do słuchawki. - Ma pan tu być i nic mnie nie obchodzi, co pan myśli. Żegnaj pana i proszę pamiętać o sądzie i o tym, że mogę zrujnować pana żalony zakład.

- Mój ty tygrysie - rozczuliła się najlepsza z żon. - Wspaniale to rozegrałeś.

Facet pojawił się dwa dni później. Najlepsza z żon powitała go swoim najpiękniejszym uśmiechem.

- Może herbaty albo ciasteczka? - proponowała.

- Może najpierw zobaczę dziurę - zaproponował facet.

- Mąż panu pokaże - uśmiechnęła się najlepsza z żon. - Strasznie jest cięty na tę dziurę, choć ja osobiście sędzę że to raczej szparka.

- Tu jest - pokazałem. - To znaczy była jeszcze wczoraj. Zniknęła.

- Wspaniale, że wszystko dobrze się skończyło - ucieszyła się najlepsza z żon.

Dziś dowiedziałem się, że ludzie mówią o mnie dziwne rzeczy. Rzekomo stałem się porywczy, nerwowy i krzyczę. Całe szczęście, że żona trzyma mnie na wodzy. Podobno nawet mój szef tak twierdzi.

- To niesłychane - stwierdziła najlepsza z żon. - Masz tu telefon. Zadzwoń i mu nawrzuczaj. Powiedz, że jest kretynem, a zresztą co ja ci będę radzić. Po prostu sobie usiądę i posłucham.

Sweter do sławy

Niedawno wystąpiłem w pewnym *talk-show* o znikomicznej szkodliwej oglądalności. Byłem tam panem w czerwonym swetrze na kanapie, który mówi przez cztery minuty. Nie napisałem o tym w felietonie ani tym bardziej nie opowiedziałem znajomym, bo takie zajęcia traktowałem dotąd jako działalność uboczną na mojej drodze do sławy. Cóż, od dziesięciu lat piszę przecież nieprawdopodobne reportaże, nie mówiąc o felietonach, i ktoś to wreszcie doceni jakąś drobną NIKE, myślałem. Ale gdzie tam.

Nie dalej jak dwa tygodnie temu odwiedziła nas rodzinnie czternastoletnia siostrzenica najlepszej z żon.

- Czy wiesz, że fragment mojego reportażu znalazł się w szkolnym podręczniku? - pochwaliłem się dyskretnie.

- Fajnie, fajnie - powiedziała kulturalnie, pożerając wzrokiem komputer - ale może byś już mógł włączyć ten internet, to zobaczę, co się dzieje na czacie Randka.

I nim zdążyłem napomknąć, o czym było to moje reporterskie dzieło, ona zdążyła przybrać pseudonim Dzika Tygrysica i jakiś Blondyn16 przebił mnie wyznaniem, że jest z Warszawy i też szuka bratniej duszy, z czym naturalnie moje opowieści nie mogły się równać.

Wieczorem najlepsza z żon naparzyła mi melisy na zszargane nerwy i niestrawność po Blondynie.

-Nie martw się - powiedziała. - Młodzież tak mało czyta.

Doceniłem jej tok myślenia.

Następnego dnia z pewnym sklepikarzem negocjowałem cenę lamp. Miał pogodną twarz i „Gazetę Wyborczą” przed sobą.

- Nazywam się Talko - powiedziałem dobitnie. - Leszek Talko.

- Falko - zapisał bez emocji. - Zadzwoń do pana jutro, panie Falko.

Tego dnia wieczorem już nawet nie miałem siły obejrzeć w telewizji tego *talk-show* z moim udziałem. Zwłaszcza gdy sobie przypominałem, że jakiś człowiek z planu, kiedy mu się przedstawiłem, zapytał: „Pan z programu *Łysi i blondynki?*”, mimo że ani na pierwszy, ani na drugi rzut oka nie przypominałem ani pierwszych, ani drugich.

- Ależ jesteś już znanym dziennikarzem - powiedziała najlepsza z żon, gdy w łóżku postanowiłem udusić się poduszką. - Ja cię znam, Roszko cię zna i jajesz raz cię znam. Dobranoc.

Rankiem zadzwonił telefon. To był ten gość od lamp.

- Pan jest dziennikarzem, panie Talko! - wykrzyknął. - I nic mi pan nie powiedział? Oglądam wczoraj program w telewizji, a tu pan siedzi, więc mówię do żony: zobacz, ten w czerwonym swetrze to jest dziennikarz i ja go znam, i nazywa się Talko. A mówił pan najrozsądniej z nich wszystkich. To pewnie wyczerpująca praca być dziennikarzem i pokazywać się w telewizji, co? Ten czerwony sweter, no mówię panu, panie Talko, ładnie pan wyglądał.

- Jajestem dziennikarzem prasowym.

- Słucham? Ale mówię panu, jakoś inaczej pan wyglądał niż normalnie. W tej telewizji. Był pan jakby większy. Wiem, wiem, nie powinienem zabierać panu czasu, bo pan jest na pewno zajęty, i już mówię o lampach, ale jeszcze chciałbym zapytać, jak to jest, kiedy człowiek tak się pokazuje w telewizji, panie Talko?

Po południu zadzwonił kolega reporter, z którym noc można by przegadać o teorii reportażu, gdyby tylko miał czas.

- Stary, widziałem cię w telewizji! Schudłeś, mówię ci.

Najlepsza z żon nadjechała z melisą.

- Człowiek haruje całe życie na nazwisko, poetów czyta, żeby lepiej pisać, a tu cztery minuty w telewizji znaczą więcej - pożałowałem się.

- Pij - powiedziała najlepsza z żon.

Miała rację z tym piciem. Następny tydzień był nieustającym festiwalem popularności, zwłaszcza że program doczekał się powtórki.

- Pan, dziennikarz, a nie ma czym rachunku podpisać... - uśmiechnęli się do mnie

panowie montujący nam kuchnię. - Widzieliśmy w telewizji, w swetrze czerwonym chyba?

Przyszedł też SMS od siostrzenicy, która porzuciła randki w internecie: „Leżymy w łóżeczku, a tu Leszek w telewizji. Poleciałam już obudzić babcię”. Nawet najlepsza z żon, przedstawiając mnie na przyjęciu w nowym towarzystwie, dodała:

- Ostatnio występował w *talk-show*.

- W czerwonym swetrze - dokończył jakiś człowiek w garniturze. - Słyszałem, że pan też coś pisze, panie Talko.

Tak - niniejszy felieton piszę w czerwonym swetrze, z którego nigdy już nie wyjdę, żeby nie stracić tożsamości.

Domowe doznanie ekstremalne

Doznania ekstremalne w naszych nudnych czasach są zdaniem wielu tak rzadkie, że trzeba za duże pieniądze dać się spuścić na linie, by wreszcie przeżyć coś ekscytującego. I już tylko poeci oraz ja głosimy pochwałę codzienności. Co w codzienności widzicie, nie wiem, bo najchętniej czytam jednak fantastykę. A co takiego ekstremalnego ja widzę w codzienności?

Widzę najlepszą z żon siedzącą w kucki na podłodze pośród moich ubrań, których nie noszę od lat, za to mam do nich osobisty stosunek, widzę ją siedzącą i słyszę, jak mówi:

- Musimy wreszcie przejrzeć twoją garderobę. Masz tu mnóstwo starych szmat, które zamierzam teraz wyrzucić.

Jest to oczywista nieprawda - nazwanie moich ubrań szmatami - czemu daję wyraz kulturalnym stwierdzeniem: „Po moim trupie cokolwiek wyrzucisz”, a wtedy najlepsza z żon wyciąga z góry ubrań moją zieloną koszulkę i mówi:

- Przepraszam, ale to jest bardzo stara szmata z dziurą na plecach.

- Przecież w tej koszulce byłem na wykopaliskach archeologicznych na Cyprze i była taka noc dziesięć lat temu, gdy w tej właśnie koszulce upiłem się koniakiem. Dasz wiarę, że wypiłem litr koniaku? Zawsze pokazuję, jak przychodzą znajomi, i opowiadam, jak przyjechaliśmy do tej małej wioski...

- Och, nie bądź dzieckiem - to naj lepsza z żon. - Na dodatek mnie tam wtedy nie było i chyba nie chcesz trzymać czegoś, co nosiłeś, gdy mniejsze nie znałeś.

Widzę siebie, jak zbliżam się do żony i martwieję w pół ruchu: wśród ubrań nominowanych przez najlepszą z żon do odejścia leży mój sweterek we wzorek chiński, który sam sobie udziargałem przed laty i który ona wygrzebała z dna szafy. No może niezupełnie sam, lecz w towarzystwie pewnej uroczej brunetki, która dziergała pod moim nadzorem, ale tego przecież najlepszej z żon nie powiem.

- Tego nie oddam - mówię i porywam sweterek. - W tym sweterku pokazywałem się na pierwszym roku studiów! To moja młodość, trochę może obszarpana, ale jednak.

W dobrym scenariuszu w takim właśnie momencie dzwoni telefon i posuwa akcję naprzód. U nas w domu też dzwoni telefon. To Martucha, przyjaciółka od lat. Dodam, że moja. Najlepsza z żon szuka w niej sojusznika, apelując o jedność płciową, i znajduje.

- Chiński sweterek - chichocze do słuchawki Martucha. - Talko i ja piętnaście lat temu byliśmy z tym sweterkiem w teatrze. Jego urody naprawdę nie sposób zapomnieć. Mój mąż natomiast miał podkoszulek, w którym odbył służbę wojskową i za nic nie chciał go wyrzucić, póki podkoszulek przypadkiem nie pociął się na szmaty.

- Genialne! - woła najlepsza z żon. - I mówisz, że sam z siebie się pociął? Ale czym? Nożyczkami?

- Nożyczkami - odpowiada Martucha. - A koszula z pierwszych lat studiów wyskoczyła przez okno. Razem z szortami, w których niegdyś zjeździł Indie.

W tym czasie ja biegam ze sweterkiem, starając się go ukryć, i wreszcie wtykam go za kuchenkę. I wtedy słyszę, jak Martucha tłumaczy najlepszej z żon:

- Zajrzyj za kuchenkę. Mój mąż ukrywał tam spodnie z liceum. Biedne spodnie, wyobraź

sobie, że popełniły samobójstwo, rzucając się okna.

Biegnę do kuchenki, i to jest mój błąd, bowiem najlepsza z żon dopada pożółkłego, trochę tylko skurzonego podkoszułka z kotkiem, w którym odniosłem wielki sukces w szkolnym meczu w czasach licealnych, i pakuje go do worka.

- Tyłko mi nie mów, że ma to dla ciebie jakąś wartość sentymentalną - mówi najlepsza z żon. - To po prostu stary podkoszułek i nic więcej.

I gdy ja staram się opowiedzieć, z jakich wspomnień utkany jest ten podkoszułek, moja żona podsumowuje mnie krótko:

-Widzę przecież, że to bawełna, ale marna.

O łosie! Miotam się w szale, skok na *bungee* to pestka przy tym, co czuję przy mojej żonie. Najlepsza z żon dostrzega moje wzburzenie, więc proponuje:

- OK. Ostatecznie możesz w tym podkoszułku robić porządki. Ale w zamian za to wyrzucimy tę marynarkę.

Pomarańczową marynarką, którą czternaście lat temu znalazłem na pchłym targu w Paryżu i którą kupiłem od pewnego Murzyna za swoje pierwsze pieniądze nielegalnego kelnera! W tej jednej chwili dociera do mnie, dlaczego Otełło udusił Desdemonę. Na pewno robiła mu czystkę w szafie. W przeciwieństwie jednak do Desdemony najlepsza z żon czytała w młodości Szekspira i zna zagrożenia, jakie niesie związek małżeński. Wstaje więc z podłogi i sama rzuca mi się do gardła.

- Kochany - mówi, oplatając mą szyję - jeszcze ani razu nie pochwaliłeś mnie za to, że sięzabrałam do porządków! I wiesz co? Możesz sobie wybrać jedno z tych ubrań, które chciałbyś zatrzymać. Niech sobie poleży w szafie, zanim zgubię je przypadkiem w czasie przeprowadzki.

Wywiad debiutanta

Telefon od Edzia Obsta zwałił mnie z nóg.

- Tak, stary - powiedział nonszalancko. - Wydałem książkę. Powieść znaczy. Jutro udzielam właśnie pierwszego wywiadu. Może wpadniesz zobaczyć?

- To ja się zamartwiam, gdzie on zniknął na całe miesiące, wyobrażam sobie, jak cierpi, boję się, że ma nawet gorzej niż my, a on sobie książkę wydał? - oburzyła się najlepsza z żon. - Zwierzę.

W istocie książka, którą jeszcze tego samego dnia podesłał Edzio, nosiła tytuł *Zwierzę*. Głównym bohaterem natomiast był Edzio Obst miotany wątpliwościami wszelakiej natury. Była to bowiem powieść ambitna i jako taka nie miała akcji, której obecność w ambitnej powieści jest nie tylko zbędna, ale wręcz kompromitująca autora. Tłumy czytelników śledzące z wypiekami na twarzy perypetie bohatera załamały już niejedną obiecującą karierę.

Następnego dnia spotkaliśmy się z Edziem w kawiarni. Miotanie sobą na kartach powieści dobrze mu zrobiło. Wyglądał kwitnąco, uśmiechał się szeroko i nawet kelner, na którego huknął: „Kawy migiem, ja płacę”, nie był pewien, czy ma do czynienia z człowiekiem, którym nie targają żadne wątpliwości.

Dziennikarka, która miała z nim przeprowadzić wywiad, spóźniła się nieco. Edzio kurtuazyjnie buchnął ją w mankiet i zapytał o zdrowie.

- Och, nie ma czasu na drobiazgi - powiedziała dziennikarka. - I tak jestem już spóźniona. Niech mi pan szybciotko opowie, o czym jest pana książka, panie Obist.

- Obst - zauważył Edzio.

- Och, proszę się nie martwić. Korekta i tak by wychwyciła pomyłkę. Nasza korektorka jest bardzo czytana. Włączam dyktafon i jedziemy z wywiadzikiem. A więc o czym napisał pan książkę?

- Cóż - złożył dłonie Edzio. - Całość osnuta jest na motywie drogi, którą młody bohater chodził do szkoły i która staje się uogólnieniem Losu. Jest to opowieść o dojrzewaniu samotnego, wrażliwego chłopca, który ma problemy ze znalezieniem zrozumienia w świecie i w sobie samym. Jest bowiem, można tak powiedzieć, człowiekiem o rozdartej naturze.

- Jest pan więc polską Bridget Jones?

- Proszę? - stropił się Edzio.

- To jest pan Bridget Jones?

- No wiepani, jednak nie sądzę.

- Ale pisze pan o samotności i niezrozumieniu.

- W pewnym sensie.

- Więc jest pan Bridget. Tak napiszemy. Widzę, że przekonałam pana. Zostawmy to już, bo jestem spóźniona. Co pan czuł, gdy pisał pan książkę?

- Pisałem ją kilka miesięcy - nadał się Edzio. - Gama odczuć, której doznaje pisarz zmagający się z twórczą materią, jest niezwykle szeroka. Od euforii po zupełny marazm i zniechęcenie. Można to przyrównać, tak, można to przyrównać do rozbuchanej kolorami

palety malarza portrecisty, który ciska pędzel i podejmuje go na nowo.

- A jakoś krócej?
- Proszę? - stropił się Edzio.
- Umówmy się, że napiszę „był w euforii” - zaproponowała dziennikarka.
- Nie byłem w euforii.
- Sam pan to powiedział. Mam na taśmie.
- Bo bywałem.

- To był pan czy pan nie był? To jak z nią, albo się jest, albo nie. Nie można być trochę. Ha, ha - spojrzała na zegarek. - Mój Boże, muszę już lecieć, a mam jeszcze dwa pytania. Jak tak dalej pójdzie, nie skończymy tego wywiadu. Zatem był pan w euforii?

- Napiszmy, że byłem - skapitulował Edzio.
- Przedostatnie pytanie, panie Obist. Nad czym pan teraz pracuje?
- Na razie nad niczym.

- Nie mogę napisać, że nad niczym. Na pewno pan o czymś myśli. Na pewno myśli pan - podsunęła dziennikarka - o kontynuacji powieści.

- Bohater umiera na ostatnich kartach - zasmucił się Edzio.

- Napiszę, że i tak pan myśli. Dobrze? To będzie lepiej wyglądało. Niech mi pan wierzy. Że pan myśli o ciągu dalszym.

- Dobrze - poddał się Edzio. - A jakie jest ostatnie pytanie?
- Co lubi pan gotować?

- Właściwie to nic - zadumał się Edzio. - Potrafię usmażyć jajka. Makaron ugotuję.

- Czyli lubi pan kuchnię włoską? Tak napiszemy, że lubi pan kuchnię włoską, dobrze? Bo czas leci i już naprawdę muszę bieć. Właściwie nie zapytałam pana, do jakich literackich pierwowzorów pan się odwoływał, ale może niech będzie Dostojewski. Ostatnio rzadko się ktoś do niego odwołuje, to będzie taka oryginalna rzecz w pana wypowiedzi. I jeszcze King. Stephen King. Zgadzą się?

- Tak - wydukał Edzio.

Wczoraj ukazała się notatka o książce Edzia: „Edward Obst nie uważa się za kolejną polską Bridget Jones, jednak odwołuje się do jej dorobku. Jego powieść to mieszanina Dostojewskiego i Kinga. „Podczas pisania czułem euforię” - powiedział nam Edward Obst. Obecnie planuje napisanie drugiej części, mimo że bohater książki umiera. Ulubioną kuchnią autora jest kuchnia włoska, a zwłaszcza smażonej aj a”.

Od wczoraj Edzio rwie włosy z głowy. Niepotrzebnie. Korekta była naprawdę znakomita i ani razu nie pomyliła nazwiska.

Osoba mnoga

Żony mają w sobie coś z rodzin królewskich. Nie mam tu na myśli posiadłości czy pałaców, ale liczbę mnogą. Nie chodzi bynajmniej o to, że jestem bigamista, raczej o ich zręczne panowanie nad odmianą przez osoby, dzięki czemu panują nad światem. Męskim rzecz jasna.

Znałem tylko jednego mężczyznę, który potrafił sobie z tym poradzić. Mędrzec ów zwykł był na eleganckich przyjęciach podkradać się niezauważony przez własną żonę do wysoko postawionych osobistości i opowiadać im o swojej ciotce - księżnej. Jego pozycja towarzyska rosła aż do chwili, gdy w kulminacyjnym momencie opowieści o ciotce nadeszła jego żona.

- I wówczas moja ciotka, księżna zresztą... - powiedział ów człowiek licznie zgromadzonemu audytorium.

- Moja ciotka - przerwała żona. - Moja. A teraz idziemy do domu.

Podobno nikt go już później nie widział. Dlatego też bardzo uważam, by nie przyznawać się do cudzych ciotek, i zawsze kiedy powtarzam bon mota zasłyszanego od żony, przytaczam autora. Pewnych rzeczy jednak nie jestem w stanie przewidzieć.

Jestem stuprocentowym mężczyzną. Nie piszę tego, by się chwalić, przytaczam tylko słowa najlepszej z żon, które padły zeszłego weekendu w czasie wizyty u Roszków. Opowiadałem właśnie, jak z narażeniem życia własnoręcznie montowałem regały w gabinecie.

- Chciałem, żeby stanęły symetrycznie - wyjaśniłem nieznacznie tylko znużonemu audytorium.

- Chcieliśmy - dorzuciła najlepsza z żon.

- No właśnie - przytaknąłem odruchowo i ciągnąłem dalej. - Bardzo długo szukałem tych regałów. Zjeździłem...

- Zjeździliśmy... - wtrąciła się najlepsza z żon - ...całą Warszawę - opowiadałem. - Aż wreszcie wchodzę do sklepu.

- I widzimy bardzo ładne regały - syknęła naj lepsza z żon.

Nie będę szczegółowo streszczał sprawy regałów. Dość, że nie skończyłem opowieści, bo zapomniałem puenty. To jest zapomnieliśmy. Po powrocie do domu najlepsza z żon milczała, co nie wróżyło nic dobrego.

- Jesteś stuprocentowym mężczyzną - powiedziała i odwróciła się do ściany.

Poczułem się mile połączony, niestety, z niewiadomego powodu najlepsza z żon postanowiła nic już nie mówić przez cały dzień. Dopiero następnego dnia dowiedziałem się od pani Roszko, że jestem mężczyzną w sensie stuprocentowo negatywnym.

- Biedactwo nie mogło znieść tego, że przypisujesz sobie wszystkie zasługi w wyposażaniu mieszkania - tłumaczyła mi pani Roszko. - A przecież razem wybieraliście te rzeczy. Razem jeździliście po Warszawie. Nie możesz tego negować.

Od tego czasu moje życie się zmieniło. Opowiedziałem Kazikom, jak wybraliśmy nowe kanapy, a kiedy Edzio napatoczył się na mnie na ulicy, opowiedziałem, jak zrobiliśmy przegląd samochodu.

O tym, że jest niedobrze, przekonałem się w autobusie, którym wracałem z warsztatu.

- Poprosimy bilet - powiedziałem.

Kierowca spojrzął podejrzliwie.

- Ile tych biletów?

- Poprosimy jeden bilet - zniecierpliwiłem się.

Mruczał coś o dziwakach, ale szybko dał mi bilet.

Życie w liczbie mnogiej zaczęło mi się nawet podobać. Odkryłem, że sprawy w urzędach załatwiam znacznie szybciej, gdy zwracam się do urzędniczki w *pluralis maiestatis*. Kolejne wizyty Roszków przebiegały w nienagannej manierze politycznej poprawności. Relacjonowałem, jak to reperowaliśmy spłuczkę. Goście świetnie się bawili opowieścią, jak udało się nam zafarbować moje spodnie na różowo (najlepsza z żon wzruszyła tylko ramionami, kiedy usiłowałem przekonać ją, że wrzucenie do pralki różowego kocyka nie było najlepszym pomysłem).

- Na przyszły raz będziemy wiedzieć, żeby nie prać spodni z kocykami - zakończyłem. Roszkowie pokiwali głowami, rozejrzeli się po naszym gabinecie i wyrazili uznanie dla naszych regałów.

Następnie przeszliśmy do salonu, gdzie poczęstowaliśmy Roszków wschodnimi przysmakami, które przygotowywałem długie godziny.

- Przygotowywaliśmy je długie godziny - zaznaczyłem na wszelki wypadek.

- Kochanie, nie domyłeś sztucców - zwróciła mi uwagę najlepsza z żon.

- No właśnie, nie domyliśmy - przyznałem odruchowo.

- Ty nie domyłeś - uśmiechnęła się słodko małżonka. - I przetrzyj podłogę, tam gdzie odkurzałeś, wciąż jest brudna.

Kiedy następnego dnia omawialiśmy z Roszkiem różne przypadki deklinacji i koniugacji, byliśmy zgodni.

- Uważamy, że powinniśmy wypić jeszcze po piwie - powiedział Roszko do siebie.

- My też tak uważamy - przyznałem mu rację. Kelner przyniósł nam cztery piwa.

Wróciliśmy do domu w dobrym humorze i pocałowaliśmy najlepszą żon.

Myślmy teraz sobie, że królowie wcale nie mają życia usłanego różami, kiedy mówią: my, król... i tak dalej. Musieli dostać niezłą szkołę. My dostaliśmy.

Tematy do konwersacji

Serdeczność to ta cecha, którą nam, tubylcom kraju nad Wisłą, przypisują wszystkie zagraniczne przewodniki turystyczne. Trudno się więc dziwić, że my, potomkowie Lecha czytający obce przewodniki, na widok anglojęzycznej panienki o pięknym akcencie i z wybitnym biustem modelowo rozplątaliśmy się w serdecznościach i w szybkim tempie dążymy do nawiązania głębokiej konwersacji, z której jesteśmy tak znani.

Czasami też zdarza nam się zastosować ten model zachowania w stosunku do współziomków. O ile jednak panienka zniknie z naszego życia zaraz za rogiem, zadowolony konwersacją o pięknym mieście, o tyle współziomek, niestety, pozostanie. Naprzykład w windzie.

- Na które piętro panjedzie? - zapytałem uprzejmie pogodnego pana z teczką w windzie swojego domu. Było wczesne popołudnie, a dzień dobry i słoneczny. Pogodny uśmiechnął się szeroko.

- Na osiemnaste. Państwo, widzę, mieszkają wyżej.

Nacisnąłem guzik z osiemnastką.

- Tak, my mieszkamy wyżej - odparłem uprzejmie.

Winda ruszyła z cichym westchnieniem.

- Mają państwo zapewne ładny widok.

- O tak - odparłem. - Ale i pan ma ładny.

- Dobry widok z okna to cenna rzecz - odpowiedział Pan Pogodny.

Uśmiechnęliśmy się do siebie uprzejmie. Czy jest coś przyjemniejszego niż taka niezobowiązująca pogawędka w słoneczny dzień? Prawie nie zauważyłem, gdy winda osiągnęła piętro Pana Pogodnego.

- Bardzo miło mi się z państwem konwersowało

- pożegnał się Pogodny.

- Nam również - odparliśmy chórem z najlepszą z żon.

Wspomnienie pogawędki ogrzewało nasze serca aż do wieczora. Wieczorem pomaszerowałem z kubelkiem na śmieci do windy. Na osiemnastym dosiadł się Pan Pogodny.

- I znów się spotykamy! - wykrzyknął radośnie.

- Czy u pana nadal taki piękny widok z okna?

- O tak - odparłem. - Warszawa to piękne miasto. Pogodny uśmiechnął się serdecznie i przestrzegł mnie po przyjacielsku, żebym uważał, bo worek mi się przedziera z boku, a ja zrewanżowałem się uwagą, że z workami tak już jest. Rozstaliśmy się w głębokich ukłonach.

Cóż, drogi czytelniku, może nie ekscytuje cię ta wymiana zdań, ale czy wyobrażasz sobie może, że winda to miejsce na błyskotliwą dysputę o dziurze ozonowej?

Ja również sobie nie wyobrażam, zwłaszcza gdy dzień wstaje ponury, a ja jestem zły i głodny i właśnie jadę do pracy. Tak było wtedy, gdy po raz trzeci natknęliśmy się na siebie - Pan Pogodny i ja. I tym razem spotkaliśmy się w windzie. Wyprodukowałem na twarzy uprzejmy uśmiech.

- Wie pan, ten worek mijednak nie pękł - zagailem, starajac sie utrzymac poziomo opadajace kaciiki ust.

W koncu nie moglem puszcic naszej pogawedki w niepamiec i traktowac gojak kogos obcego. Doszlimy przeciez w rozmowie do tego, ze mamy rownie piekne widoki z okna.

Tymczasem na twarzy Pogodnego odmalowalo sie zdumienie.

- Ach, worek. Na smieci zdaje sie, tak? - przypominalem sobie. - No i co u pana nowego?

Spojrzałem na wyświetlacz. Przed nami było jeszcze dziesięć pięter wspólnej podróży.

Na szczęście tego dnia zamierzałem kupić ciastka kokosowe. Szczegółowo opowiedziałem Pogodnemu o mojej wielkiej sympatii do ciastek.

- O, to interesujące - powiedział Pogodny i przecisnął się czym prędzej przez otwarte właśnie drzwi windy.

Ile to razy, czytelniku, jest tak, że snujesz się po mieście w nadziei spotkania kogoś znajomego, z kim opowiecie sobie wszystko o Tolkienie, i jak na złość nie spotykasz nikogo. Ile zaś razy jest tak, że przywołujesz windę, a w niej jest już Pan Pogodny, lecz ty nie masz mu już absolutnie nic do powiedzenia. Pogodny, zobaczywszy mnie, rozwarł nieco usta w uśmiechu. Ciężar czekającej nas pogawędki siadł nam na karkach i przygiął do ziemi. Winda ruszyła. Kiedy się tu wprowadzaliśmy, powiedziano nam, że sęto windy szybkie. Dobrze sobie. Ta wlokła się jak stara kura.

- Widzę, że nie ma pan żadnej siatki. To znaczy, że nie kupił pan ciasteczek? - zagał Pogodny.

- No widzi pan, nie było.

- Nie może być.

- A jednak.

Byliśmy dopiero na ósmym.

- A co sądzi pan o spadku popularności rządu?

- Hmm - powiedział Pogodny. - Hmm.

- No właśnie - zgodziłem się z nim.

- Tak to już jest, różnie, dziwnie, zawszejakoś tak... - ciągnął z rozpaczą Pogodny, podczas gdy piętra przesuwaly się boleśnie wolno. - Bo życie to jest czasem... o, już wysiadam, do widzenia.

Wieczorem przedyskutowałem sprawę z najlepszą z żon.

- Widzisz, to jest gorsze niż pisanie felietonów - powiedziałem. - Ani go znam, ani nie znam. Trudno mi nic nie mówić do niego, trudno mi też mówić. Ratuj.

- Unikaj go po prostu - powiedziała najlepsza z żon. - On nie będzie ci miał za złe.

Łatwo powiedzieć, ale zrobić... Następnego dnia winda znów stanęła na osiemnastym. Drzwi otworzyły się szeroko, ale w korytarzu nikogo nie było. Wyrzałem ukradkiem. Przy ścianie czał się Pan Pogodny.

- O, to pan - powiedział markotnie. - Znowu. Bardzo się cieszę. Będziemy mieli okazję do naszych miłych pogawędek.

- Właśnie - wymamrotałem. - Lubię te nasze pogawędki.

- Myślałem dzisiaj o pomidorach - powiedział z wysiłkiem pan Pogodny. - Chciałbym dziś kupić pomidory.

- Czerwone?

- Tak. Duże i czerwone.

- Kiedyś to były pomidory. Jeszcze czerwiejsze. Lubi pan pomidory?

- Nie, właściwie nie.
- Nawet tych czerwonych?
- No, może trochę.
- O, już ósme, wkrótce wysiadamy.
- Kiedyś też była inna fasolka. Taka bardziej zielona.
- O, tojeszcze o tym pogadamy - zasepił się Pogodny. - No, to do widzenia.

Idą święta wielkanocne. Dla mnie to miła informacja. Będziemy mogli z Panem Pogodnym pokonwersować o jajkach albo o szynce, a potem o dietach. O ile oczywiście mnie pozna. Odpewnego czasu jeżdżę windaw peruce i płaszczu żony. Na osiemnastym wsiada starzec z brodą, ale nigdy się do nikogo nie odzywa. Ja zresztą też nie.

On mnie uwielbia

Jak mawia Gabriel Garcia Marquez, opowiadanie ma to do siebie, że nie ma początku ani końca i albo zacznie się kleić, albo nie. W istocie. Niejestemw stanie podać początku niniejszej historii tworzonej pracowicie przez najlepszą z żon, a kiedy w ogóle zacząłem coś zauważać, prawdopodobnie rzecz trwała już kilka miesięcy. W każdym razie najlepsza z żon stała i mówiła:

- Nie może tak być, że idziemy do Roszków w odwiedziny, a ty w ogóle nie okazujesz, jak bardzo mnie kochasz. A na przykład taki Roszko ponoć okazuje to wszędzie, przynajmniej tak mówi pani Roszko. Dlaczego ona ma mieć lepiej? Więc kochany, mam tu na kartce takie, ekhm, małe przemówienie, które napisałam wczoraj wieczorem w twoim imieniu, i chciałabym, byś spontanicznie wygłosił je u Roszków, możliwie jeszcze przed pierwszym daniem.

Teraz, kiedy piszę te słowa, rozumiem, że tkwiłem już wtedy w tej historii po uszy, bo zamiast machnąć ręką jak gdyby nigdy nic, zasiadłem z przemówieniem w garści i zacząłem wkuwać. Po godzinie małżonka urządziła mi mały egzamin.

- Moja żona... - zaczęła.

- Moja żona to najlepsza rzecz, jak przydarzyła mi się pod słońcem - wygłosiłem, starając się nie patrzeć w kartkę. - Jest mądra, kochana i raz na tydzień sama zmienia pościel oraz prasuje moje koszule najlepiej na świecie.

- Odkąd... - podrzuciła najlepsza z żon.

- Odkąd to prasujesz koszule? - zapytałem.

- Kochany, czy ja mówię, że to literatura faktu? - spytała. - Jedźmy dalej, od słów „najlepiej na świecie”.

Wyznaję, że nie jestem dobrym recytatorem i już w przedszkolu poniosłem klęskę, kiedy to w wierszu o warzywach, zamiast wykrzyknąć „Pan tak wędnie, panie koprze”, wygłosiłem „Pan tak wędnie, panie, i dobrze”. Tym razem jednak obyło się bez większych problemów i tylko raz zapomniałem, co dalej, ale wypadło to naturalnie.

Niepowiem, jak patrzył na mnie Roszko, bo i po co. Ale pani Roszko, tak, pani Roszko była naprawdę pod wrażeniem, nie mówiąc już o mojej promieniejącej małżonce.

- Ach, ten Talko - powiedziała - wprost nie może się nacieszyć z naszego małżeństwa!

Było oczywiste, że pani Roszko przystąpi do kontraktaku. I rzeczywiście - dwa dni później zaproponowała wspólny spacer uliczkami Starego Miasta, poczynając od Rynku. Przyszliśmy tam nieco wcześniej, akurat na chwilę, gdy pani Roszko w pośpiechu kupowała bukiet konwalii, który następnie wręczyła panu Roszko, a on na naszych oczach z powrotem wręczył gojej.

- Tak, tak - powiedziała pani Roszko, patrząc na moją małżonkę - on uwielbia dawać mi kwiaty bez okazji.

Wieczorem musiałem przyrzec zdruzgotanej małżonce, że też będę uwielbiał dawać jej kwiaty bez okazji, chyba że za taką uznamy przypadkową obecność Roszków.

- Bo ty musisz zrozumieć, jakie to ważne dla kobiety - mówiła najlepsza z żon - żeby wiedzieć, że ta pani Roszko nie ma lepiej. I jajej pokażę!

Rzeczywiście, po tygodniu najlepsza z żon umówiła się Roszkami w supermarkecie i ledwo pojawili się na horyzoncie, syknęła:

- No, obejmij mnie i jazda, dawaj buzi!

To była rzeczywiście piękna scena, gdy tak staliśmy rozdzieleni sklepowym wózkiem - jaz kalafiorem w rękę, a ona z bananami - i usiłowałem dać jej buzi.

- Romantyzm codzienności - powiedziała do pani Roszko najlepsza z żon.

To, co musiało nastąpić, nastąpiło. Pani Roszko poprosiła nas na kolację. Spóźniliśmy się dobrą godzinę. Drzwi były otwarte. Pan Roszko klęczał u stóp swej żony i na nasz widok wykrzyknął nieco teatralnie:

- I daję ci ten złoty drobiazg w cenie kompletu mebli zupełnie bez okazji i tylko dlatego, że jesteś wspaniała.

- Och, jej - odparła pani Roszko - zaskoczyliście nas w takich, ekhm, prywatnych chwilach. Przyszliście chyba zbyt wcześnie.

W dobrym opowiadaniu puenta zawsze zaskakuje czytelnika i to usiłowałem wytłumaczyć poślubionej przeze mnie kobiecie, która dwa dni z kompresem na głowie odchorowywała złoty drobiazg.

- Pani Roszko jest pewna - mówiłem - że zwabisz ją do nas, żeby ją przebić. Musisz ją zaskoczyć, a ja ci nawet powiem jak.

Mądrość męzowska polega na tym, by z każdej sytuacji wycisnąć coś dla siebie, możliwie bez rozlewu krwi. Gdy Roszkowie do nas przyszedli, ujrzeli najlepszą z żon galopującą po pokoju w fartuszkach dobrej gospodyni i z refrenem na ustach:

- Kochany, proszę: herbatka i ciasteczka, a tu mam prezent dla ciebie - koszulkę.

Było to wielkie przedstawienie. Podczas gdy ja rozwalałem się na kanapie, pan Roszko patrzył na żonę z wyrzutem niekochanego małżonka i tak pozostał do końca wieczoru.

-A jutro - powiedziałem, gdy zamknęły się zamykami drzwi - ona odda złoty drobiazg, żeby mu kupić krawat. A ja wymyślę, jak możesz ją przebić.

I co ciekawego, kochanie

Najlepsza z żon była chora. Leżała w łóżku.

- Przynieś mi coś do czytania - zaordynowała.

Przyniosłem opasłą powieść modnego autora, którą dopiero co kupiłem i nie zdążyłem nawet do niej zajrzeć.

- Już przeczytałam - wezwał mnie dźwięczny głos najlepszej z żon po godzinie. - Wiedziała, że kamerdyner zabił. Masz coś innego do czytania?

Miałem. Ale najlepsza z żon, niestety, ze wszystkim radzi sobie tak samo, a mianowicie oszukuje. Ja na przykład, choć skończyłem wyższe studia, do końca nie mogę pojąć, jak to się dzieje, że detektyw łapie winnego, i nie mam pojęcia, kogo wskaże Hercuła Poirot oskarżycielskim gestem. A tymczasem najlepsza z żon przerzuci kilka stron, ziewnie i mówi:

- To oczywiście, że zabił ogrodnik.

- Skądże - upieram się. - Na pewno ten major, strasznie podejrzany i raz utyka, a raz nie.

- Ogródnik - krzywi się żona. - Zresztą zaraz sprawdzę.

Nim zdążę jej przeszkodzić, przerzuca na ostatnią stronę i woła z triumfem:

- A nie mówiłam! Ogródnik. Kłamał z tym ałibi.

Nic dziwnego, że wołę nie czytać przy niej kryminałów, niestety, przemożna chęć sprawdzenia, jak to wszystko się kończy, przeniosła się również na inne gatunki literackie.

- Już przeczytałaś? - zdumiałem się, kiedy po godzinie oddała mi opasłą książkę.
- Mhm - powiedziała niewyraźnie.
- Pięćset stron w godzinę?
- E tam- machnęła ręką. - Od razu podejrzewałam, jak to się skończy. No to przeczytałam tylko ostatni rozdział. Kochanie, nudzę się. Opowiedz, jak było w pracy.

Był czas, gdy nawet lapidarne sprawozdanie: „Byłem w redakcji, spotkałem tych co zawsze, powiedzieli mi «Cześć», a potem «O, już wychodzisz!»", wywoływało gorący zachwyty moich najbliższych. Szybko jednak najlepsza z żon, zła odmianna, zaczęła domagać się barwniejszych opowieści.

- To powiedz, w co byli ubrani.
- Kto?
- Ci co zawsze.

Stałem się mistrzem codziennej obserwacji. Cóż jednak z tego, gdy ci co zawsze ubierali się w to co zawsze i już po tygodniu zabrakło mi kreacji do opisanego!

Poniedziałek

Zwykle nie zastanawiam się, co robię w pracy. Do dziś wydawało mi się, że po prostu pracuję. Ale tylko do dziś.

- O, już wróciłeś - ucieszyła się najlepsza z żon, kiedy wszedłem do domu. - Siadaj i opowiadaj.

- Ale co? - zdumiałem się.
- Jak to co, no, jak było w pracy, co robiłeś, kogo spotkałeś...
- Zadzwoiłem do paru osób, umówiłem się na jutro i wróciłem.
- Nie, nie - najlepsza z żon pokręciła z niesmakiem głową. - Ale co ci się przydarzyło.
- Nic - rozłożyłem ręce. - Poszedłem do pracy, popracowałem i wróciłem.
- Nie chcesz mówić, to nie - obruszyła się najlepsza z żon. - Ja choruję, a ciebie to nie obchodzi. Czy naprawdę nic się na świecie nie dzieje? - zapytała z kocyka najlepsza z żon, gdy ze skrucą wyznałem, że niestety, nie mam żadnych ciekawych wiadomości. Faktem jest, że w pogoni za nowinami posunąłem się nawet do molestowania tych co zawsze, by powiedzieli mi, dlaczego tego dnia ubrali się akurat tak jak zawsze, a nie inaczej, oraz zeznali wszystko, co w ogóle przydarzyło im się w życiu. Z czasem, zamiast pracować, obdzwaniałem dawno niewidzianych znajomych, oczekując od nich tylko jednego: „Co nowego, kochani?” Niestety, jedyną nowością, jaką zdobyłem i przyniosłem w zębach, były narodziny czterech małych kotków, którymi pochwaliła się nieznana mi dziewczyna na stołówce.

Wtorek

Poszedłem do pracy. Zadzwoiłem i się umówiłem z jakimś dyrektorem, którego odpytałem z wyników finansowych jego spółki, zjadłem obiad, wypłem kawę i wróciłem.

- Hej, kochanie - powitałem najlepszą z żon.
- No, opowiadaj, jak było - uśmiechnęła się najlepsza z żon.
- Przyszedłem do pracy, podzwoiłem, pogadałem z jakimś dyrektorem, zjadłem obiad, wypłem kawę, no i jestem.
- A z kim jadłeś obiad? - zainteresowała się najlepsza z żon.
- Z Basią, Krysią i Markiem - powiedziałem.
- A co mówili?
- No nic - stropiłem się. - Jedli obiad. Basia sałatkę...

- O! - ucieszyła się najlepsza z żon. - To już coś. Czyli się odchudza. No mów mi zaraz.
- Boja wiem...
- Zapytałeś ją chyba dyskretnie - nasrożyła się najlepsza z żon. - To pewnie dieta *south beach*. A może Atkinsa. No mów, nie mogę wytrzymać z ciekawości.
- Nie, po prostu adła sałatkę i nie przyszło mi do głowy, żeby ją pytać, dlaczego je tę sałatkę. Sądziłem, że po prostu lubi - broniłem się.
- Jesteś beznadziejny. Ale jak nie chcesz, to nie mów. Przecież ja nie przeżywam żadnych ekscytujących przygód. Siedzę w domu i choruję, za to ty cały dzień spotykasz się z ludźmi. A potem wracasz i mówisz, że jadła sałatkę, i to wszystko.
- No bojadła - westchnąłem ponownie.
- Kochanie - naj lepsza z żon podniosła się na łożku. - A co ja miałam na sobie na imprezie w zeszłym tygodniu?
- Ubranie miałaś - odparłem.
- A jakie?
- No bluzeczkę i spodnie.
- A dlaczego?
- Jak to dlaczego? - zdziwiłem się. - Jak się idzie na imprezę, to trzeba się ubrać.
- Najlepsza z żon jęknęła i pomyślałem, że się jej pogorszyło
- Kiedy już zreanimowałem ją herbatą, westchnęła ciężko i powiedziała.
- Miałam na sobie białą bluzkę tę którą kupiłam we Francji. Dlaczego.
- Bo pasowała do spodni? - strześliem.
- Nie, nie, nie. Włożyłam ją, bo ty tak dziwnie patrzyłeś na tę znajomą Kazików zeszłym razem. Więc ja włożyłam tę bluzkę żeby jej pokazać, że jestem wystrzałowa i pociągająca i wszyscy na mnie lecą, a najbardziej ty. I ona to zauważyła i się odczepiła, zresztą była w indyjskiej sukience, czyli dała znak, że się poddaje i nie będzie cię emablować dekoltem.
- Rany boskie - zdziwiłem się. - A ja myślałem, że po prostu byliśmy na imprezie.
- Najlepsza z żon znowujęknęła.
- To powiedz chociaż, jakjechałeś do pracy.
- Korek był.
- I był to pewnie duży korek?
- Ogromny.
- A kto stał na pasie obok? Może Kazik? - podsunęła.
- Było to jakieś wyjście. Kazik nie stał, ale w sumie dlaczego miał nie stać. Przecież mógł wsiąść do samochodu i gdyby wjechał w ten korek, to mógł teoretycznie stanąć obok mnie. Barwnie odmalowałem stanie Kazika i aż do wieczora najlepsza z żon miała zabawę, rozważając, dlaczego Kazik akurat wtedy stał na pasie obok.
- Powiedziała, że powoli, ale zmieniam się na lepsze i coś wreszcie zaczynam zauważać z życia.

Środa

Poszedłem do pracy. Ponieważ uczę się na błędach, postanowiłem nie dzwonić, nie umawiać się na spotkania ani nie wykonywać żadnej głupiej pracy, tylko wziąć się do prawdziwej roboty i udzielać się towarzysko.

- Hej, Marek, jak leci? - zagailem
- W porządku - powiedział Marek.

Potem umówiłem się z Krysią na kawę i wyznała mi, że zamierza pomalować kuchnię, a

wreszcie poszedłem na papierosa z Krzyśkiem i zapytałem, co u niego, a on powiedział, że w porządku.

- No więc słuchaj - zacząłem w domu. - U Krzyśka wszystko w porządku, Krysia chce wyremontować mieszkanie i właśnie szuka ekipy, a u Marka też wszystko w porządku.

- No i? - zainteresowała się najlepsza z żon.

- No i to tyle - powtórzyłem.

- Ale jakieś niusy, co tam u narzeczonej Krzyśka, czy mąż Kryski nadal nie chce dziecka?

- Nie wiem, nie rozmawialiśmy o tym.

- To o czym rozmawialiście? - westchnęła teatralnie najlepsza z żon.

Czwartek

Poszedłem do pracy wcześniej. Uznałem, że zdążę wszystko napisać kiedy indziej, i zostawiłem pracę w spokoju. Przepytałem wszystkich o narzeczonych i narzeczone.

- Opowiadaj, kochanie - ucieszyła się najlepsza z żon.

- No więc Krzysiek pokłócił się z narzeczoną i przez cały dzień się nie odzywali, ale już się pogodzili - zeznałem. - Poza tym Kryśka myśli o tym, żeby na razie kupić psa, ajak mąż już się przyzwyczai do psa, to wtedy pomyślą o dziecku.

- No, no, dobre, i co dalej - najlepszażon uniosła się łóżka.

- No i zaczęliśmy rozmawiać o różnych rasach, wiesz, podobno teriery bywająłośliwe...

- Co mnie obchodzą teriery - westchnęła najlepsza z żon.

- Myślałem, że chcesz niusów - naburmuszyłem się.

Żona nakryła się poduszką i nie odzywała się do wieczora.

Piątek

Nie poszedłem do pracy. Poszedłem do kawiarni, gdzie cały dzień czytałem książkę. Wróciłem po południu.

- No i co się zdarzyło? - najlepsza z żon już nie mogła usiedzieć. - Jakieś niusy?

Niech mi Kazik wybaczy, ale opowiadałem, jak to widziałem go z coraz inną narzeczoną, długo opowiadałem o Roszku unoszącym z księgarni dziesięć książek, za które nie zapłacił, o tym, jak chudziutki Edzio Obst publicznie przyłożył w ucho krytykowi Franciszkowi Pitulce, i o wstrząsająco urodziwych brunetkach spotykanych w korkach.

Również nudne życie znajomych z pracy nagle nabrało kolorów.

- Nie uwierzysz - zawieszałem głos i patrzyłem na najlepszą z żon. - Słuchaj tylko, ta narzeczona Krzyśka kręci coś z innym facetem. Widziano ich na mieście. Krzysiek cały czas płacze.

- O rany - najlepsza z żon aż zamilkła. - I co teraz?

- Nie wiem - westchnąłem. - Najgorsze, że Krysia chyba rozwiedzie się z mężem. Pokłócili się o tego psa. Ale była awantura, nawrzucała mu, że słyszelijana drugim piętrze.

- Niesamowite - najlepsza z żon aż odrzuciła kocyk. - I co, i co?

-No cóż, nie chciałbym zapeszyć - zawiesiłem dramatycznie głos... ale z Krysi to też nie jest aniołek. Zamknęła się z Krzyśkiem w gabinecie szefa i nie wychodzili przez godzinę. A jak wyszli, to byli tacy dziwnie zarumienieni.

- Nie mów - naj lepsza z żon aż się poderwała.

- Ale żeby to było wszystko - westchnąłem. - Nie wiesz jeszcze o Marku. A Marek? Ech, Marek po prostu przygruchał sobie stażystkę. Wiesz, ona wcześniej była z takim gościem z telewizji. Tym, który prowadzi ten nowy teleturniej.

- Kochanie, jesteś prawdziwym mężczyzną - powiedziała najlepsza z żon. - Już mi lepiej. Lecę opowiedzieć to przyjaciółkom.

Najlepsza z żon ozdrowiała. To ta dobra wiadomość. Zła to taka, że w poniedziałek chce koniecznie pogadać z Krysią o jej mężu. Ale jutro coś wymyślę.

Poltergeist

Za wydarzenia opisane w tym felietonie niewątpliwie odpowiada jakiś złośliwy duszek. Nie potrafię tego inaczej wytłumaczyć i zamierzam zgłosić sprawę do jakiegoś specjalistycznego programuzajmującego się Poltergeistami włączającymi domowe urządzenia elektroniczne.

Poniedziałek

W naszym życiu telewizja odgrywa zbyt wielką rolę. To akurat zdanie najlepszej z żon, ale podpisuję się pod nim obiema rękami. Gdyby człowiek (czyli w tym przypadku my) nie oglądał tyle telewizji, miałby czas na wszystko. Mógłby taki człowiek, powiedzmy, zająć się jakimś pożytecznym hobby, więcej czasu przeznaczyć dla rodziny, poczytać książki albo po prostu odpocząć.

- Zaczynamy od dzisiaj - zdecydowała najlepsza z żon. - Żadnego serialu wieczorem.

Telewizor milczy, a my siedzimy na kanapie i czytamy książki, na które nigdy nie mieliśmy czasu.

Jest wspaniale.

Wtorek

Nadal jest wspaniale. Rano zrobiłem sobie kawę i delektowałem się nią, obserwując, jak ptaszki za oknem budują gniazdo.

- Popatrz, jaka ta przyroda jest niezwykła - zwróciłem uwagę najlepszej z żon, ołsniony swoją spostrzegawczością. - Ten ptaszek wraca już siódmy raz z gałązką.

- To wróbełek - powiedziała żona.

Kiedy wróbełek sobie połeciał, zrobiłem herbaty i rozkoszowałem się wołnością.

- Popatrz - powiedziałem najlepszej z żon. - Nie oglądamy telewizji i wcale się nie nudzimy. Siedzimy sobie tak i rozmawiamy o przyrodzie. Nigdy w życiu nie rozmawialiśmy o przyrodzie. No i wreszcie wiem, że to szare to wróbełek.

- Uhm - potwierdziła najlepsza z żon zaczytana w gazecie. - A wiesz, że ten Ryszard to okazał się złodziejem?

- Jaki Ryszard? - otworzyłem oczy.

- No ten z serialu - mruknęła najlepsza z żon. - A ja od początku uznałam, że mu jakoś źle z oczu patrzy. Popatrz, wszystko wiem dzięki streszczeniom. Czy to nie cudowny wynalazek? Zamiast tracić czas, przeczytam i jestem na bieżąco.

środa

- Oglądasz telewizję - zaskoczyła mnie z rana najlepsza z żon.

- Nie, skąd - broniłem się jak łew. - Po prostu usiadłem na kanapie i pewnie pilot był pod poduszką. I jakoś sam się włączył.

- Ale dlaczego włączył się na jakimś głupim meczu? - podejrzliwie spojrzała żona, odbierając pilota i zmieniając kanał. - O! Mógł się, powiedzmy, włączyć na serialu.

- Wyłącz to zaraz! - zawołałem. - Przecież już to znasz, czytałaś streszczenie.

- Mhm, chwilę - powiedziała najlepsza z żon nieobecny tonem. - Nic nie pisali o tym, że tajego narzeczona jest w ciąży. No popatrz, dobrze mówią, że gazety kłamią.

Czwartek

Nie mam pojęcia, jak to się stało, ale telewizor sam się włączył. Najlepsza z żon przysięga, że to nie ona. Ja też nie. Tak, to pewnie dziecko włączyło. Chcieliśmy nawet wyłączyć, ale pilot gdzieś się zapodział. Tak, to pewnie dziecko gdzieś schowało.

- E tam, jak trochę pooglądamy, to nic się przecież złego nie stanie - machnąłem ręką.

- No właśnie - odetchnęła najlepsza z żon. - A gdzie masz program?

- Po co ci program? - zdziwiłem się.

- Bo jak już jest włączony, to lepiej obejrzyć coś wartościowego, prawda - logicznie rozumowała najlepsza z żon.

Skończyło się na tym, że obejrzelśmy serial.

- Jeśli chcesz z czymś walczyć, musisz to najpierw poznać - argumentowała najlepsza z żon. Trafiło mi to do przekonania. Właściwie skąd mam wiedzieć, że te seriale są takie beznadziejne, jeśli ich nie oglądam?

Piątek

Znowu gra telewizor. Najlepsza z żon mówi, że to nie ona włączyła. Cóż, trudno, skoro gra, to oglądamy. Może znajdziemy pilota, to wyłączymy. Bez pilota też można wyłączyć, ale trzeba wstać z kanapy. A jak mam wstać, jeśli leży na mnie kot, a obok siedzi żona i prowadzimy rozmowę, podtrzymując więzi małżeńskie? To właśnie najlepsza z żon uświadomiła mi, że większość małżeństw w ogóle ze sobą nie rozmawia. A my rozmawiamy. O serialu, który właśnie leci, i obnażamy bezlitośnie wszystkie jego słabe strony. Fabuła jest beznadziejna. Aktorzy nie mają za grosz zdolności. Nic się nie dzieje, a w dodatku co chwila jest *product placement* i bohater zajeżdża samochodem tak, żeby było widać markę.

Naprawdę nie rozumiem, jak ludzie mogą na to poświęcać czas. Przecież zdążyłem zrobić herbatę, pogadać przez telefon z Roszkim, a ten Ryszard nawet nie wyszedł z salonu.

Sobota

Ten Ryszard to swoją drogą jest niezłe ziółko. A tak niewinnie wyglądał. Okazuje się, że oprócz narzeczonej, której zrobił dziecko, miał na boku inną i też jej zrobił dziecko. To łobuz. A potem mężczyźni mają złą opinię. Ciekawe, co będzie dalej. Ta narzeczone Ryszarda opiekuje się ptaszkami. Dowiedziałem się, czym się różnią gile od sikorek, bo postanowiłem oglądać telewizję edukacyjnie.

Śmiechu warte

Niedziela

Dzisiaj zobaczyłam w telewizji taki śmieszny program. Widzowie przysyłają nakręcone przez siebie filmiki wideo. Najednym było dwoje dzieci w piaskownicy. Jedno przyłożyło drugiemu łopatką, a to drugie się przewróciło. Publiczność w studiu wyła ze śmiechu. Potem był filmik, na którym pan młody miał pocałować pannę młodą, a ta nagle się przewróciła. Widzowie pospadali ze śmiechu z krzeseł. Potem Leszek spadł z krzesła, kiedy prowadzący na końcu powiedział, że autor najśmieszniejszego filmu dostanie samochód.

Poniedziałek

Leszek przyniósł dzisiaj kamerę. Mówi, że wcale drogo nie kosztowała, ale lepiej, żebym te bluzeczki letnie, które widziałam na przecenie, kupiła w październiku.

- Kiedy dostaniemy samochód - powiedział - nie będziesz musiała kupować na przecenach. Wejdziemy po prostu do sklepu i wszystkie letnie ciuchy kupimy już wiosną.

Wtorek

Pomyślałam, że zimowe rzeczy kupię już teraz, mimo że nie ma przeceny. W końcu mamy wygrać samochód. Udało mi się zdobyć wspaniałe rzeczy. Niestety, nie kupiłam kurteczki na futerku, mimo że była bardzo piękna. Pani w kasie tłumaczyła, że został przekroczony limit kredytowy. Powiem Leszkowi, żeby coś zrobił z tym limitem. W końcu ktoś może mi podkupić tę kurteczkę.

Środa

Leszek nie był zachwycony. Wspominał coś o równowadze między wpływami i wydatkami, i skonfiskował mi kartę.

- I tak na razie na nic ci się nie przyda - powiedział.

Obiecał, że odda mi najesieni.

- Ale co z tą kurteczką? - zapytałam na koniec. Załamał ręce i od początku zaczął mówić o tych wpływach, więc powiedziałam dla świętego spokoju, że wszystko rozumiem. Jutro pożyczę pieniądze od pani Roszko i kupię kurteczkę.

Leszek zamknął się w łazience z kamerą. Kilka razy pytałam, co tam robi. W końcu otworzył i powiedział, że nie ma pojęcia, gdzie jest DV IN, i czy przypadkiem ja nie wiem.

- A jak to wygląda? - zapytałam na wszelki wypadek, żeby okazać dobrą wolę. - Może gdzieś widziałam.

Leszek znowu się zamknął. Wyszedł dopiero wieczorem i zapytał, czy nie weszłabym do łazienki. Powiedziałam, że nie. Na to on, żebym się zastanowiła i może jednak weszła. Zgodziłam się, żeby zrobić mu przyjemność, ale zauważyłam, że na podłodze jest rozlana woda. Powiedziałam, że wytrę, a on się strasznie zdenerwował.

- Wejdz w wodę - powiedział i przyłożył kamerę do oka. Kiedy jest w takim nastroju, lepiej z nim nie dyskutować. Przeszłam w tę i z powrotem. Leszek wcale nie był zadowolony. - A mogłabyś przejść jeszcze raz i się przewrócić? - zapytał. - Nie wyślę przecież kasety, na której po prostu chodzisz w tę i z powrotem. - Spróbowałam się przewrócić, ale Leszek znowu narzeka, mimo że zrobiłam pięć dubli. - Przewracasz się za

mało widowiskowo - orzekł. - Czy musisz się wciąż asekurować tą ręką? Dobrze by było, gdybyś zawadziła o szafkę i ona by się przewróciła na ciebie. Odmówiłam. Leszek się obraził i mamy ciche dni.

Czwartek

Dzisiaj Leszek znowu się obraził. Kiedy po ciemku wracałam do łóżka, wyskoczył nagle z tyłu i wrzasnął mi do ucha. Zdzieliłam go po głowie czajniczką do herbaty, bo akurat był pod ręką. Leszek jest wściekły, bo nie zdążył tego zarejestrować, a poza tym ma zabandażowaną głowę i nie może zrozumieć, że uznałam go za włamywacza. Wciąż ma pretensje i powtarza, że pani Roszko nagle przestraszona przewróciłaby się albo zaczęłaby wrzeszczeć i byłoby śmiesznie, a ze mnie nic się nie da wykrzesać. Na szczęście kamerze nic się nie stało.

Piątek

Leszek od rana namawia mnie, żebym upozorowała upadek z łóżka. Niby że śpię, przewracam się na bok i nagle spadam. Odmówiłam, bo jeszcze bolą mnie łokcie po upadkach w łazience. Leszek próbował ustawić kamerę na parapecie i sfilmować, jak sam spada, ale podobno ja bym spadała o wiele bardziej przekonująco.

Leszek od rana jest zły. W drzwiach rozpiął linkę tuż nad podłogą. Powiedziałam: „O, linka”, i przeszłam nad nią. Leszek wpadł w furję. Krzyczał, że miałam się przewrócić i żebym natychmiast zaczęła nogą o linkę i pociągnęła za sobą zasłonę. Pociągnęłam zasłonę i nawet spadła, ale Leszek twierdzi, że sama spadająca zasłona nie załatwi nam samochodu.

Sobota

Bałam się wyjść z pokoju, bo Leszek postawił wiadro z wodą na drzwiach i zaczął się na mnie z kamerą. Schowałam się w szafie, a on wołał, żebym wyszła. Wreszcie się zdenerwował i postanowił wyciągnąć mnie siłą. Wtedy spadło na niego wiadro. Kiedy zabierało go pogotowie, wołał, że musi je sobie spuścić jeszcze raz, ale z włączoną kamerą. Pielęgniarze założyli mu kaftan. Dziwne. Kiedy wyszli, włączyłam kamerę. Kot Ptiszon, który spał na blacie, przez sen obrócił się na drugi bok i zleciał ze stołu. Boki zrywać! I ja to mam na taśmie.

Czego pragną kobiety

Jesień nastraja mnie filozoficznie. A jeśli akurat nie majesieni, takjak obecnie, to filozoficznie nastraja mnie myśl ojej nieuchronnym nadejściu. Nikogo więc nie zdziwi, że siedziałem z Roszkiem w kawiarni i rozważałem tajniki duszy kobiecej, a konkretnie, dlaczego jest tak, że mężczyźni wolą kuleczki curry, ewentualnie gołonkę, a kobiety czyste kafelki.

- Wyobraź sobie, że dziś po południu wpadasz na pomysł zaproszenia do domu kilku przyjaciół, nie pytasz pani Roszko, tylko...

- Nie wyobrażam sobie - przerwał Roszko.

- Podejźmy do sprawy jak teoretycy - próbowałem. - Możesz sobie wyobrazić, że jesteś prezydentem Stanów Zjednoczonych?

- Bez problemu - ucieszył się Roszko. - A więc, najpierw rozkazuję szefowi CIA, żeby załatwił tego kretyna, mojego szefa...

- Dobrze - przerwałem. - A teraz wyobraź sobie, że nie mówisz pani Roszko...

- Nie mogę - powiedział Roszko. - Zamiar zaproszenia znajomych muszą zgłaszać dwa tygodnie przed planowanym terminem, a pani Roszko ma piętnaście dni na wyrażenie opinii. Ale właściwie o co chodzi?

Ściągnąłem Roszka w trybie pilnym, żeby się z nim naradzić po rozmowie z najlepszą z żon. Zupełnie zapomniałem jej wspomnieć, że zaprosiłem kilka dni wcześniej do nas na popołudnie kilka osób.

- Wiesz, starzy znajomi - rzuciłem w drodze do kuchni. - Nic się nie martw, sam przygotowuję obiad. Kuleczki curry z chutneyem...

- Co takiego? - najlepsza z żon zbladłajak ściana.

- Kuleczki curry, naprawdę wcale nieostre - pospieszyłem z zapewnieniem, błędnie przyjmując, że to zagraniczna nazwa takją wytrąciła z równowagi.

- Jak to? Dzisiaj? - wydusiła najlepsza z żon. - Nic nie mówieś!

- No właśnie mówię - kontynuowałem zadowolony, że szok przeszedł. - A więc kuleczki...

- Mamy bałagan - najlepsza z żon dzikim wzrokiem potoczyła po mieszkaniu. Trzeba odkurzyć, posprzątać...

- Zajmę się tym - powiedziałem beztrosko, rzucając okiem na mieszkanie, które według mnie wyglądało całkiem przyzwoicie i zupełnie nie rozumiałem dzikiego spojrzenia małżonki sugerującego, że mieszkamy w melinie niesprzątanej od upadku Gomułki.

- Ani mi się waż - pogroziła najlepsza z żon. - Wszystko zamiatasz pod łóżko, a brudne naczynia schowałeś ostatnio na pawlacz i musiałam się za ciebie wstydzić.

No cóż, była to prawda, choć jak zwykle połowiczna. Brudne rzeczy chowam wyłącznie w miejscach, gdzie goście nie zagląдают, o wstydzie nie może być więc mowy.

Roztropnie jednak postanowiłem zniknąć z domu na czas sprzątania i stąd moja obecność w kawiarni z Roszkiem, którego szybko pożegnałem, by przygotować obiad.

Najlepsza z żon powitała mnie w nieskazitelnie czystej kuchni. Kafelki błyszczały, nawet łampy zostały umyte, a umywałka i wanna były chyba bardziej białe niż w sklepie.

Najlepsza z żon za to była całkiem szara.

- Żadnych kułeczek - zaprotestowała słabym głosem, kiedy zacząłem wyjmować przyprawy. - Nie na błacie, który wyszorowałam.

- A sałatkajarynowa i ziemniaczki z tymiankiem? - zaproponowałem.

- Nie ma mowy. Znowu wszędzie będą się wałały łupiny.

Stałem na tym, że zadzwonię po pizzę i skoczę po jakieś ciasto (ale nie szarłotkę, bo ma okruszki, i nie drożdżowe, ze względu na kruszonkę, i w żadnym wypadku owocowe, bo jeśli chodzi o owoce, to trudno się spierają z dywanu).

- I pamiętaj, że goście nie mogą dostać się do miejsc, w których nie zdążyłam posprzątać - przypomniała najlepsza z żon. - Zamknęłam sypialnię, bo łóżko jest wciąż nieposłane, no i mają nie wchodzić do gabinetu, bo tam są twoje majtki.

-No toje wezmę- zaofiarowałem się.

- Nie, nie, jak ty niczego nie rozumiesz - skrzywiła się najlepsza z żon. - Nie chodzi tylko o majtki.

Zanim zdążyłem zapytać, o co w takim razie chodzi, zabrzmiał dzwonek u drzwi i pojawił się Kazik z narzeczoną.

Skłamałbym, gdybym stwierdził, że to był łatwy wieczór. O godzinie dwudziestej trzydziści pięć Edzio

Obst chciał wejść do gabinetu, żeby zobaczyć nasze nowości książkowe. Zatarasowałem mu drzwi, zmyślając na poczekaniu, że w gabinecie leży chora teściowa. Tym bardziej się zainteresował, musiałem go więc uraczyć opowieścią o tym, że jest tam nie sama, i to bynajmniej nie z teściem.

- Dzięki, stary - wyszeptał wzruszony Edzio. - Wykorzystam tę niezwykłą historię w swojej prozie.

O dwudziestej pierwszej dwanaście w ostatniej chwili powstrzymałem panią Roszko od wtargnięcia do sypialni. O dwudziestej pierwszej trzydziści poszedłem do gabinetu zmienić płytę, bo tam niestety znajduje się nasz sprzęt grający, i kiedy wychodziłem, natknąłem się na pełne wyrzutu spojrzenie Edzia Obsta.

- Teściowa wprost uwielbia mocne rockowe brzmienia - wymyśliłem na poczekaniu. - Nic takiej nie pomaga na bolącą głowę jak stary dobry rock, ewentualnie klubowe rytmy.

Z tego wszystkiego zapomniałem zamówić pizzę i podać sucharki. Na szczęście goście szybko się zmyli.

- Tak, to była naprawdę fantastyczna impreza - rozmarzyła się najlepsza z żon. - Żadnych brudnych naczyń. Pamiętasz, jak w zeszłym tygodniu zrobiłeś kaczkę w pomarańczach? Dwa dni sprzątałam. A dziś? Popatrz tylko - czyściutko. Musimy urządzać częściej takie imprezy.

Ktoś powiedział, że mężczyznę dzieli od kobiety tylko jedna rzecz. I ja wreszcie wiem, co to jest.

Wiele hałasu o nic

Świat się zmniejsza - to tak powszechnajuz prawda, że nie warto się nią nawet popisywać w towarzystwie. Dzięki szybkim nośnikom informacji o tym, że pan Clee chrapnął w swym domu z bali na Alasce, pół godziny później wie pucybut w Lizbonie. Już dziś złodzieje kieszonkowi narzekają, że wymacanie mikroskopijnego telefonu komórkowego w kieszeni ofiary graniczy z cudem i jeśli krawcy nie zaczną szyc mniejszych kieszeni, to jak nic pójdą protestować pod Sejm.

Dotąd wydawało się, że liderem w miniaturyzacji jest oczywiście branża komputerowa, jako że tam najłatwiej coś zmniejszyć, oraz Ministerstwo Finansów, wspianiale miniaturyzujące nasze zarobki dzięki różnym podatkowym wynalazkom. Jednak w ostatnim czasie i to uległo zmianie. Dziś niekwestionowanym czempionem jest... gastronomia.

- Dla mnie na przystawkę łosoś z cytryną, dla żony carpaccio, potem zupa cebulowa i na danie główne befszyk, dla mnie z grzybami, a żonie proszę podać z groszkiem - zadysponowałem, oddając kelnerowi kartę.

Oddalił się bezszelestnie, a my zaczęliśmy snuć wspomnienia. Restauracja, w której się znaleźliśmy, niegdyś była świadkiem pierwszych naszych randek i naszego wspianiałego apetytu. Wówczas przychodzili tu jedynie wtajemniczeni mieszkańcy stolicy, wszyscy obżeraliśmy się wielkimi porcjami podawanymi na małych talerzach i za równie niewielką należność. Potem jej gwiazda zabłysnęła w kulinarnych rubrykach tygodników i gdy w ubiegły wtorek, po raz pierwszy od dawna, przyszliśmy tu na obiad, zastaliśmy ją wykwintnie odmienioną. Była muzyka, świeże kwiaty i dyskretny półmrok, w którym mimo wszystko dojrzeliliśmy kelnera stawiającego przed nami naszejedzenie.

- Przepraszam - powiedziałem, wpatrując się w wielki jak patelnia talerz - ale chyba po drodze panu spadło.

- Co? - zdumiał się kelner.

- Mój łosoś - wyjaśniłem.

- Przecież jest.

- Gdzie?

- Ja go widzę. Pan nie?

Przyjrzałem siębiałemu jak śnieg talerzowi.

- Łosoś jest tam gdzie cytrynka - powiedział kelner.

- A gdziejest cytrynka?

- Na godzinie trzeciej - wyjaśnił dyskretnie kelner.

Wtrąciła się najlepsza z żon z prośbą o zlokalizowanie carpaccio.

- Carpaccio - zaczął wykład kelner - to cieniutkie plastry polędwicy. Nasz kucharz, renomowany mistrz, dołożył wszelkich starań, aby były one naprawdę cieniutkie - pochylił się uprzejmie. - Znajdzie je pani bardziej pośrodku.

- Tu? - spytała żona, dziobiąc talerz.

- Trochę dalej - powiedział kelner.

Dzięki latareczce przy breloczku z kluczami zlokalizowałem wreszcie łososa. Był

różową mgiełką, rzeczywiście bardziej po prawej. Najlepsza z żon po nieudanych próbach zjedzenia widelcem po prostu wylizała swoje carpaccio.

- Coś chyba poczułam - powiedziała akurat wtedy, gdy kelner przyniósł nam porcelanowe podstawki do jajek na miękko, ale bez jajek.

- Zamawialiśmy zupę - przypomniałem.

- I oto ona - odparł kelner.

Rzuciliśmy się do podstawek. Najlepsza z żon usiłowała wyjeść zawartość łyżką, potem wybrać kawałkiem chleba, aż wreszcie wypła duszkiem.

- Proszępani - zirytował się kelner - te gesty są niepotrzebne. To elegancka restauracja, a nie garkuchnia, gdzie się wrzuca warzających talerz. Nasi goście, wybitni mieszkańcy tego miasta, przychodzą się delektować, a nie - niech mi będzie wolno zauważyć - nażerać. Chodzi o to, żeby tęsencjonalną zupę rozetrzeć językiem na podniebieniu, drażniąc i pobudzając kubki smakowe.

- Przepraszam - skruszyła się moja małżonka. - Czy możemy prosić o danie główne?

- Oczywiście. Mówimy o befsztyku z ziołami smażonym na świeżej oliwie z pierwszego tłoczenia, dobrze wysmażonym?

- Właśnie o nim - odparłem.

Drogi czytelniku, nie powiem ci, jak smakował ten befsztyk. Żona, znalazłszy swój, połknęła go jednym kęsem, ja zaś zostałem poszkodowany przez pana z sąsiedniego stolika, który w półmroku szukał swej ryby na godzinie czwartej i trafił na mój befsztyk na godzinie szóstej, przepaszając potem, że zjadł mi oliwkę.

Mogę natomiast powiedzieć o groszku. Najlepsza z żon wymacała go palcem, przekroiła i oddała mi połowę.

Posiedzenie esemesowe

Nie pamiętam, w jaki sposób ludzie kontaktowali się ze sobą w epoce przedkomórkowej. W każdym razie życie w tych ciemnych wiekach musiało być wyjątkowo ponure, a kontakty z przyjaciółmi ograniczone do minimum. Taka myśl przyszła mi do głowy, kiedy siedzieliśmy z najlepszą żoną na kanapie, a ja esemesowałem niezobowiązująco z naszymi przyjaciółmi.

„Siedzimy i oglądamy serial - napisałem do Kazików. - Może wpadniecie”.

„Będziemy za godzinę. Jaki serial?” - odpisał Kazik.

- Jaki to serial? - trąciłem w ramię żonę, bo perypetie przystojnego bruneta kręcącego z apetyczną blondynką pasowały mi do wszystkiego.

- Ciii - uciszyła mnie. - Nie pamiętasz, oglądaliśmy go już miesiąc temu. Zdaje się, że żona go rzuciła, a on z pielęgniarką, z którą wcześniej jego brat, a tymczasem jego szef knuje, żeby zwolnić go z pracy.

Przeżółem tę informację, ale ponieważ nie wynikało z niej, co to za serial, i nadal wszystko wyglądało podobnie do każdego innego serialu, dałem spokój i odpisałem: „A jak w firmie? Co z zamówieniem?”

„W porzo. Złożone” - odpisał Kazik.

Kazikowie dotarli po godzinie, usiedli na drugiej kanapie i razem wpatrywaliśmy się w ekran.

- To co u was? - zagailem.

- Aaa, nic nowego - mruknął Kazik. - Zresztą wszystko ci napisałem.

Chciałem go jeszcze podpytać, ale Kazik wyciągnął komórkę i zaczął coś wystukiwać.

- Co piszesz? - zainteresowała się żona.

- A takie tam - mruknął Kazik. - Właśnie piszę Roszkowi, że jesteście u was i oglądamy serial.

- O, a co nowego u Roszka? - zainteresowała się najlepsza z żon. - A zresztą sama sprawdzę. Wyjęła komórkę i zaczęła stukać w klawiaturę.

- Pisz, że jest bardzo zapracowany - zawiadomiła nas po chwili.

- Mnie też to napisał - potwierdził Kazik.

- A co u was? - zagailem narzeczona Kazika.

- Nic nowego - machnąłem ręką. - Piszemy sobie książki, dostaliśmy propozycję z telewizji. W tej chwili zapiszczała moja komórka.

- O przepraszam - mruknąłem. - To SMS od Edzia.

„Co nowego?” - pytał Edzio.

„Siedzimy z Kazikami i oglądamy serial” - odpisałem.

„Super. Może wpadnę. Mam wieści o Roszku” - nadał Edzio.

„Wpadnij” - zgodziłem się.

- No dobra, a o czym to mówiliśmy? - zapytałem narzeczona Kazika.

- Co? Co? - oderwała się od klawiatury telefonu. - Przepraszam, nie słyszałam. O co pytałeś?

- A właściwie to zapomniałem - przyznałem, bo właśnie wysyłałem SMS-a do Roszki z najnowszym dowcipem o blondynce.

Zapisał telefon najlepszej z żon.

„Otwórzcie” - pokazała mi SMS-a.

- Idź otworzyć, Edzio pisze, że jest za drzwiami - powiedziała.

- Nie uwierzycie, Roszko właśnie mi napisał, że chyba przenocuje w biurze, tyle ma roboty - wpadł z niusem Edzio.

- Uwierzymy - mruknął Kazik. - Dopiero co dostałem tego SMS-a.

- Zaraz, aj a? Mnie nic nie wysłał! - oburzyłem się. - I to ma być przyjaciel?

„Roszko, draniu, dlaczego nic nie piszesz?” - napisałem od razu.

„Robota” - wyjaśnił Roszko.

- Napisałam do pani Roszko, żeby ściągnęła go z tego biura i żeby wpadli - powiedziała żona.

„U nas imprezka, a wy siedzicie” - wystukałem do pani Roszko.

„Jadę po Roszka” - dostałem po chwili odpowiedź.

- Ha, zaraz tu będą - ucieszyłem się.

- Co? A ja nic o tym nie wiem! - oburzył się Kazik.

„Roszko, uciekaj, żonajedzie” - przeczytał swojego SMS-a. - Ostrzegłem go - zachichotał.

- A wiecie, noszę się z zamiarem wydania tomiku małych form poetyckich - zaczął Edzio. - Takich na sto sześćdziesiąt znaków.

- To prześlij je - mruknął Kazik.

„Kiedy będziecie?” - pytała tymczasem najlepsza z żon panią Roszko.

„Już dojeżdżamy - odpisała. - Jak imprezka?”

- Wstaw makaron - poleciła najlepsza z żon. „Bawimy sięznakomicie” - odpisała.

Roszkowie byli po dziesięciu minutach.

„Jestem padnięty” - zawiadomił mnie Roszko kilka minut przed wejściem.

- Jest padnięty - powiedziałem Kazikowi. Kazik kiwnął głową i przesłał wiadomość dalej.

Kiedy Roszko dotarł, był padnięty. Posiedzieliśmy sobie razem, ale byłojakoś dziwnie, kiedy wszyscy znajdowali się w jednym miejscu i nikt nie wysyłał. Nagle zapiszczała moja komórka.

To był SMS od Kazika. „Spadamy, będziemy za kwadrans”.

- Gdzie spadacie? - zdziwiłem się.

- A, to mi się pomyliło - mruknął Kazik. - Mamy jeszcze obskoczyć następną imprezkę.

Z tego, co wiem, była udana. Dostałem od Kazika SMS-a: „Jestwporzo. Ogłędamy serial”.

Tornado w domu

Podobno najbardziej strzeżoną tajemnicą na świecie jest prawda o różnicy między kobietami a mężczyznami. Jeśli kobieta coś mówi - to mówi. Jeśli mężczyzna coś mówi - to robi. Ja, niestety, byłem tego całkiem nieświadomy.

Akurat wstałem z łóżka, zamierzałem sobie zrobić kawę i zobaczyć, co też dobrego niesie dzień, gdy wpadło na mnie tornado. Miało blond włosy, sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu i na co dzień jest nazywane najlepszą żon, teraz jednak było tornadem Moniką. Zakotowałem sobie, że już wiem, dlaczego tornado są zawsze nazywane imionami kobiet, ale nie miałem czasu nad tym pomyśleć, bo tornado właśnie weszło w epicentrum wydarzeń.

- Popatrz tylko, popatrz, co ty znowu narobiłeś!

- Zrobiłem ci śniadanie - pochwaliłem się, bo nie byłem jeszcze świadomy, że mam do czynienia z tornadem.

- Śniadanie? A ile razy cię prosiłam, żebyś odkładał wszystko do lodówki, kiedy szykujesz śniadanie?

- No tak - przyznałem. - Potem schowam.

- Nie, nie schowasz. Nigdy nie chowasz - tornado wyraźnie przybierało na sile. - Ja już nie mam siły. Całe godziny haruję w tej kuchni, żeby było czysto, a ty przyjdiesz i w pół minuty zrobisz taki bałagan. A ja muszę godzinami sprzątać!

- Chwileczkę - obruszyłem się, porażony tak gwałtownym brakiem elementarnej logiki. - Śniadanie robiłem jakieś trzy minuty. Natomiast sprzątnięcie zajmie jakieś czterdzieści pięć sekund.

- Tak, bo ty nigdy nie sprzątasz, aja muszę potem odnieść ten ser do lodówki.

- Osiem sekund - odpowiedziałem uprzejmie.

- Zetrzeć okruszki - fuknęło tornado.

- Piętnaście sekund - dodałem.

- Schować chleb do pojemnika - kontynuowało tornado.

- Pięć sekund.

- Mam tego dość! - wybuchnęło tornado. - Nie mogę się o nic doprosić, nawet o najmniejszą rzecz.

- Ależ możesz - powiedziałem. - Zobacz, sprzątnąłem. Dwadzieścia pięć sekund, a nie godzina.

Ku mojemu zdumieniu tornado wcale się nie zmniejszyło, tylko wybuchnęło mocniej.

- Tyle razy prosiłam cię, żebyś nie stawiał filiżanek bez talerzyków. Ile razy mam to powtarzać? No ile?

Zanim zdołałem wymyślić satysfakcjonującą odpowiedź, tornado przemknęło obok i zawołało:

- Wyprowadzam się! A ty sobie siedź i jak chcesz, to wszędzie krusz, niczego nie zmywaj, bo już nie mogę wytrzymać tej flejtuchowatości. Jadę do matki.

Posiedziałem chwilę i chwyciłem za telefon.

- Roszko, jesteś potrzebny, przyjeżdżaj. Co? Masz naradę? To jest ważniejsze od narady,

powiedz, że żona rodzi czy coś takiego.

Roszko nadjechał po półgodzinie.

- Słuchaj, to koniec - zawiadomiłem go. - Powiedziała, że się wyprowadza, że nie może ze mną wytrzymać i ma dość.

- Zaraz, zaraz - uspokajał mnie Roszko. - Ale o co chodziło? Czy nie o okruszki?

- Skąd wiesz? - wytrzeszczyłem oczy.

- Dziś rano pani Roszko powiedziała mi, że mam się wynosić i więcej nie wracać, a sprawę łożenia na Robcia przedyskutujemy przez adwokatów.

- Mój Boże, więc ty też - westchnąłem ciężko. - co zrobisz? Gdzie będziesz mieszkał?

- Jak to gdzie? - zdziwił się Roszko. - U siebie.

- No a walizki i tak dalej?

- Pani Roszko wyprawia mnie z walizkami kilka razy w tygodniu - wyjaśnił Roszko. - Ale szybkojej przechodzi. Przeważnie mam się wyprowadzać za okruszki, ale w zeszłym tygodniu na przykład rzuciła mnie, bo zapomniałem rozwiesić pranie, mimo że jej obiecałem poprzedniego dnia. Powiedziała, żeją lekceważę i nic mnie nie obchodzi. A dwa tygodnie temu zapomniałem oddać pościel do magła, no, to była poważna sprawa. Miałem się wynieść natychmiast, a byłojuz po północy. Wyjąłem walizkę z pawlacza, pożegnałem się z Robciem, tylko nie chciało mi sięprzebierać z piżamy, bo i tak wiedziałem, że w końcu się rozmyśli i powie, żebym wyjechał jutro. A do jutra one zawsze zapominają.

- To znaczy, że się nie wyprowadzi?

- Skąd! - machnął rękąRoszko. - Tylko musisz pamiętać, żeby podejść do sprawy poważnie i zostać nowym mężczyzną, który nie posługuje się logiką. Ona wie, że się nie wyprowadzi, i ty wiesz, że ona wie. Ale tyjej tego nie mówisz i ona też nie. Ty obiecujesz, że się zmienisz i żaden okruszek nigdy w życiu nie trafiujuz na blat. Ona wie, że oczywiście trafi, i ty też wiesz, że ona wie.

Odetchnąłem z ulgą i wróciłem do domu.

Najlepsza z żon oglądała serial.

- O, świetnie, żejuż jesteś - uśmiechnęła się. - Zrobiłam ci ciasto.

Biszkopt był znakomity. Jako nowy mężczyzna nie powiedziałem słowa o okruszkach, które zostawiła po pieczeniu, śladach mąki na blacie i brudnym mikserze w zlewie. Następny dzień spędziliśmy w fantastycznych humorach. Wczoraj zaś najlepsza z żon powiedziała, że odchodzi - poszło o moje skarpetki, które zamiast udać się do kosza na brudnąbieliznę, leżały na dywanie. Natomiast dziś to ja miałem spakować walizki. Poszło o to, że zapomniałem sprzątnąć kocią kuwetę. Koty mają odejść razem ze mną i kuwetą. Jeśli chodzi o koty, to już stoją przy drzwiach. Jeśli chodzi o mnie, to oglądam serial.

Ale imprezka, co?

Wiedziałem, że Pan Bóg dał inne zalety kobiecie, a inne mężczyźnie. Jednak w takich sprawach trudno się zorientować, zwłaszcza jeśli jest piątek wieczorem. No, ale do rzeczy. Siedzieliśmy sobie z najlepszą żon w piątkowe popołudnie, leniwie zastanawiając się nad tym, co by tu dalej zrobić, kiedy niczym w tełnoweeli zadzwonił telefon.

- To Roszko - oznajmiła najlepsza z żon. - Mówił, że dziś nie wpadną, bo idądojakichś znajomych, i że możemy się wybrać z nimi.

- A kto to są ci znajomi? - zainteresowałem się.

- A ty ciągle kto i kto - fuknęła małżonka. - Pewnie nie chce ci się iść. Przyznaj się.

- Nie, po prostu chciałem wiedzieć.

- Za dużo siedzisz w domu, ot co -podkreśliła żona. - Ważne, że się stąd wyrwiemy, poznamy wreszciejakichś nowych ludzi. Ile można poznawać tych samych? Jak przyjdziemy, to zobaczymy kto. Jasne? No to dobrze, że doszliśmy do kompromisu.

Kiedy wieczorem dojechaliśmy z Roszkami na miejsce, impreza trwałajuz w najlepsze.

- Nikogo tu nie znam - skrzywiłem się.

- Nie marudź - podniosła mnie na duchu najlepsza z żon. - To poznasz.

W dużym pokoju kilka osób krążyło przy kanapkach, ale wyglądało na to, że prawdziwa zabawa rozgrywała się gdzie indziej.

- To porywam na chwilę Talkę - zakomenderował Roszko.

Skręciliśmy w prawo i znaleźliśmy się w pokoju, w którym, daję słowo, siedziały same samce alfa. Tak, wiem. Sam w pewnym sensie jestem samcem, ale i tak sytuacja zbiła mnie z pantałyku, jak zawsze w towarzystwie samców alfa. To określenie generalnie odnosi się co prawda do szympansów dominujących w stadzie i zabierających sobie najlepsze banany i najfajniejsze samice - tujednak było na miejscu.

- Hej, Roszko, stary dziadzie, co u ciebie? - ziewnął jakiś facet z piwem.

- W porzo - kiwnął głową Roszko. - A ty dalej nie możesz?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, więc żeby nie wyjść na niekumatego, też się zaśmiałem i nawet klepnałem Roszka w plecy.

- A wiesz, że kupiłem sobie wreszcie tego dopalacza - ciągnął facet z piwem. - Dwa patyki, ale fajna zabaweczka. No a co z twoimi rozrostami?

- Nie uwierzysz, rosną! - walnął go Roszko.

Facet mało nie wpadł pod stół, gulgając ze śmiechu. Wpadło tylko piwo, więc wziął nowe. Tymczasem inni klepali się wzajemnie po plecach, mnie też się dostało, choć raczej przypadkiem. Głupio mi się zrobiło, więc otworzyłem piwo i zacząłem klepać Roszka, żeby samce nie pomyślały, żejestem z prowincji.

- A dasz wiarę, że Kudłaty wpadł pod stół,jak wyszedłeś? - poinformował Roszkajakiś mały łysy człowieczek z wielkim złotym zegarkiem. - Ja po prostu nie mogę. Ubaw był po pachy.

Roszko ryknął śmiechem i odpowiedział dykteryjką ojakimś nieznanym mi Zenku, którego przygoda, zdaje się, polegała na tym, że o mało co nie utopił się we własnym sedesie, który sprowadził sobie z Wiednia. Opowieść została przyjęta rykami zachwyty,

aja cicho wymknąłem się na korytarz, gdzie spotkałem najlepszą żon skradającą się w moją stronę.

- Nie wiem, co robić - zawiadomiła mnie scenicznym szeptem. - W tamtym pokoju siedzą same baby i, zdaje się, zwariowały. Wyobraź sobie, że najpierw gadały kwadrans o podpaskach, potem o Pradzie, a teraz trwa dyskusja o jakiejś Pareo.

- Pareo - poprawiłem ją odruchowo. - To takie fiu bździu na plażę, które kupuje się, kiedy kupiło się już wszystko inne.

- Dzięki - najlepsza z żon odetchnęła z ulgą. - Wyszłam na kretynkę, bo nie wiedziałam, czy lepsze są paseczki, czy kropeczki. Ale ile można gadać o tym pareo?

- A ile można opowiadać o tym, że ktoś się topił w kiblu? Już pół godziny się z tego śmieją!

- To może opowiedz o tym, jak uciekałeś przed Roszkiem, bo myślałeś, że to kontrola z Urzędu Skarbowego - podsunęła najlepsza z żon.

- O, super - ucieszyłem się. - A ty opowiedz, jak robiłaś żurek i pomylił ci się z kapuśniakiem, więc wszystko zjadły koty.

- Rewelacja - podskoczyła naj lepsza z żon. - To do boju.

Wróciłem do jaskini testosteronu akurat w chwili, kiedy facet-z-kolejnym-piwem opowiadał, jak to w sobotę wybrał się jak zwykle na squasha i choć trudno w to uwierzyć, spotkał w sali faceta, który nie dość, że miał raketę do tenisa, a nie do squasha, tojeszcze był po prostu w tenisówkach, a nie w butach do squasha.

- Hi, hi - łkał ze śmiechu Roszko. - Ale kretyn się wybrał. W tenisówkach przyszedł grać w squasha. Ja nie mogę.

-No mówię ci. Facet w tenisówkach, hi, hi. W tenisówkach! Grać w squasha.

- Minęło kilka minut, które cierpliwie przeczekałem, oni zaś w tym czasie aż płakali ze śmiechu i, energicznie klepiąc się po plecach, powtarzali: „w tenisówkach, w squasha”. Ten z piwem przyszedł się nawet po pokoju, improwizując, jak ta niezwykła scena z facetem w zwykłych tenisówkach mogła wyglądać. Na ostatek, rycząc ze śmiechu, walnął mnie w plecy.

- Ja nie mogę, w tenisówkach - kwiknąłem, bo w końcu niejestem w ciemności.

- No i ja mu mówię: To może zagramy w nogę, a facet w ogóle nie zajarzył - facet-z-kolejnym-piwem rżał ze śmiechu. - Mówi mi, że raczej nie. Że woli zagrać w squasha.

- Ja nie mogę, w tenisówkach - ryczał Roszko.

- W tenisówkach - chichrał się facet z piwem. - No toja mu mówię, że ma ładne tenisówki.

- Hi, hi, chłopie, to go załatwiłeś - łkał ze śmiechu Roszko.

- A najlepsze, że ten dalej niejarzy. I wiecie, co mi mówi?

Całe towarzystwo leżało już pod stołem, kwicząc z zachwytu i dając znaki, że nie ma pojęcia, co też odpowiedział facet w tenisówkach.

- Mówi mi: a dziękuję. Żona mi kupiła. Ja wymię-kam. Żona mu kupiła, tenisówki do squasha!

- Oj, ja nie mogę - kwiczał mały chudzielec. - Niechby mi się moja stara spróbowała wtrącać, tobym pogonił. A znacie to: Mojażonapozła do sklepu, stoiprzy kasie i podaje zamiast karty kredytowej kartę kodową.

- Nie mów, ale kretynka - ryczał facet-z-następ-nym-piwem. - Kartę kodową.

- A kasjerkajej mówi, że tu sąpiny, i wiecie, co ta kretynka mówi?

- Ale która - kwiczał Roszko. - Ta twoja kretynka czy ta przy kasie?
- Ha, dobre, dobre - łkał ze śmiechu jakiś samiec alfa i walił mnie po plecach.

Wybyliśmy z imprezki po godzinie.

- Opowiedziałeś? - szepnęła najlepsza z żon.
- Jakoś nie było okazji - mruknąłem.
- Ja też nie - odetchnęła małżonka. - Dyskusja zeszła najgorzej odchudzające.

Roszko ocierał jeszcze łzy ze śmiechu.

- Ale imprezka, co? - powiedział. - No, przyznaj się, stary. W życiu się tak nie ubawiłeś. Przyznałem. I to całkiem szczerze.

Być i nie być

Podobno gość w dom - Bóg w dom. Rzeczywistość częstojednak odbiega od mądrości ludowej. Miałem okazję się o tym przekonać wczoraj o osiemnastej pięćdziesiąt jeden.

Leżałem właśnie na kanapie z książką, leniwie przewracając kartki i myśląc, czy warto pójść pożyczyć jakiś film, czy może jednak leżeć dalej, słuchając jednym uchem rozmowy, którą najlepsza z żon prowadziła przez telefon.

- O! Naprawdę jesteście pod domem? - mówiła. - Jasne, wpadnijcie. Nie, nie, żaden kłopot. Co też wam przyszło do głowy! Kiedy? Aha, za dziesięć minut. W porządku, czekamy. Nie, nie musicie niczego przynosić. Wszystko mamy. No to pa.

- Kto dzwonił? - rzuciłem z kanapy.

- Wacusie - najlepsza z żon przemknęła koło mnie z szybkością zbliżoną do prędkości światła. - Są pod domem.

- Fajnie - mruknąłem. - To nie będę musiał chodzić po film.

- Rusz się, rusz się - naj lepsza z żon przebiegła koło mnie niczym Carl Lewis finiszujący na olimpiadzie.

- Ale gdzie? - zdziwiłem się. - Przecież sami przyjdą, no nie?

- Popatrz tylko - najlepsza z żon przystanęła na zero sześć sekundy. - Bałagan, jamam niezrobione włosy. Oni zaraz tu będą!

Rzuciłem okiem, nic jednak nie wskazywało na to, żeby z włosami było coś nie tak. Bałaganu też nie zauważyłem, ale najlepsza z żon już ruszyła do akcji.

- Nie zdążę, nie zdążę - powtarzała. - Słuchaj, czy lepiej, żebym się zrobiła na bóstwo, czy posprzątała?

- To bardzo interesujące - usiadłem wygodnie i wypłem łyk kawy. - Odwieczne pytanie: być czy mieć, w postaci udomowionej. Być piękną czy mieć piękne mieszkanie?

Zanim zdołałem rozwinać tę myśl, która mnie samego zaintrygowała swoją głębią, najlepsza z żon wręczyła mi szczotkę i ścierkę, a sama zaatakowała odkurzaczem salon, usiłując jednocześnie - raczej bezskutecznie - przeglądać się w lusterku.

- Nie, nie - rzuciła nagle - to nie ma sensu. Lepiej zrobię porządek z włosami. Ty odkurz.

Już miałem na koncu języka ripostę, że może moje włosy w aktualnym stanie też nie są godne pokazania ich Wacusiom, ale ugryzłem się w język i włączyłem odkurzacz.

- Nie, nie - niedokładnie odkurzasz - najlepsza z żon wypadła z łazienki po jeden koma siedem sekundy i wyrwała mi odkurzacz. - Ja dokończę, a ty zmyj szybko podłogę w kuchni.

Zerknąłem na zegarek. Do nadejścia Wacusiów zostało pięć minut. Zacząłem rozważać jakże interesującą kwestię względności czasu. Kiedy leżałem na kanapie, w ogóle nie zauważałem mijających minut. A teraz wydawało mi się, że wskazówka sekundnika

oszałała i krążyła wokół tarczy jak Michael Schumacher na wyścigach Formuły 1. Zanim zdążyłem podzielić się tym spostrzeżeniem z najlepszą żon, ona wyrwała mi mopa.

- Wołno ci to idzie, ja skończę. Ty dokończ odkurzać - rzuciła szybko.

Zostało jeszcze trzy i pół minuty, kiedy najlepsza z żon stanęła jak rażona gromem.

- A mamy coś dla Wacusiów?

- Chyba mamy - odparłem. - Mówiłaś, żeby nic nie przynosili.

- Dokończ zmywać, aja sprawdzę - zarządziła najlepsza z żon, wręczając mi mopa.

- Nic nie mamy - powiedziała z wyrzutem trzydzieści pięć sekund później, wynurzając się z szafki.

- Mogłeś mnie uprzedzić. Skończyłeś odkurzać?

- Skończyłem zmywać - odparłem zgodnie z prawdą.

- Przecież prosiłam cię, żebyś odkurzył - jęknęła.

- Czy naprawdę tak trudno to zrozumieć? Czyja wymagam zbyt wiele? Zostaw to, ja skończę. Ty zrób coś dla nich. Jakies drinki, może są ciasteczka.

Dwadzieścia pięć sekund później znalazłem herbatniki i zabunkrowaną - cudem nie do końca pustą - butelkę martini.

- Daj mi to, ja zrobię - najlepsza z żon wyrwała mi butelkę. - Ty odkurz przedpokój.

Odkurzyłem przedpokój w jakieś piętnaście sekund, po czym najlepsza z żon zabrała mi odkurzacz.

- Chodź do łazienki - zakomenderowała. - Muszę sobie zrobić te włosy. Popatrz z tyłu i powiedz, czy nie robi mi się gniazdko.

- Absolutnie nie ma żadnego gniazdka - stwierdziłem.

- A odkurzyłeś już łazienkę? Albo nie, przetrzyj stół. Ja zrobię szybko makijaż. Widzisz, jak się chce, to można i być, i mieć.

W tej chwili odezwał się dzwonek do drzwi.

- A, jesteście już - najlepsza z żon rozpromieniła się. - Nie mogliśmy się doczekać. Myślałam, że jak jesteście pod domem, to będziecie za trzy minutki. No nie stój tak - uśmiechnęła się do mnie. - Napijecie się rumu? Tequili? Campari?

- Napijemy się... - pan Wacusi się zastanowił.

- Martini się napijecie - wpadłem mu w słowo, posyłając mordercze spojrzenie najlepszej z żon. - Mamy świetne martini, pierwszorzędny rocznik. I herbatniczki.

To był uroczy wieczór. Wacusie na pożegnanie zapraszali do siebie, gdy tylko będziemy w pobliżu.

Na pewno wpadniemy. Damy im jakieś sześć do siedmiu minut. Jesteśmy bowiem wspaniałomyślni.

Spodek o imieniu Zocha

Wydawałoby się, że bardzo dużo dzieli mnie od agentki Scully, a najlepszą żon od agenta Foxa Muldera. Nie, nie spotkaliśmy się z wampirem ani na naszych oczach nie wylądował latający spodek. Zdarzyło się coś znacznie poważniejszego. Poszliśmy w sobotę na imieniny i poznaliśmy Zoche.

Zocha była fantastyczna. Przyznaliśmy to zgodnie z Roszkiem, kiedy następnego dnia znaleźliśmy się obaj w myjni samochodowej.

- Niewiele kobiet orientuje się w wynikach Ligi Mistrzów - rzucił Roszko.

Pokiwałem energicznie głową - co racja, to racja.

- Ona nawet wie, kiedy jest spalony, i nic jej nie trzeba tłumaczyć - westchnąłem z podziwem.

- Ba, ona nawet napiwie się zna - cmoknął Roszko. - Przeprowadziliśmy bardzo ciekawą dyskusję o pilznerach. Wiesz, ona uważa, że czeskie są jednak najlepsze. To bardzo ciekawa opinia, bo zdania są podzielone.

Wróciliśmy do domu, nie przeczuwając burzy. Najlepsza z żon i pani Roszko siedziały na kanapie i złowieszczo wpatrywały się w punkt nad naszymi głowami.

- A gdzie to się było, jeśli można wiedzieć? - spytała pani Roszko.

- Wpadliśmy do myjni umyć samochody - rzuciłem od niechcienia. - To co, może zrobimy coś dojedzenia?

- W takiej sytuacji myślisz o jedzeniu? Typowe! - zasyczała najlepsza z żon.

- Chodzi o to, żebym coś sprzątnął przed obiadem?

- zapytałem ostrożnie.

- Phi - prychnęła pani Roszko.

- Phi - prychnęła najlepsza z żon.

- Może zrobię drinki? - zaoferował się Roszko.

- Popatrz, on chce robić drinki! - krzywo uśmiechnęła się najlepsza z żon.

- A może zrobisz piwa, czeskiego albo innego - skrzywiła się najlepsza z żon.

Roszko wybałuszył oczy ze zdziwienia.

- Przecież nie lubicie piwa - zdumiał się. - Ale jak chcecie, to czemu nie.

- On myśli, że chcemy piwa - pani Roszko opadły ręce.

- A nie chcecie? - włączyłem się. - Boja się zgubiłem. W końcu chcecie czy nie chcecie?

- Domyśl się - powiedziała najlepsza z żon niczym

Pytia.

- Chyba jednak nie chcecie - zdecydował Roszko. - Nigdy przecież nie chciałyście.

- No proszę, on myśli, że nie chcemy - pani Roszko podniosła oczy w górę. - Myślicie, że jesteśmy gorsze?

- Od czego? - zdziwiłem się.

- Nie od czego, tylko od kogo - burknęła najlepsza z żon. - Ale oczywiście ja się nie orientuję, kiedy jest zniszczony.

- Zniszczony? - Roszko prawie oniemiał.

- No, wtedy kiedy jeden piłkarz biegnie, a drugi stoi i piłkajest gdzieś za nimi czy przed

nimi.

- Aaa, spalony - zrozumiałem. - Ale dlaczego spalony? Roszko zapytał, czy nie chcecie drinka.

- Drinka? Ty się pytasz, czy ja nie chcę drinka?! - warknęła pani Roszko. - Lepiej byś się zobaczył, jak wyglądasz, kiedy podchodzi do ciebie jakaś lalunia i rzuca ci powłóczyście spojrzenia.

- Jaka lalunia? - Roszko stał z niedowierzającym wyrazem twarzy.

- To nie wiesz? - uśmiechnęła się złośliwie najlepsza z żon.

- Ja zwariuję - Roszko padł na fotel. - Przecież nie będziemy się kłócić o drinka?

- O drinka nie - zripostowała pani Roszko. - Raczej o to, jak ją umebłowaliście.

- Kogo? - wytrzeszczyliśmy oczy.

- Jeszcze pytają - najlepsza z żon nakryła się poduszką. - Zoche. Przecież leciała na was nieprzytomnie. A wy się aż śliniliście.

- Ja się śliniłem? - zaprotestowałem. - Rozmawialiśmy o spalonym. Z tobą też mogę pogadać o spalonym. Chcesz? Codziennie mogłem o tym gadać, ale cię to nudziło.

- No proszę! Więc dowiaduję się po latach małżeństwa, że cię nudzę? - wykrzyknęła najlepsza z żon.

- A ze mną nie można porozmawiać o piwie! - fuknęła pani Roszko.

- Bo nie można - jęknął Roszko.

- No więc znajdujecie sobie lalunię, bo z nią można. I co jeszcze z nią można? Myślicie, że uwierzymy, że nie zauważyliście tych spojrzeń, które wam rzucała, jak sobie odsłaniała uda?

- Co robiła? - wgapiłem się w nią dumiony. - Rozmawiała o spalonym. Nie widziałem żadnych ud, a już odsłoniętych to na pewno nie.

- Pogarszacie tylko swoją sytuację, broniąc się w tak żałosny sposób - stwierdziła pani Roszko. - Jeśli się wam znudziłyśmy, droga wolna. Chodź, kochanie, zostawimy ich samych. Jest pewien poziom dyskusji, do którego nie zamierzam się zniżać.

Wyszły, trzaskając drzwiami, a my popatrzyliśmy z Roszkiem sobie z niedowierzaniem.

- Uda? Dekolt? - jęknął Roszko. - Nawet nie pamiętałem, że ona miała na imię Zocha.

Ja pomyślałem o jednym odcinku *Archiwum X*, w którym lądował latający spodek - Mulder go widział, a Scully nie. Niby chodziło o to, że Scully jest niedowiarkiem, i jakoś to się nawet trzymało kupy, ale ja wiem swoje.

Ten spodek nie nazywał się Zocha. Gdyby się tak nazywał i wyszła z niego jakaś postać z czułkami na głowie, to założę się, że kobiety zobaczyłyby w niej tylko uda.

Sztuka kompromisu

Doszedłem do odkrywczego wniosku i nie omieszkałem się nim podzielić z najlepszą żon.

- Nie mógłbym być politykiem.
- Masz rację- powiedziała nieuważnie.
- Ty też byś nie mogła - dodałem.
- A to dlaczego? - najlepsza z żon oderwała się od rozwiązywania krzyżówki.
- W Sejmie trzeba mieć większość, prawda? I głosowanie wygrywa ten, kto ma więcej głosów, no nie?
- No tak - przyznała naj lepsza z żon.
- A w małżeństwie nie sposób osiągnąć większości, bo każde z nas ma pięćdziesiąt procent, prawda? - ciągnąłem.
- Jasne - powiedziała. - I co z tego?
- Trzeba iść na kompromisy - doszedłem do meritum. - Na przykład, kiedy nikomu nie chce się wyrzucić śmieci, nie da się tego przegłosować i śmieci zostają, ajak dojdzie do pata, już nigdy się ich nie wyrzuci.
- Ależ oczywiście, że się da! - uśmiechnęła się najlepsza z żon. - A właśnie, idź i wyrzuć te dwa worki.
- Mam zdanie odrębne - zaprotestowałem.
- Nikt ci tego nie broni - uśmiechnęła się najlepsza z żonjeszcze szerzej. - A teraz idź i wyrzuć te śmieci.

Poniedziałek

- Pójdziemy do kina - zaproponowałem. - Jest świetny film, podobno fantastyczny pościg, a scena, w której mutant niszczy akademik, znakomita.
- Kino to świetny pomysł - uznała najlepsza z żon.
- Ale żadnych mutantów. Grają właśnie komedię romantyczną. Nie rób takiej miny. Lubisz komedie romantyczne.
- To może chodźmy na dwa seanse - zapaliłem się.
- To rozsądny kompromis. Najpierw na komedię, potem na mutanta.
- To dobry pomysł - zgodziła się najlepsza z żon.
- Ale nie na mutanta. - Możemy iść na dwie komedie, prawda?
- Ale kompromis... - przypomniałem.
- No przecież zgodziłam się iść na dwa filmy, prawda? - obruszyła się najlepsza z żon. - Jak nie chcesz na dwa, to chodźmy najedną komedię. Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi. A może źle się czujesz? Chcesz zostać? Nie ma sprawy, pójdę sama.

Wtorek

Wychodziliśmy do Roszków, kiedy najlepsza z żon zmierzyła mnie krytycznym spojrzeniem.

- A co ty na siebie włożyłeś? - zapytała.
- Ulubione dzinsy i sweter - powiedziałem.
- Wyglądasz, jakbyś mieszkał na działce. Pójdiesz w tych nowych spodniach i

kamizelce.

- Ale one mnie piją, a w kamizelce mi zimno.
- W swetrze wyglądasz fatalnie, widać ci brzuszki, którego przecież nie masz - stwierdziła najlepsza z żon.
- To ty włóż tębiałąbluzkę z dekoltem!
- Nie nudź - powiedziała żona. - Wyglądam w niej grubo, nic z tego. Zawrzyjmy kompromis. Ty wkładasz nowe spodnie i kamizelkę, a ja czarną bluzkę. Chyba że twoim zdaniem wyglądam w niej grubo.
- Nie wyglądasz grubo - mruknąłem ponuro.
- No, to uzgodniliśmy wszystko! - ucieszyła się najlepsza z żon. - Leć po kamizelkę.

Środa

- Trzeba się wreszcie wziąć za rachunki - rozłożyłem ręce.
- To się weź - zgodziła się żona.
- Ja załatwię sprawę z telefonem, a ty wyjaśnisz, o co chodzi z dopłatą za elektryczność - zaproponowałem.
- Uważam, że ty się najlepiej znasz na tych wszystkich sprawach z pieniędzmi - oświadczyła najlepsza z żon. - Na pewno sobie poradzisz.
- Ale... - zacząłem.
- Coś się stało? - najlepsza z żon spojrzała na mnie znad okularów. - Ostatnio zrobiłeś się jakiś dziwny. Nie dajesz sobie już rady z rachunkami? Jeśli tak, to powiedz. Porozmawiamy o tym.

Czwartek

- Nie sądzisz, że trzeba coś zrobić z Juniorem? - zapytała żona. - Powinien pójść na spacer.
- A co proponujesz? - zapytałem ostrożnie.
- Podzielmy się. Ty pójdziesz z nim na spacer, a ja położę go potem spać.
- Ale on sam chodzi spać potem - wyjaśniłem.
- Na spacer też sam chodzi. Na własnych nóżkach - uśmiechnęła się żona. - No, lećcie już.

Piątek

- Co ty tu naprzekręcałeś? - zdziwiła się najlepsza z żon, oglądając początek tekstu, który zaczęliśmy pisać. - Muszę to zrobić od nowa.

Siadła przy komputerze i napisała od początku.

- Teraz wszystko trzyma się kupy.
- Boja wiem? - skrzywiłem się.
- I tego nie lubię w mężczyznach. Są strasznie przywiązani do wszystkiego, co zrobili. Uwierz mi. Mam rację.
- To może początek mój, a koniec twój? - zaproponowałem. - Twój prezydent, mój premier?

- Początek mój i koniec też mój. I nie patrz tak dziwnie. To świetny pomysł, prawda?
- Prawda - przyznałem.
- Wołałabym, żebyś wykazywał więcej entuzjazmu, kiedy dochodzimy do kompromisu. Przecież napisałam na nowo, a nie musiałam. Mógłbyś docenić, że poszłam na kompromis.
- Doceniam przecież - jęknąłem.
- Mam wrażenie, że ostatnio doceniasz jakoś tak dziwnie - obruszyła się najlepsza z żon.
- Może po prostu masz kryzys wieku średniego? Jak masz, to powiedz. Więc co? Uważasz,

że życie nie ma sensu? Tak?

- Ma sens -jęknąłem znowu.

- Jak wołisz, nie chcesz, to nie mów. Ale ja nie chcę, żeby potem były narzekania, że jednak masz.

Sobota

Spotkałem się z Roszkiem.

- Pokłóciłem się z panią Roszko o to, gdzie jedziemy na wakacje - wyznał. - Zazdroszczę wam, wy to się nigdy nie kłóćcie.

Zgodziłem się z nim. Ja też nam zazdroszczę. Zwłaszcza tego, że zawsze potrafimy znaleźć kompromisowe wyjście.

Założę się, że na wakacje pojedziemy w takie miejsce, które będzie się bardzo podobało najlepszej z żon. A co podoba się żonie, podoba się przecież mężowi.

Komórka do wynajęcia

Gdybym był królem, to najlepsza z żon byłaby królową. A gdyby była królową, na pewno miałyby specjalnego nosiciela komórki. Królowe mają takie fanaberie. Skoro Elżbieta II może mieć nadwornego dmuchacza, który studzিয়েj dmuchaniem zbyt gorące posiłki, to dlaczego nie miałyby być powiernikami komórki? Gdyby ktoś taki istniał, wydarzenia ostatniego tygodnia wyglądałyby zupełnie inaczej.

Poniedziałek

Byliśmy właśnie na zakupach, kiedy zadzwoniła komórka najlepszej z żon.

- Tak? Jasne, oczywiście. Zadzwój jutro - powiedziała.

- Kto to? - zapytałem niepotrzebnie.

- Jakaś kobieta, chciała numer telefonu do tej lekarki.

Już byłem gotów coś powiedzieć, ale ugryzłem się w język.

Wtorek

Zadzwoniła komórka najlepszej z żon.

- Jejku! - przeraziła się. - To na pewno ta baba od telefonu. Odbierz i coś wymyśl.

- Jaka baba? - kojarzyłem wolno.

- No ta, co dzwoniła wczoraj w południe - najlepsza z żon dawała mi już telefon. Niesamowite, że choć na co dzień może zapomnieć adres naszego domu jako coś nieistotnego i niewartego uwagi, to teraz pamiętała tak dobrze.

Odebrałem, wysłuchałem i powiedziałem:

- Tak, tak, oczywiście, że pamięta, że pani obiecała. Tylko wyszła akurat po zakupy, a komórkę zostawiła. Po prostu nienawidzi mieć komórki na zakupach. Kiedy wróci? Pewnie za godzinę? Chyba za trzy godziny, może nawet cztery. Kto wie, może nawet do wieczorajzej zjeździe

- zakończyłem, widząc rozpaczliwe znaki dawane przez najlepszą z żon.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest ten numer telefonu

- wyznała żona. - Wyłączę komórkę i będzie po kłopotcie.

Środa

Zadzwoniła komórka najlepszej z żon.

- Idę do łazienki! - zawołała. - Odbierz!

Jakiś facet chciał wiedzieć, co z jakimiś zdjęciami, które najlepsza z żon miała mu wysłać. Powiedziałem, że z pewnością o tym pamięta, ale akurat teraz jest na zakupach, i powtórzę jej, jak wróci.

- A, pamiętam, pamiętam - powiedziała żona, kiedy wychynęła z łazienki. - Ale nie wiem kompletnie, o jakie zdjęcia mu chodzi. Poszukam wieczorem.

Czwartek

Zadzwoniła komórka najlepszej z żon.

- To na pewno ten facet! - przestraszyła się najlepsza z żon. - Powiedz mu... powiedz mu coś. Ja muszę teraz zrobić makijaż.

Dzwonili z wypożyczalni. Pani bibliotekarka chciała wiedzieć, czy istnieje szansa, żeby najlepsza z żon zwróciła książki, które pożyczyła pół roku temu.

- Jasne - powiedziałem - jutro zwróci. Teraz jest na zakupach, ale jak tylko się pojawi, natychmiast jej przypomnę.

- No wiesz, po co jej mówiłeś, że jutro zwrócę?! - oburzyła się najlepsza z żon, kiedy znalazłem ją w sypialni za fotelem, gdzie bardzo nieudolnie usiłowała udawać, że nakłada sobie błyszczak. - Pożyczyłam je pani Roszko. Jedź i je przywieź. Zresztą jak czekali tyle czasu, to nic nie szkodzi, że poczeka jeszcze tydzień. Powiedziałeś jej to? Dlaczego nie?

Piątek

Zadzwoiła komórka najlepszej z żon.

Pobiegła do garderoby i schowała się w szafie, więc odebrałem. To była ta kobieta, która chciała telefon do lekarki. Zapewniłem ją, że najlepsza z żon co prawda wróciła z zakupów, ale natychmiast potem ciężko się rozchorowała. Mimo to pamięta o telefonie i wciąż go szuka. Znajdzie najdalej dojutra.

Chciałem zawiadomić o tym najlepszą z żon, ale komórka znowu zadzwoniła i to był facet od zdjęć. Powiedziałem mu, że ciężko zachorowała znajoma i najlepsza z żon odwiedzają w szpitalu. Chciał wiedzieć, kiedy wróci, nawet proponował, że pojedzie do szpitala, tylko nie wie do którego, i sam jej przypomni. Powiedziałem, że znajomą wciąż przenoszą z jednego szpitala do drugiego i ciężko się w tym wszystkim rozeznąć.

Zapytałem najlepszą z żon, czy w ogóle ma ten telefon i te zdjęcia. Powiedziała, że oczywiście i poszuka ich wieczorem. Zadzwoiłem do pani Roszko poprosić o zwrot książek z biblioteki.

- Oddałam je wam trzy miesiące temu - zdziwiła się pani Roszko.

Powiedziałem o tym najlepszej z żon, ale tylko coś mruknęła. Zdaje się o tym, że miałem zrobić porządek na półkach, a nie zrobiłem, i ma to jakiś związek z tymi zaginionymi książkami.

Sobota

Zadzwoiła komórka najlepszej z żon.

Baba, która chciała telefon do lekarki, powiedziała mi, że jestem niepoważny i ją zwodzę. Nie uwierzyła, kiedy wyjaśniłem, że najlepsza z żon leży w łóżku i choruje. Uznała, że sobie z niej kpię w żywe oczy, i chciała wiedzieć, czyja w ogóle jestem mężem najlepszej z żon, czy może jakimś małoletnim kuzynem, który się dorwał do telefonu.

Potem zadzwonił ten facet od zdjęć. Nawrzeszczał na mnie, że potrzebne mu są do tekstu.

- W kulki pan sobie leci, czy co?! - wrzeszczał. - Czy pan w końcu powtórzył żonie, o co prosiłem, czy ma pan demencję?

Potem zadzwoniła pani z biblioteki. Zanim zaczęła na mnie krzyczeć, powiedziałem, że przez pomyłkę wyrzuciłem wszystkie książki, ale chętnie odkupię. Trochę sarknęła i wspominała o nieodpowiedzialnych mężczyznach, jednak udało się ją uspokoić.

Jeśli chodzi o najlepszą z żon, to podsłuchałem rozmowę panią Roszko.

Rozmawiały o tym, że mężowie ubezwłasnowolniają kobiety.

- Nie możesz się godzić, kochanie, na to, żeby Leszek sprawdzał, jakie książki pożyczasz - mówiła pani Roszko.

- Mam wrażenie, że zepchnął mnie do roli kury domowej - przytaknęła najlepsza z żon. - Sam załatwia moje sprawy, a ja mam siedzieć w łazience.

Poszedłem do łazienki i wciąż tam siedzę. Mam ze sobą komórkę bo a nuż ktoś zadzwoni.

Niemoralna propozycja

- Kochanie, chcesz, żebym zrobiła wieczorem ciasto? - zagadnęła niespodzianie najlepsza z żon.

Zastrzygłem uszami. Cóż, istnieje wiele pokus, którym jestem w stanie się oprzeć. Na przykład nie dalej niż wczoraj Roszko dzwonił i zapraszał do Bristolu na wytworną kolację. Oparłem się jednak pokusie. Co prawda, najlepsza z żon utrzymuje, że było inaczej, należało mianowicie przyjść we fraku, a następnie odwiedzić Roszka do domu, bo nie chciało mu się wołać taksówki, aleja dementuję te plotki. Po prostu oparłem się pokusie i tego się trzymam.

Jeśli jednak chodzi o ciasto, to wszystkie moje zasady moralne walą się w gruzy.

- Jasne, kochanie - powiedziałem.

Cóż, znam najlepszą żon dość dobrze, więc powinienem przewidzieć rozwój wypadków, ale nie przewidziałem, zajęty wizjabiszkopta lub zebry.

- A co byś chciał? - indagowała najlepsza z żon, rozsiadając się na kanapie z książką *Domowe pieczenie ciast*. Już na sam widok tej książki leciała mi ślinka.

- Biskopt - zdecydowałem.

- Ooooo - powiedziała najlepsza z żon. - A może chcesz przekładaniec makowy?

- Tak - potwierdziłem.

- No to biskopt czy przekładaniec?

- Przekładaniec - zdecydowałem, krążąc nerwowo po kuchni, by ukryć drżenie rąk.

- Nie lubisz już biskopta? - zainteresowała się najlepsza z żon, kartkując książkę.

- Jasne, że lubię. No to biskopt.

- A może piernik?

- Mhm - rozmarzyłem się, wyobrażając sobie piernik.

- No, kochanie, to wreszcie co?

- Piernik. Tak, piernik - zdecydowałem się. - Już? Zaraz?

- Chwileczkę - powstrzymała mnie najlepsza z żon. - A może pyszną zebkę? Nie lubisz już zebry?

- Jasne, że lubię- przytaknąłem. - Może być zebra.

- Tylko „może być”? - zachmurzyła się żona. - Myślałam, że uwielbiasz zebkę.

- Uwielbiam, naprawdę- zapewniłem ją. - Zebra, koniecznie zebra.

- Coś nie tak było z tym piernikiem, który upiekłam ostatnim razem - zatroszczyła się najlepsza z żon. - Chyba ci nie smakował. Jakby ci smakował, tobyś chciał znowu.

- Był pyszny, rewelacyjny, ekstraklasa - zachłysnąłem się. - Piernik, zrób piernik.

- Kochanie - najlepsza z żon z traskiem zamknęła książkę. - Nigdy nie zacznę robić tego ciasta, jeśli się wreszcie nie zdecydujesz.

- No to zebra - westchnąłem. - Ale już? Zaraz zrobisz?

- Jasne - uśmiechnęła się najlepsza z żon. - Czekałam tylko, żebyś wreszcie powiedział, co chcesz. Zaraz zrobię, tylko uprzątnij blat. Przecież nie mogę robić ciasta, kiedy blat jest zastawiony garnkami.

Nie wiem, jaki jest rekord świata w uprzątnięciu blatu, ale daję głowę, że pobiłem go o

kilka długości.

- Gotowe! - zawołałem. - Możesz zaczynać.

- A mamy jakiś gazowany napój? - zainteresowała się najlepsza z żon. - Przecież wiesz, że to konieczne do zrobienia zebry. Idź kup, a przy okazji przynieś ręczniki papierowe, dla mnie kefir, żwirek dla kotów i ziemniaki.

- No to biszkopt - powiedziałem. - Do biszkopta wszystko mamy. Nie trzeba nigdzie chodzić.

- Nie, nie, przecież chciałeś zebra - powiedziała żona, wypychając mnie za drzwi. - Nie będziemy chyba od początku zastanawiali się, co upiec. Ale jak chcesz, to otworzę książkę...

- Nie, nie - zaprotestowałem przerażony. - Zebra to świetny wybór.

- No to leć! - zawołała naj lepsza z żon. - Aha, przy okazji wyrzuć śmieci. A jak już będziesz przy samochodzie, to wyrzuć te śmieci z bagażnika.

Kiedy kilka worków śmieci później zjawiłem się w drzwiach, najlepsza z żon stała już przy kuchni.

- Chodź, będziesz mi pomagał - zakomenderowała. - Wyjmij mąkę, odmierz cztery szklanki. Gdzie jest mikser? Wyciągnij go z szafki. Masz? Dobrze. Teraz daj mi sześć jajek. Uważaj, nie potłucz. Oddziel białka od żółtek. Dobrze. Teraz musisz zrobić z białek pianę.

- To wszystko? - zapytałem. - Bo właśnie zaczyna się film i...

- Jeszcze chwilę, kochanie - powiedziała najlepsza z żon nieobecny tonem, kartkując książkę. - Przecież nie chcesz chyba, żebym sama wszystko robiła. Wyciągnij mi z szafki kakao. Doskonale nam idzie. A więc teraz zrób z kakao i tej masy... zresztą sam wiesz. Świetnie ci idzie. Już przygotowałam formę, teraz wlejemy ciasto do formy. Nalewaj.

Kilka minut później ciasto już było w piekarniku, a najlepsza z żon plotkowała z panią Roszko, sprzątajac blat.

- Tak, zrobiłam właśnie Leszkowi ciasto - mówiła. - Teraz sprzątam, bo strasznie nabrudził. Tak, moja droga, cóż, taki nasz kobiecy los. Od rana do wieczora na nogach.

Chciałem coś powiedzieć. Wydawało mi się, że znalazłem pewien błąd logiczny w rozumowaniu najlepszej z żon. Albo był to pierwszy w dziejach przypadek, że piekła jedna osoba, a nabrudziła całkiem inna. Ale ugryzłem się w język.

A ciasto było pyszne. Najlepsza z żon obiecała, że jak uprzątnę biurko, zrobi w sobotę biszkopt. A może piernik. A może przekładaniec? A może zebra?

Księgowość w domu

- Październik miesiącem oszczędności - zakomunikowała mi najlepsza z żon.
- Ale on już się skończył - zauważyłem.
- Nie szkodzi - zakończyła dyskusję. - Listopad i grudzień też są miesiącami oszczędności. Rozmawiałam z panią Roszko.

Jęknąłem w duchu, spodziewając się najgorszego.

- Pani Roszko twierdzi, że odkąd zaczęli oszczędzać i zapisywać wydatki, odzyskała kontrolę nad domowym budżetem. A ty wiesz, ile wydajemy miesięcznie na telefon albo na warzywa?

- Skąd! - zaprzeczyłem. - Nie mam najmniejszego pojęcia.

- A więc postanowiliśmy, że od dziś będziemy zapisywać wydatki - stwierdziła najlepsza z żon.

Poniedziałek

Poszedłem rano po bułeczki.

- Ile kosztowały? - zapytała mnie najlepsza z żon.

- No, tak z pięć złotych? - zaryzykowałem.

- To nie jest dobra odpowiedź. Jeśli zaczniemy bagatelizować oszczędności, to się srogo na nas zemści - powiedziała żona.

Wróciłem do sklepu i zapisałem cenę. Te cholerne bułeczki kosztowały 4,20.

Wtorek

Dziś wydałem 34,40. Doliczyłem się już, na co poszło 32 złote. Za nic nie mogą sobie przypomnieć, co zrobiłem z 2,40. Najpierw myślałem, że zgubiłem, potem, że zawieruszyły się w jakiejś kieszeni. Nie wiedziałem, co robić, dopóki w telewizji nie powiedzieli o firmie prowadzącej kreatywną księgowość. Chodzi, zdaje się, o to, że jak się kupi luksusową posiadłość, to wpisuje się ten wydatek do kosztów operacyjnych. Bardzo sprytni ci Amerykanie. Zaksięgowałem 2,40 jako działalność operacyjną, ale na końcu programu dowiedziałem się, że wszyscy, którzy prowadzili tę księgowość, już siedzą. Ha, kto powiedział, że oglądanie telewizji nie rozwija? Skreśliłem koszty operacyjne i wpisałem 2,40 jako stratę bieżącą.

Środa

Księgowanie jest w zasadzie proste. Książkę (26 zł) wpisałem jako wydatki kulturalne, a piwo z Roszkiem (7 zł) jako koszty reprezentacyjne. Podobno koszty można od czegoś odjąć i nieźle na tym wyjść. Kto by pomyślał, że na starym Roszku można jeszcze zrobić interes. Roszko udzielił mi kilku cennych rad, kiedy zapytałem, czy wydatki na słodycze można ukryć w innych pozycjach.

- Można - powiedział, zamawiając napoleonkę. - Ja zapisuję napoleonki jako wydatki na historię, natomiast wuzetki jako transport/komunikacja.

Zamówiłem trufle w czekoladzie. Wpisałem ją pod warzywa i owoce.

Czwartek

Życie księgowego nie jest jednak takie złe. Wymówiłem się od odkurzania pod pozorem zrobienia bilansu środkowotygodniowego. Wydatki przepisałem do nowego zeszytu. Mam

całą masą nowych rubryczek. Mogą też obserwować fluktuacją wydatków na chleb i pieczywo w kolejnych dniach tygodnia. Na razie wychodzi, że w porównaniu z poniedziałkiem we wtorek następuje dwudziestopięcioprocentowy spadek wydatków. To bardzo ciekawe.

Piątek

Sprawiłem sobie nowy dyktafon. Zaksiągowiałem go pod sprzęt biurowy i koszty prowadzenia działalności. Zauważyłem, że zakupy idą o wiele sprawniej, jeśli zamiast zapisywać każdą ceną, nagrywam ją na magnetofon. Mam zaskakujące osiągnięcia. Narysowałem już swój pierwszy wykres, ale nieco niepokoi mnie liczba danych. Jeśli tak dalej pójdzie, będą musiał kupić jakiś mały komputer, do którego na bieżąco będą wprowadzał parametry.

Sobota

Kupiłem mały komputer. Naprawdę prawdziwe cudeńko. Na początku zrobiłem prezentacją wydatków w skali tygodnia. Co prawda tydzień się jeszcze nie skończył, ale nie mogłem się powstrzymać. Zadzwoiłem do Roszka, żeby się pochwalić. On mówi, że już dawno kupił sobie taki sam. Swoją drogą to niesamowite, jak nauka i technika potrafią sobie radzić z optymalizacją wydatków. 1999 zł za komputer wpisałem w fundusze rozwojowe. W końcu komputery z pewnością mają przed sobą rozwój. Drączy mnie tylko jedna myśl. Gdyby tak kupić skaner kodów paskowych, wprowadzanie danych byłoby o tyle łatwiejsze! Na razie dokonałem wstępnej oceny, jakie zrobiliśmy oszczędności. Okazuje się, że dzięki księgowaniu wydatków możemy kupować mniej kajzerek. System wykazał, że w drugiej połowie tygodnia idzie na niejakieś 2,80 zł, czyli o 25 procent za dużo.

Niedziela

Pochwaliłem się najlepszej z żon systemem obliczeniowym. Postanowiłem, że dokonamy fuzji naszych wydatków i podliczymy sumę. Komputer bez trudu radzi sobie z kilkudziesięcioma rubrykami.

- Słucham? - zapytała naj lepsza z żon niezbyt przytomnie znad książki (27,50 - Kultura).
- Rachunki? Gdzie są moje rachunki? Aha, tutaj są.

Podala mi wydartą z zeszytu kartkę, na której namazane było: „Sok z marchewki - 3 zł”.

- A reszta? - zapytałem. - Przecież wzięłaś z bankomatu trzysta złotych. Widziałem.

- Reszta, reszta - burknęła najlepsza z żon, nie wytykając nosa z książki. - Zaraz dopiszę: 297 zł - inne wydatki.

Czegoż jak czego, ale księgowości kreatywnej to ci Amerykanie mogliby się od niej uczyć.

Witajcie w ciężkich czasach

Całkiem niedawno usłyszałem w telewizji o bezrobociu.

- Popatrz, popatrz - zawołała najlepsza z żon. - To się dzieje w Polsce!

Obejrzelśmy cały program i popatrzyliśmy na siebie okrągłymi ze zdziwienia oczami.

- Niemożliwe - powiedziałem.

- Absolutnie - potwierdziła najlepsza z żon.

Kuzyn Roszkazjawił się nas dwa tygodnie wcześniej.

- Przepraszam, stary - szepnął mi Roszko do ucha. - Zamieszkał u nas, szuka pracy i tak go wszędzie musimy holować.

- Se bajestem- uśmiechnął się kuzyn. - Rozesłałem już trzysta CV!

- Pięknie - powiedziałem, bo Seba czekał na jakiś wyraz uznania.

- I nic - dumnie powiedział Seba. - Ale wysyłam dalej.

- No to pięknie - brnąłem, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Tymczasem Roszko zaciągnął mnie do kąta i nerwowym szeptem zaczął opowiadać:

- To kretyn jest, niestety. Mój kuzyn, ajednak kretyn. Ciągłe te CV wysyła i śpi na kanapie w salonie. Jak nic nie zrobię, to będzie tam spał następne dwa lata. Dowiedziałem się swoimi kanałami, że dyrektor dużej zagranicznej firmy myśli o zatrudnieniu asystenta. Mecenas sprzedał mi tę wiadomość w zamian za zamiar na rewelacyjnego specjalistę od feng shui dla żony. Wiesz, że w tej zagranicznej firmie pracuje koleżanka pani Roszko z podstawówki?

Co było dalej, wiem z relacji najlepszej z żon. Poszukiwania pracy dla Seby nabrały tempa. Następnego dnia pani Roszko umówiła się z koleżanką.

- Wyobraź sobie spotkanie po tylu latach - rozmarzyła się najlepsza z żon. - Nie widziały się od ładnych piętnastu lat. Pani Roszko mówi, że Basia w ogóle się nie zmieniła.

- Do rzeczy - przywołałem ją do porządku.

- Już mówię. No więc wyobraź sobie, że Basia ma syna Mateuszka. Cudowne dziecko. Kwietnie się uczy i uwielbia piłkę nożną.

- Do rzeczy.

- Ale to jest właśnie do rzeczy - obruszyła się najlepsza z żon. - Mateuszek marzy o koszulce Davida Beckhama, a Roszko właśnie jedzie do Londynu. W zamian za koszulkę dostanie informację, do kogo w firmie należy uderzyć.

- Stary, mam koszulkę - zawiadomił mnie Roszko trzy dni później. - Nie uwierzysz, ile się za nią nalatałem, Beckham akurat jest *passee*, a poza tym wyobraź sobie, że chodziło o Beckhama jeszcze z Manchesteru. Real odpadał. Pani Roszko umówiła nas w sklepie z tą Basią - że to niby przypadek. Przypadkiem miałem ze sobą koszulkę, a ona przypadkiem miała numer na biurko do tej sekretarki.

- I jak? Dobrze jest? - zaryzykowałem.

- No, nie za dobrze - skrzywił się Roszko. - Ta sekretarka to jakaś hetera. Cały dzień w robocie. Żadnych hobby, żadnej rodziny, żadnych słabych punktów. Wiem tylko, że lubi chodzić do dobrych kosmetyczek i wszystko dałaby, żeby się ostrzyć u tego prywatnego fryzjera gwiazd. A właśnie, czy narzeczona Kazika nie wspominała ostatnio, że znalazła

fantastyczną kosmetyczkę?

Dalsze wypadki potoczyły się w lawinowym tempie. Narzeczona Kazika nawiązała kontakt z sekretarką u kosmetyczki. Obiecała jej, że wprowadzijo do fryzjera gwiazd, tego samego, który nie ma własnego salonu i do którego zwykły śmiertelnik nie może się umówić, o ile nie ma dwóch ostrzyżonych wcześniej członków wprowadzających i tajnego hasła. W zamian za to dostała informację, że dyrektor wszystko by zrobił za bilety na dobry balet. Wydawało się, że już witamy się z gąską, ale nie. Nie było żadnego dobrego baletu, a czas naglił. Na szczęście dyrektor marzył jeszcze o unikalnym rosyjskim serwisie do kawy, niemal nie do zdobycia. Dałby za niego każde pieniądze, bo chce go ofiarować matce na urodziny. Serwis ma się pojawić w sklepie w ciągu tygodnia, ale będzie tylko jeden, a sprzedawca marzy o publikacji swoich opowiadań.

Sprzedawca w sklepie z porcelaną nie chce słyszeć o odłożeniu serwisu, dopóki Roszko nie przedstawi mu Edzia. Edzio zgadza się przeczytać opowiadania i poszukać wydawcy, a może nawet napisać recenzję.

- Stary, jak wreszcie zdobyłem ten serwis, byłem spocony jak mysz - opowiadał Roszko.
- Sprzedawca obiecał, że powie temu dyrektorowi, że serwis już zamówiony, ale klient może się zrzecnie. Więc przyszedłem, dyrektor już czeka, ja udaję, że nie mogę się doczekać serwisu. Wiesz, ile on mi chciał dać za ten serwis? Majątek! Ja na to, że nigdy w życiu. Skoro to prezent dla matki, to się zrzekam. Dyrektor aż podskoczył.

- No cóż, Seba załatwi mi następny - rzucił Roszko.

- A kto to jest Seba? - zapytał dyrektor.

- Och, on załatwia sprawy niemożliwe. Załatwił mi ten serwis.

Dalej wszystko potoczyło się zgodnie z planem. Dyrektor zaprosił Roszka na kawę. Na kawie obiecał, że jeśli dostanie namiar na Sebę, może się zrewanżować świetnym nauczycielem golfa. Roszko dał namiar na Sebę. Dyrektor zadzwonił. Seba już ma pracę. Roszko ma nauczyciela golfa, na co wcale nie liczył, i wolną kanapę w salonie, na co bardzo liczył. Edzio ma recenzję do napisania, ale Roszko obiecuje rewanż, zwłaszcza że dał namiar na nauczyciela golfa właścicielowi pewnego wydawnictwa. Ten właściciel wydaje tylko książki kucharskie, ale pozostaje w dobrych stosunkach z byłą żoną, która wydaje literaturę. Ta żona nie powiedziała nie, kiedy usłyszała, że Edzio pisze. Zwłaszcza kiedy Edzio zagrał najwyższą kartą i wspomniał o fryzjerze gwiazd.

Ostatnio widziałem Sebę w telewizji. Mówił kilka zdań w programie o możliwościach zdobycia pracy dla absolwentów.

- Musicie pamiętać, że liczą się zdolności, wiedza i łut szczęścia - tłumaczył z namaszczeniem na antenie.

- Na przykład ja pilnie uczyłem się przez wiele lat, ale i tak musiałem wysłać kilkaset CV, żeby zdobyć dobrą pracę.

- A skoro mówimy o CV, to przedstawmy teraz zasady napisania dobrego CV - przerwał dziennikarz prowadzący program.

Od razu wiedziałem, że Seba to idiota. Ten facet robi karierę.

Sen nocy wigilijnej

Nie znoszę przedświątecznego zamieszania. To czas, kiedy wszyscy przestają mówić ludzkim głosem i zachowują się jak drapieżniki. Co do mnie, biorę sobie wolne.

Środa

- Roszkowi damy krawat, a pani Roszko wazonik - stwierdziła żona, którą Talko uważa za najlepszą.

Rok temu dali mu krawat i jej wazonik. I dwa lata temu też.

Mogliby być na tyle spostrzegawczy, żeby zauważyć, że pan Roszko nigdy nie nosi krawatów od nich, w wielkie czerwone renifery na zielonym tle. Ciekawe, co pani Roszko robi z tymi wszystkimi wazonikami. No cóż, pewnie to samo, co Talko z kubeczkami od Edzia. Leżą sobie spokojnie na pawlaczu.

Czwartek

Ludzie są dziwni. Talko od rana warczy. Znowu biegali za prezentami.

Ciekawe, czy w przedświątecznym szale tacy Roszkowie mówią o Talkach to samo, co Talkowie o Roszkach.

Talko mawia: „Po co ja właściwie przyjaźnię się z tym Roszkiem i latam za prezentami dla niego? Po to, żeby usłyszeć tych kilka marnych dowcipów, które i tak opowiedziałby mi Kazik?”

- Dla Kazików też jeszcze niczego nie mamy - powiedziała najlepsza z żon.

- I po co przyjaźnię się z tym Kazikiem, latam za prezentami dla niego? - obruszył się Talko. - Przecież te dowcipy i tak usłyszę od Roszka.

Piątek

Dziś wyszli na cały dzień. Powiedzieli, że to ostatnia szansa. Zanim wyszli, całą noc nie spali i zastanawiali się, co kupić Kazikom.

Wiadomo co. Przecież co roku kupują im śmieszny gadżet erotyczny. Zrywają boki ze śmiechu, kiedy pomyślą o minie Kazików, jak odpakują prezent.

W ogóle to jestem zła na Kazika, odkąd mnie przydeptał. Ale jednak mi ich szkoda. Talkowie będą się zaśmiewać całe dni, jakie to mają świetne poczucie humoru. A Kazikowi wydłuży się mina. Naprawdę mogliby już sobie dać spokój z tym poczuciem humoru. Ciekawe, że w felietonach sązawszejacyś bardziej wyrafinowani niż w domu. Ludzie często ich pytają, jak to jest być takimi fajnymi ludźmi z taką fajną grupą przyjaciół. Cha, cha! Wczoraj Talko, gdy siedział na balkonie, mrucał: „Po co mi żona, po co ja latam za prezentami dla niej? Ona nawet mi nie opowie żadnego dowcipu”. Tak, tak, ale takie rzeczy nie nadają się dla publiczności.

Sobota

A nie mówiłam?

- Wyobraź sobie, co kupiliśmy Kazikom - chichrał się Talko.

Biedny Kazik. Nie mam pojęcia, co jest w tej paczce, ale mam najgorsze przeczucia. Prezenty chyba nie powinny być opakowane w różowy papier w deseń w malutkie nagie kobiety w czerwonych czapczkach. Swoją drogą ciekawe, czy Kazik odważy się kiedyś powiedzieć, że wolałby coś zwykłego, a nie z sex-shopu.

Trzebajednak przyznać, że Talkowie też nie mają łatwo. Co roku dostają od narzeczonej Kazika obrazy, które sama im maluje. Przedstawiają dwoje ludzi nieco podobnych do Talków, ale okropnie brzydkich.

Potem Talkowie muszą wmuszać rodzicom albo kuzynom i wmawiać im, że to sztuka nowoczesna, a Kazików przekonywać, że sąsiad zalał im mieszkanie i niestety obrazy się zniszczyły.

Niedziela

Dziś chyba mają depresję. Policzyli prezenty i chyba im wyszło, że brakuje. No tak, nie mają niczego dla Edzia, a poza tym nie mają pojęcia, czy kupować coś Edziowi.

- W zeszłym roku Edzio nic nam nie dał, a my mu daliśmy imbryk do herbaty. No więc jak w tym roku też nam nic nie da, a my mu damy, to będzie jakoś głupio - zastanawiał się Talko.

- Alejak nam da, a my mu nie, to też będzie głupio - zasępiła się Talkowa.

- Po co ja przyjaźnię się z tym Edziem, latam za prezentami dla niego - zaczął Talko. - Chyba tylko po to, żeby znów pomyśleć ciepło o Roszku. Jaki jest, to jest, ale przynajmniej wiadomo, że coś przyniesie pod choinkę.

Wtorek

Sąwykończeni. Leżana kanapach ijącą.

- Nie wyrobimy się - jący Talkowa. - Nie mamy jeszcze prezentów dla rodziny. No i trzeba zrobić uszka.

- Olać uszka - decyduje Talko. - Kupimy w supermarkecie i powiemy, że sami zrobiliśmy. Nikt nie pozna. W zeszłym roku mączyliśmy się nad nimi całą noc, a nikt się nawet nie zająknął, że są fenomenalne. I w ogóle po co człowiekowi rodzina, jeśli będzie mieć pretensje o uszka. Po coja mam latać do nich i robić uszka? Co innego Edzio. Edzio przynajmniej zje u siebie. Lubią Edzia, wiesz?

Środa

Wychodzą na Wigilią.

- No, koty, zachowujcie się dobrze! - woła Talko. - Mam dla was niespodzianką. Chodźcie tutaj. Mikołaj przyniósł wam waszą ulubioną i, kochane, drogą puszką pod choinką. To najdroższa puszka na ziemi. No, macie, kochane stworzenia.

Idziemy jeść. Ja tam nie lubię tej puszeki, Pتيشon i Kropka też jej nie lubią, ale jem, żeby zrobić im przyjemność. Jak wyjdą, obgryziemy trochę kwiatków.

- I po coja mam koty - mówi Talko. - Po co tak się o nie staram. Właśnie po to, żeby sobie raz w roku popatrzeć, jak się cieszą niespodzianki. Tojedynie wdzięczne istoty na tym świecie.

Wiem, że mogłam lepiej trafić. Czasami sobie myślą: „Po co mi ten Talko? Dlaczego latam za nim i podlizuję się haniebnie, mruczą mu do ucha i siadam na kolanach? Czy tylko po to, żeby mi dał tą durną puszką? Dobra, nie jestem filozofem”.

Wielki tenis

Najlepsza z żon była przeciwna, aleja sięzaparłem.

- Żądam sportu - powiedziałem. - Gnuśniejemy na kanapie.

- Może ty - odcięła się żona - boja, nawet siedząc, przez cały czas się gimnastykuję.

- W myślach, kochanie?

- Robię głębokie wdechy i wydechy.

Tak oto, czytelniku, narodziła się w naszym domu idea tenisa.

Najlepsza z żon zrazują sabotowała, póki najakiejś kolacji u Roszków nie zwierzyłem się z moich planów.

- Cudownie! - wykrzyknęła pani Roszko.

- I właśnie - wtrąciła się natychmiast najlepsza z żon. - Ruch, zdrowie, kondycja, sposób życia. Tenis jest cudowny, gdy biegasz po korcie. Czy mówiłam, że odjutra zaczynamy intensywny trening?

W istocie była to prawda. Następnego dnia, leżąc na kanapie, wdychając i wydychając, najlepsza z żon obdzwoniła wszystkich naszych znajomych.

- Tenis, tak, Talko i ja. A wy nic? No, też powinniście się wziąć za jakiś sport. Nie można tak siedzieć. Może tenis? Tenis jest znakomity. Talko i ja, wiesz, jesteśmy zbyt aktywni, żeby nic nie robić. A tenis, bo tenis...

Po tygodniu, gdy nie było już w Warszawie nikogo, kto nie wiedziałby o naszym tenisie, zasugerowałem najlepszej z żon zejście z kanapy i przeniesienie się na jakiś kort. Najlepiej tenisowy.

- W moich łachmanach?! - oburzyła się. - Nigdy.

Tak oto wkroczyliśmy w drugą fazę przygotowań.

Przez pierwszy tydzień najlepsza z żon i ja odwiedzaliśmy sklepy obuwnicze, szukając butów do tenisa.

- Te są - powiedział sprzedawca, prezentując obuwie - do gry na korcie ziemnym, te do hali. Te natomiast

- pokazał coś, co przypominało buty kosmiczne - są superprofesjonalne.

- Ale ja bym chciała czerwone z ostrym noskiem. Może na małym obcasiku, bo w płaskich noga źle wygląda

- powiedziała najlepsza z żon. - Nic takiego nie macie? Może w magazynie?

Już nie pamiętam, czy to ósmy, czy dwudziesty drugi sprzedawca wcisnął żonie trampki. Chyba dwudziesty drugi, bo ósmy - tak, teraz sobie przypominam - ósmy, gdy przyszliśmy n-ty raz, pytając, czy jeśli nie ma czerwonych na obcasiku, to są może pomarańczowe bez obcasika, ale z zieloną wstawką na czubku - tak, ósmy był już wtedy na zwolnieniu lekarskim. Podobno nerwy.

Jeśli chodzi o dres, nie było problemu. Najlepsza z żon kupiła dres zimowy, letni, koszulkę na ramiączkach na specjalne okazje, krótką spódniczkę, z zastrzeżeniem, że jeszcze przećwiczają w domu, spodnie z gumką u nogawek, żeby wiatr ich nie rozwiewał, i spodnie bez gumki, gdyby rozwiane nogawki wyglądały jednak korzystnie, komplet eleganckich frotek na rękę do ocierania potu, podkolanówki, polarek, żeby się okryć, gdy

koszulka na ramiączkach jednak nie wystarczy, bieliznę tenisową, cokolwiek to znaczy, oraz puchową kurtkę, gdyby było jej zimno w polarku.

Kolejne dwa tygodnie zeszły nam na przyjmowaniu gości, których żona witała w mundurze tenisistki.

- Możesz się, Talko, śmiać - powiedziała ubrana w tę koszulkę na ramiączkach i z frotką do ocierania potu, gdy już pożegnaliśmy Kazików - ale w jaki inny sposób sprawdzę, czy ubranie jest wygodne?

- Może na korcie? - zasugerowałem. - Wykonując te bekhendy i inne takie ruchy.

- Ooo - powiedziała najlepsza z żon - puśćmy sobie w telewizji jakiś mecz. Zobaczę, co to w ogóle są za ruchy.

Po pierwszym seansie najlepsza zarzuciła ten pomysł. Następnego dnia zastałem ją z pilotem w ręce, z opaską podtrzymującą włosy, żeby nie przeszkadzały w grze. Mówiła: forhend bekhend, forhend bekhend, rany, jakie nudy w tej telewizji.

Wczoraj, po pół roku przygotowań, byliśmy wreszcie na pierwszej lekcji z trenerem. W tej właśnie chwili stoję obok najlepszej z żon, a ona opowiada o lekcji pani Roszko.

- Cudowny - mówi - delikatny, profesjonalny. Ma niesamowite podejście. Blondyn. W weekendy jest didżejem. Opowiedział mi wszystko ze szczegółami. Ale wiesz, ma niesamowite podejście do uczniów. Podszedł do nas tak, kurczę, jakby płynął, jeżeli wiesz, o czym mówię. Potrafi zmotywować. Tylko Talko mówi, że już nie chce grać. Przekonam go. Jutro kupię sobie buty na lekkim obcasiku, czerwone, w tych trampkach nie wyglądam korzystnie...

Pani Roszko zrewanżowała się historią o tym, jak zamierza grać w siatkówkę.

My z najlepszą z żon uznaliśmy, że rakiety tenisowe są zdecydowanie za małe, a piłki też powinny być większe, bo nie sposób w nie trafić. Jeśli chodzi o formę, to jesteśmy dobrej myśli. Najlepsza z żon właśnie przeczytała, że grając w tenisa, spala się zaledwie trzy razy więcej kalorii, niż opowiadając, jak się gra w tenisa. Wczoraj opowiadaliśmy o tym Kazikom dwie godziny. To zupełnie tak, jakbyśmy spędzili czterdzieści minut na korcie.

Kolanko

Oczywiście, że nie lubię plotek. Nie lubię ich słuchać, nie tworzę ich, a już kolportować je dalej - tego wręcz nie znoszę. Nigdy i nikt nie złapał mnie na tak niskiej czynności.

W niniejszym opowiadaniu udział biorą pani Roszko, narzeczona Kazika i finalnie najlepsza z żon.

Pani Roszko: Renata to wspinała dziewczyna. Strasznie mi przykro, że jej związek z Leonem przeżywa kryzys. Leon aż wyjechał.

Narzeczona Kazika: Okropność.

Pani Roszko: Ludzie teraz o niej opowiadają takie rzeczy.

Narzeczona Kazika: Tak, tak, ludzie tacy są.

Pani Roszko: Same plotki.

Narzeczona Kazika: Na szczęście do mnie nic nie dotarło. Wszyscy wiedzą, że nie toleruję plotek.

Pani Roszko: Wszystko nieprawda. Nikt nie wiedział o nich tyle co ja. Byłyśmy z Renatą bardzo blisko.

Narzeczona Kazika: Te plotki to pewnie jakaś ohyda.

Pani Roszko: Okropność.

Chwila ciszy.

Pani Roszko: Aż mi się powtarzać nie chce. Mówią, rozumiesz, że go rzuciła dla hydraulika.

Narzeczona Kazika: Mogłabyś powtórzyć, bo tu taki hałas.

Pani Roszko: Mówią, że go rzuciła dla hydraulika!

Narzeczona Kazika: Nie dlajakiegoś żonatego?

Pani Roszko: Hydraulika. Takiego, co naprawia kolanka.

Narzeczona Kazika: Blondyna z kucykiem, co ćwiczy jogę.

Pani Roszko: To chyba nie hydraulik.

Narzeczona Kazika: Coś też maluje. Ten blondyn.

Pani Roszko: Więc nie hydraulik. Pewnie jakiś performer. Tak, ona zawsze lubiała otaczać się artystami. Takie aspiracje..

Narzeczona Kazika: No i widzisz, czym się to skończyło. Hydraulikiem.

Pani Roszko: Więc jednak. Facet od kolanek. Wiedziałam..

Narzeczona Kazika: Ale co?

Pani Roszko: Ja najej miejscu bym się zastanowiła. Teraz to dopiero zaczną się plotki. Z hydraulikiem. Ty i ja, wiesz, jakie my jesteśmy. Ale inni ludzie uwielbiają gadać o bliźnich. Z hydraulikiem! Coś takiego.

Najlepsza z żon: Słyszałyście już o Renacie? Będzie miała dziecko..

Narzeczona Kazika: A Leon?

Najlepsza z żon: Pojechał, jak słyszałam, do ojca rozmówić się z nim.

Pani Roszko: Do tego hydraulika?

Najlepsza z żon: Nie, on chyba jest już na emeryturze..

Pani Roszko: O matko!

Narieczona Kazika: Blondyna z kucykiem?

Najlepsza z żon: Nie wiem, dawno z Leonem i Renatą nie rozmawiałam. Ktoś mi mówił, że sajakieś kłopoty z siostrą ojca. Ponoć dostała zawału.

Pani Roszko: Tego hydraulika? A co ona ma do tego?

Najlepsza z żon: Nie dopytywałam się. Wiesz, jak ja nie lubię plotek.

Narieczona Kazika: Tak jak ja. Wszystkim powtarzam: przy mnie proszę nie plotkować.

Pani Roszko: Oh, ja nic nie muszę mówić. Ludzie wiedzą, że dewizą Roszków jest całkowita dyskrecja.

Na scenie pojawia się Renata.

Renata (do pani Roszko): Mam już dla ciebie telefon do tego ortopedy.

Pani Roszko: Jakiego?

Renata: Pół miasta mówi, że Roszko ma kłopoty z kolankiem. Ponoć ma wodę.

Pani Roszko: Gdzie?

Renata: W kolanie.

Najlepsza z żon: Gratulacje z powodu dziecka.

Renata: Przekażę siostrze Leona. To będzie ich pierworodny.

Narieczona Kazika: A gdzie jest Leon?

Renata: Pojechał do ojca. Ojciec wymienia w domu całą hydraulikę i Leon chce tego dopilnować. To co z tym ortopedą?

Narieczona Kazika: To blondyn z kucykiem.

Jestem, jaka jestem

W różnych momentach dochodzą do nas prawdy życiowe. Właściwie nic dziwnego, że do najlepszej z żon doszły na kanapie.

Popołudnie leniwie toczyło się w stronę zmierzchu, siedziałem przy komputerze, myśląc, jak zwykle od tygodnia, w jaki sposób zdominować Imperium Protestanckich Wikingów, gdy z zamyślenia wyrwał mnie głos najlepszej z żon:

- Myślisz, że jestem przebojowa?
- Jasne - powiedziałem, kierując jedną ze swoich armii na stolicę Wikingów.
- A kreatywna?
- Bardzo - potwierdziłem. Moja armia właśnie szykowała się do ataku.
- Eee, chyba nie - stwierdziła naj lepsza z żon. - Ale znalazłam psychotest *Czy jesteś kreatywna*. Ty będziesz zadawał pytania.

Moj a armia uderzyła na Wikingów, więc raczej niechętnie wziąłem gazetę i zacząłem przesłuchanie.

- Czy wolisz kierować zespołem, czy raczej chowasz się za plecami innych?
- Jasne, że kierować - odparła najlepsza z żon.
- Kiedy coś idzie nie po twojej myśli, to jest to wyzwanie czy katastrofa?
- Wyzwanie oczywiście - potwierdziła najlepsza z żon.
- Panujesz nad sobą czy raczej zdarza ci się płakać bez powodu i uważać, że jesteś beznadziejna?

- Doskonale nad sobą panują - oświadczyła najlepsza z żon. - Ej, a wsadziłeś naczynia do zmywarki? Nie. A ile razy ja mam ci powtarzać każdą najdrobniejszą rzecz. No ile?

- Planujesz dokładnie swoje posunięcia czy raczej robisz wszystko na ostatnią chwilą? - zlekceważyłem ten wybuch.

- Przecież doskonale wiesz, że planują.
- W sytuacji kryzysowej wyrastają ci skrzydła, pracujesz wydajnie czy może wpadasz w panikę?

- Jeśli chodzi o radzenie sobie ze stresem, to jestem w tym świetna - obwieściła triumfalnie najlepsza z żon. - No i co? I co? Przeczytaj wyniki.

- Jesteś osobą kreatywną, świetnie sobie radzisz w sytuacjach kryzysowych. Stres to twój żywioł, znakomicie nad nim panujesz. Jesteś typem przywódcy, który uwielbia kierować pracą innych i dobrze sobie z tym radzi.

- No popatrz, coś takiego - najlepsza z żon szeroko otworzyła oczy. - W ogóle nie zdawałam sobie z tego sprawy. Te psychotesty to znakomita rzecz. Poproszą następny.

Tąsknie zerknąłem na ekran komputera, gdzie moi żołnierze rozgromili armię Wikingów i zbliżali się pod mury ich stolicy.

- To będzie test osobowościowy - zapowiedziałem. - Czy irytuje cię nieporządek w najbliższym otoczeniu, jesteś pedantką czy może artystyczną duszą kładącą wszystko, gdzie popadnie?

- Oczywiście, że artystyczną duszą - najlepsza z żon rozsiadła się wygodnie.
- Gdybyś mogła zostać prezydentem, słynnym, ale niedocenionym i biednym pisarzem

albo bogatym biznesmenem, to co byś wybrała?

- Pisarzem, tak, pisarzem - zastanowiła się przez chwilę najlepsza z żon.

- Wyżej sobie cenisz ładnie wyposażoną łazienkę czy poezję?

- Oczywiście, że poezję. Pawlikowska i tak dalej.

- W życiu najważniejsze jest dla ciebie konto bankowe z wieloma zerami czy raczej bogata duchowość?

- Tylko duchowość - zarzekła się najlepsza z żon. - Pieniądze to nie wszystko. Już koniec? No to przeczytaj wyniki.

- Jesteś niespokojną i zwichrowaną duszą artystyczną. Wyżej sobie cenisz wartości duchowe niż materialne. Masz zadatki na malarzkę lub poetkę. Gorzej idzie ci prowadzenie domu i zajmowanie się codziennymi sprawami.

- Niesamowite! - zdziwiła się najlepsza z żon. - Skąd oni to wiedzą! To przecież całają. No, ale cóż - jestem, jaka jestem. A ty natychmiast weź talerzyk, bo strasznie kruszysz, aja dziś wysprzątałam całe mieszkanie.

Posłusznie wziął talerzyk, sytuacja moich wojsk stawała się coraz gorsza. Wikingowie ściągnęli skądś posiłki i na moją armię uderzyła z boku cała chmara Turków na słonach bojowych.

- To teraz ja ci zrobię psychotest - zaproponowała najlepsza z żon. - Gdy masz do wyboru: pobiegać, przeczytać wartościową książkę albo pograć na komputerze, to co wybierasz?

- Zdecydowanie książkę - powiedziałem. - Nie ma jak dobra książka. Ale może daj też pół punktu na bieganie. Już od roku sobie myślę, że naprawdę warto pobiegać. Wiesz, gdyby nie ta pogoda, bo nie chciałbym się jednak przeziębnić. Tak, na pewno bym pobiegał.

Jeśli chodzi o moje wyniki, są wspaniałe i zacząłem wierzyć w rozwiązywanie psychotestów. Wyszło mi, że jestem twórczą naturą, mam zadatki na prezesa i wielkiego pisarza równocześnie, a przy tym jestem wspaniałym mężem. Kwietnie potrafię kierować, rozwijam się intelektualnie i nie zaniedbuję strony fizycznej. Dzięki temu pasuję jak ulał do najlepszej z żon.

Jedyne, co mnie martwi, to to, że Wikingowie pogonili moją armię. Ale jutro dam im łupnia.

Pan łąwi

Pamięci pewnego aktora, któremu psychoterapeuta zalecił długi odpoczynek i absolutną abstynencję, gdy chodzi o wywiady.

Stało się to po wywiadzie, który ów nieszczęśnik dał pewnemu pismu - powiedzmy wędkarskiemu.

- Dzień dobry. To wspaniale, że znalazł pan trochę czasu, by podzielić się swoimi myślami z czytelnikami „Poradnika wędkarza”.

- Rzeczywiście, jestem trochę zajęty. Już za tydzień odbędzie się premiera filmu, w którym gram rolę skomplikowanego wewnątrznie, przygniecionej kompleksami starca...

- No właśnie. A skoro już jesteśmy przy rybach... Lubi pan wędkować?

- Nie mam za wiele czasu. Jak mówiłem, film...

- A gdyby pan miał czas, to by pan lubił?

- W wolnych chwilach czytam raczej książki.

- O rybach?

- O różnych rzeczach. Niedawno wróciłem do Hemingwaya i ponownie przeczytałem opowiadanie *Stary człowiek i morze*. Główny bohater w istocie walczy z wielką rybą. Bardzo się z nim utożsamiam, z nim, który zмага się z samym sobą. To opowieść o ludzkiej kondycji...

- Trzeba mieć kondycję, żeby łąwić, to fakt. Jakie ryby lubi pan łąwić najbardziej?

- Pan przecenia moje umiejętności. Złowiłem w życiu jedną rybę. Nie pamiętam, niestety, jaki to był gatunek.

- Może szczupak?

- Nie wiem, niestety.

- Albo lin. Chciałby pan złowić lina? Od razu zastrzegam, że ja sam uwielbiam łąwić lina. To jest przeżycie.

- Cieszę się z pana pasji.

- Ja też się cieszę. Jest lato, wybiera się pan na ryby?

- Raczej nie. Ta premiera...

- Rozumiem, a może pana koledzy aktorzy wybierają się na ryby? Kto z pana kolegów łąwi ryby?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Wie pan, my, aktorzy, jesteśmy specyficznymi ludźmi. Nawet w wolnym czasie mówimy o pracy. To zapewne efekt olbrzymiego napięcia, jakie nam towarzyszy...

- Właśnie. Jakie napięcie odczuwa pan, gdy łąwi pan ryby?

- Ekhm. Kelner, czy mógłbym dostać wody?!

- Dobrze, w takim razie pomówmy o pana dorobku. Dorobił się pan dużej listy ról. Sprawdziłem w internecie. Czy była wśród nich rola wędkarza?

- Nie przypominam sobie. Moim wielkim wyzwaniem był zagrany jeszcze na studiach Hamlet. Mimo pewnej rutyny staram się równopasją podchodzić do nowych wyzwań aktorskich. Moim marzeniem jest rola księdza Robaka.

- Łowi pan na robaki?

- Mówiłem o roli.
- A nie lepiej zagrać wędkarza? Chciałby pan zagrać wędkarza?
- Cóż, zależy, jaka to miałyby być rola. Rozumiem, że wędkarska pasja byłaby zaledwie przyczynkiem do ukazania życia wewnętrznego bohatera, jego relacji z innymi...
- *Apropos* relacji z innymi. Może pana koledzy grali kiedyś wędkarzy?
- Przepraszam, muszę zapalić.
- Oczywiście. To jak z tymi kolegami. Grali?
- Jeden z moich przyjaciół, dziś wybitny artysta, na egzaminie do szkoły teatralnej w istocie zagrał rybę.
- Szczupaka? - Nie wiem, niestety.
- To może lina. Osobiście pasjami lubię liny. Wie pan, jaki jest wymiar ochronny lina? Dwadzieścia pięć centymetrów. Jakie ma pan w związku z tym refleksje?
- To jedna czwarta metra?
- Trafił pan. Ma pan dziecko. Córkę. Ona lubi łowić ryby?
- Nie sądzę. Ma dopiero pięć lat. Na razie lubi postawić na swoim. Często staje okoniem.
- A wie pan, kiedy jest okres ochronny okonia? Widzę po minie, że pan nie wie. A, podpuściłem pana. W ogóle nie ma okresu ochronnego. Kwietna puenta. I co pan na to?
- Tak, jestem zdumiony. To już koniec wywiadu?
- Jeszcze jedno pytanie. Czy jest pan spod znaku Ryb?
- Jestem Strzelcem.
- A kogo pan zna spod znaku Ryb?

Męskie pragnienia

- Ech! - powiedział Roszko pewnego letniego popołudnia, gdy wypoczywaliśmy po pracy w kawiarni, leniwie obserwując przechadzających się ludzi.

- Właśnie - potwierdziłem rażony głębiajego niedostępnej kobietom konstatacji. Zrozumieliśmy się bez słowa.

- Wolność - mruknął Roszko.

- Ba! - odmruknąłem.

Na wypadek gdyby ten tekst czytały kobiety i nie rozumiały, o co chodzi, wyjaśnię, że chodziło nam o męskie marzenia o wolności.

- Gdyby tak ruszyć w świat. Człowiek byłby wolny niczym ptak. Jednego dnia tu, a drugiego tam - dumałem.

- Zwłaszcza pod koniec miesiąca - dorzucił Roszko.

- Te wyciągi... - skinąłem ze zrozumieniem głową. Też nienawidziłem chwili, gdy w skrzynce pojawiały się sterty rachunków i ogołacały rachunek, z zer zostawiając na nim samo zero. - nigdy nie mogłem tego pojąć.

- Gdyby tak przemierzać świat, grając na gitarze - zastanowił się Roszko.

- A ja bym grał na bębenku - ucieszyłem się. - Chociaż nie, nie pasuje do gitary. Może bym śpiewał. Ludzie by nam wrzucali pieniądze do kapelusza.

- Ale ty nie umiesz śpiewać - zaoponował Roszko.

- A ty grać na gitarze - zrewanżowałem się. - Moglibyśmy wędrować z miasta do miasta i malować obrazy na chodnikach.

- Albo pleść takie bransoletki - Roszkowi zaświeciły się oczy.

- Zawsze chciałem zobaczyć Marrakesz - zapaliłem się. - Przyjechalibyśmy do Marrakeszu i wynajęli jakąś skromną marokańską willę. One są śmiesznie tanie, bez wygód, gdzieś na starym mieście, wśród arabskich przekupniów.

- Albo do Katmandu - rozmarzył się Roszko. - Kupiłbym sobie taki młynek tybetański i nim obracał.

- A ja drugi - przytaknąłem. - Albo do Indochin. Mieszkałbym w takiej trzcinowej chatce.

- To chyba raczej w Polinezji - zastanowił się Roszko.

- W Polinezji też bym mógł - zgodziłem się. - Bezkresny ocean, rafa koralowa, kilka palm.

- I żadnych rachunków - podkreślił Roszko. - Żadnych mebli do salonu, żadnego remontowania i malowania. Żadnych nowych sweterków i spódniczek.

- Żadnych - zgodziłem się. - W końcu czego trzeba nam do życia? Paru kokosów, czasem złowilibyśmy rybę.

- Ale taką żywą rybę? - spytał Roszko.

- No a jaką? W folii? - zdziwiłem się.

- W takim razie trzeba by ją, no wiesz. Zabić. A potem wypatroszyć - wydusił z niechęcią Roszko.

- No tak - przyznałem niechętnie. - Ale sajeszczke kokosy.

- A co z gazetami? - zapytał Roszko. - Jakież by dochodziły? Prawda?
- Niejestem pewien - wyznałem. - Ale za to byłyby Polinezyjki.
- Takie z wieńcami kwiatów na szyi i w spódniczce z trawy? I z pięknymi pełnymi biustami nieskrępowanymi stanikiem od Triumphu za trzy stowy? - upewnił się Roszko.
- Dokładnie takie - uspokoilem go.
- I zero cywilizacji? - upewnił się Roszko.
- Zero - klepnałem się w pierś. - Tylko chatka, zachody słońca, przejrzysta woda, Polinezyjki, a wieczorami leżelibyśmy w hamakach i oglądali niebo.
- To mi się podoba - sapnął Roszko. - Ale czy tam jest zasięg?
- Chyba nie ma - upiłem łyk kawy.
- To niedobrze - zmartwił się Roszko. - Bo jakbym leżał w tym hamaku i chciał zadzwonić do ciebie, że właśnie leżę w hamaku i oglądam niebo, a dookoła tańczą piękne Polinezyjki, to co?
- Ja bym leżał na hamaku obok - uświadomiłem go. - Zawołałbyś: O, Polinezyjka idzie!
- No to zadzwoniłbym do Kazika - nie dawał za wygraną Roszko. - Posłałbym mu e-mailem zdjęcie naszej chatki i tych Polinezyjek. Ale by nam zazdrościł!
- Moglibyśmy też ruszyć na wyprawę dookoła świata - zacząłem rozmyślać. - Jakbyjuż nam się znudziło na tej Polinezji.
- Właśnie, zostalibyśmy amerykańskimi gauczo -zapalił się Roszko. - Żadnego garnituru do biura. Siedzielibyśmy sobie na pampie i... i... Co właściwie robią gauczo?
- Pykają fajeczki, oglądają zachody słońca - zasugerowałem.
- No właśnie, tak myślałem - ucieszył się Roszko. - W każdym razie na pewno nie zastanawiają się, jak spłacić ratę za dom i kiedy zaczyna się sezon wyprzedaży. Winko popijają, w Argentynie mają nawet niezłe. Steki jedzą z grilla. To kiedy ruszamy?
- Zanim zdążyłem odpowiedzieć, jak spod ziemi wyrosła pani Roszko z najlepszą z żon, dźwigając stertę pudełek z butami, sweterków i bliżej niezidentyfikowanych zakupów.
- Ruszamy natychmiast - zakomunikowała pani Roszko. - Może nie pamiętasz, ale obiecałeś, że dziś zreperujesz wreszcie ten kran i masz zadzwonić z reklamacją. Obiecujesz od tygodnia.
- Właśnie - włączyła się najlepsza z żon. - A my musimy zrobić porządek w szafie. A o czym wy właściwie takgadaliście?
- Spojrzeliliśmy z Roszkiem po sobie.
- Ba! - powiedział Roszko.
- Ba! - powiedziałem ja.

Szerokie horyzonty

- Wiesz, Matti jest po prostu super - zawiadomiła pani Roszko najlepszą żon.
- O! - zdziwiła się uprzejmie najlepsza z żon.
- On po prostu zna się na wszystkim i tak ciekawie potrafi opowiadać. Dasz wiarę, że był w Argentynie i podróżował po pampasach - ciągnęła pani Roszko. - Koniecznie musicie przyjść w piątek. Rozmowa z nim naprawdę poszerza horyzonty. Tego nie dowiesz się ani z telewizji, ani z gazety.
- Hm - powiedziałem, kiedy pani Roszko zniknęła. - Matti? Horyzonty? Poszerzenie? Najlepsza z żon spojrzała na mnie pytająco.
- Hm - powtórzyłem.
- Oczywiście nie mogliśmy zmarnować takiej szansy na poszerzenie horyzontów, nawet jeśli były w tym jakieś „hm”. W piątek wieczorem stawiliśmy się u Roszków. Matti już był, rozsiewając dyskretną woń pewności siebie i dobrej wody toaletowej.
- Wyobraźcie sobie, że Matti właśnie opowiadał o najmodniejszym drinku w Nowym Jorku. Koniecznie muszę poznać przepis.
- Och, to nic wielkiego - machnął ręką Matti. - Po prostu ostatnio, kiedy byłem na Brooklynie, zresztą bywam tam na tyle często, że już nie liczę, no więc ostatnim razem idę sobie ulicą i spotykam Paula Austera. Kojarzył mnie z jakiejś nasiadówki, więc wstąpiliśmy na drinka razem z grupą znajomych. Taka już moja karma, gdzie się nie ruszę, wpadam na jakichś znajomych. No nic, wypijmy.
- A przepis na drinka gdzie? - syknąłem do najlepszej z żon, ale dała mi sójkę w bok i zapytała:
- A Paul Auster jak jest prywatnie?
- No wiesz, lubię go, jest w porządku. Powiedział, że mam świetne buty. Te buty kupiłem w takim małym sklepiku w Rzymie. Mówię wam, nie dalibyście za ten sklepik grosza. Ale za to w środku cuda po prostu.
- O, byłeś w Rzymie - zdziwiła się pani Roszko. - Też myśleliśmy o wycieczce. Powiedz, gdzie się warto wybrać?
- Cóż - zastanowił się filmowo Matti. - Ja pamiętam oczywiście przede wszystkim taką małą kawiarenkę. Nazwy sobie nie przypominam. W każdym razie siedzę tam, podchodzi do mnie jakaś laska i pyta, czy pracuję w branży filmowej. No jasne, myślę: to przecież Monica Bellucci. Wiecie, ona prywatnie jest całkiem całkiem.
- Ale rozmawiałeś z nią? - zainteresowałem się.
- Żebym to ja miał czas rozmawiać z każdą piękną kobietą! - zaśmiał się perliście Matti. - Ale, ale... czy już opowiadałem wam, jak spotkałem kiedyś miss? Jadę akurat samochodem, no a wiecie, nie należę do tych, co jeżdżą wolno. Jak już wyjadę na trasę, to cisnę pedał. Poniżej stu osiemdziesięciu nie schodzę. Po prostu uważam, że trzeba szybko żyć. Raz na autostradzie tak się zapomniałem, aż nagle patrzę na zegary - dwieście sześćdziesiąt. Nieźle, myślę. Jakoś nie skojarzyłem, że mijam te wszystkie porszaki i merce.
- To może przejdziemy do stołu - wpadła mu w słowo pani Roszko.
- Jasne - zapalił się Matti. - Cóż my tu mamy za pyszności? Kurczak pieczony i

ziemniaczki. Właśnie miałem opowiedzieć o Londynie. Tak mi się skojarzyło, bo w restauracji miałem umówione spotkanie z szefem Microsoftu na Europę. Równy gość, nie można powiedzieć. Strasznie mu zależało na tym spotkaniu, to powiedziałem sobie: W porządku, Matti, co ci szkodzi, spotkaj się z nim.

- O! To działasz też w branży komputerowej? - zdziwił się milczący dotąd pan Roszko.

- Można tak powiedzieć - uśmiechnął się Matti.

- Właśnie myśleliśmy, żeby kupić laptopa - wypaliła pani Roszko.

- O, na laptopach znam się świetnie. Mogę wam doradzić - zaczął Matti. - Pamiętam, jak niedawno w Amsterdamie na konferencji jednemu gościowi zaciął się laptop. Nie wiedział kompletnie, co z nim zrobić. No więc podchodzę, przedstawiam się. Zresztą niepotrzebnie, bo facet oczywiście mnie kojarzył. Ja zresztą też skądś go sobie przypominałem. Ale dopiero jak dał mi wizytówkę, to mówię sobie: No tak, Matti, skleroza nie boli. To ten od sieci supermarketów.

Kiedy Matti już poszedł, wymawiając się jeszcze kilkoma spotkaniami tego wieczoru, usiedliśmy z Roszkami przy kawie.

- Ten Matti jest naprawdę niesamowity - westchnęła pani Roszko. - Ma takie szerokie horyzonty. A przy tym jest niezwykle skromny. I człowiek tyle się dowiaduje.

- O nim - szepnęła cicho najlepsza z żon.

Męska duma

Niewiele jest rzeczy, które mogą całkowicie dezorganizować dom. Właściwie nic nie przychodzi mi do głowy. Przetrwaliśmy brak elektryczności, awarię windy (mieszkamy na dwudziestym drugim piętrze) i wziętego na przechowanie kota, który usiłował nas zagryźć, pozostając w błędnym przekonaniu, że jest tygrysem, a my zwierzyną łowną.

Tak sądziliśmy do chwili, kiedy najlepsza z żon chciała upiększyć zlew. A konkretnie rurki odpływowe i syfon.

- Popatrz, kochanie - zademonstrowała mi z dumą jakieś dziwne rurki. - No i co?

-No, rurka - powiedziałem.

- Ale czy ładna?

- Boja wiem - zająknąłem się. Jakoś nigdy nie patrzyłem na rurki pod kątem estetyki. - Myślę, że jest w porządku.

- A nie uważasz, że wyglądam ak nowa? - zmartwiła się najlepsza z żon.

- No, może i tak - potwierdziłem. - A bo co? To ważne?

- A bo umyłam wszystkie rurki - ucieszyła się. - Wiesz, strasznie były brudne. Sama rozkręciłam i sama umyłam. Bardzo jestem dzielna.

- Najdzielniejsza - potwierdziłem i nie zapaliło mi się żadne czerwone światełko, choć powinno. - W życiu nie widziałem ładniejszych rurek. Wiesz, myślą że woda będzie szczęśliwsza, spływając takimi ślicznymi rurkami.

- Znowu się nabijasz - naburmuszyła się najlepsza z żon. - Ciekawe, czy dużo żon potrafiłoby rozebrać i umyć takie rurki. Większość żon pewnie w ogóle nie wie, że one istnieją!

- Na pewno żadna - zapewniłem ją całkiem szczerze.

-No właśnie - powiedziała. - Włożą je teraz z powrotem, apotem może obejrzymy jakiś film?

Mniej więcej pół godziny później usłyszałem ciche chrząknięcie.

- Wiesz - powiedziała najlepsza z żon, stojąc w progu pokoju. - Może rzucisz okiem na te rurki. One jakoś nie do końca pasują.

- Ha, więc jednak mążczyzna się przydaje - rzuciłem triumfalnie i pomaszerowałem do kuchni.

- Popatrz, mała - rzuciłem nonszalancko. - To jest kolanko. Musi być pod zlewem, a nie przy odpływie. Ja ci zaraz pokażę, jak to powinno być zrobione.

Mniej więcej godziną później najlepsza z żon zajrzała do kuchni.

- To co, mogają już włączyć zmywarkę?

- Niezupełnie - wycharczałem spod zlewu. - Piąt minutek.

Nie mogłem pojąć, co się stało. Miałem pięć różnych rurek. Niewątpliwie przed rozmontowaniem pasowały do siebie. Teraz żadnym sposobem nie chciały się w nic ułożyć. Na oko brakowało co najmniej kolejnych pięciu. Kiedy dołączyłem zmywarkę, zabrakło sporego kawałka do komory zlewu. Kiedy podłączyłem zlew, nie było czym połączyć go z rurą odpływową.

-.Kochanie,,może.wezwiemy.hydraulika.-.zapropnowała o północy najlepsza z żon. -

Po co masz się męczyć.

- Absolutnie nie! - ryknąłem. - Ja złożę te debilne rurki.

- Ale hydraulikowi zajmie to pięć minut - powiedziała najlepsza z żon.

-No właśnie - prychnąłem, wpełzając spod zlewu brudny i zły. - Już to sobie wyobrażam. Przyjdzie, zrobi, a ja co? Będę stał jak ten głupi: facet, który nie potrafi złożyć pięciu rurek do kupy. Hydraulik będzie opowiadał o tym wszystkim kumplom przez następny rok.

- To przecieżja rozebrałam te rurki.

- Ale jako mężczyzna powinienem je w pięć minut złożyć - podniosłem głos. - Co ze mnie za mężczyzna? Pomyśl o czasach, kiedy mieszkaliśmy w jaskiniach, wychodziłbym rano upolować mamuta, chodziłbym i chodził, a mamuta nie ma. Wyobrażasz sobie, że wreszcie bym machnął ręką, wezwał specjalistę od polowań na mamuty i poprosił, żeby upolował go za mnie? Mężczyzna już po prostu taki jest, że sam wie, jak się poluje na mamuty i naprawia zlewy. I powinienem umieć to robić.

- No dobrze - zgodziła się najlepsza z żon - toja pójdę już spać, a może sama sobie obejrzę film. Powodzenia.

Rankiem pojechałem do sklepu z częściami i kupiłem cztery złączki, dwie rurki proste, dwie skrętne i dwie elastyczne - uznałem, że tyle w połączeniu z tymi, które już mam, wystarczy.

- Teraz ci pokażę - zapowiedziałem najlepszej z żon.

- To co, gotowe? - zapytała najlepsza z żon dwie godziny później.

- Te rurki dalej nie pasują - wrzasnąłem i znowu pojechałem do sklepu.

Tym razem kupiłem kompletne oprzyrządowanie do syfonów. Cała szafka była pełna rurek i złączek, z których nic nie pasowało do czegokolwiek innego.

- Ani słowa! - ostrzegłem najlepszą z żon po kolejnej godzinie. - Żadnych hydraulików.

- Dobrze - zgodziła się. - Ale zabrakło nam szklanek i talerzy, bo już od trzech dni nie mogę niczego umyć. Ale wiesz, mam pomysł.

Wieczorem po raz pierwszy doszedłem do jakiegoś rezultatu. Z większości rurek zbudowałem konstrukcję przypominającą budowlę Gaudiego i zajmującą całą szafkę.

- Jesteś wspaniały - dowartościowała mnie najlepsza z żon.

Puściłem wodę. Przez chwilę szumiała w rurach, a potem zaczęła malowniczo wyciekać z różnych złączek i zbierać się na podłodze.

- Ani słowa - ostrzegłem i zadzwoniłem do hydraulika.

Pierwszych dziesięciu odrzuciło propozycję przyjechania.

- Panie, to robota na pięć minut - argumentowali. - Policzyłbym osiemdziesiąt złotych, to mi się nie kalkuluje ruszać z domu.

Zirytowany chciałem się umyć, ale okazało się, że wannę zajmuje przemysłna konstrukcja z suszących się talerzy i szklanek.

- Nieźle to wymyśliłam - ucieszyła się najlepsza z żon, widząc moją minę.

- No! - potwierdziłem. I znowu poszedłem dzwonić do hydraulików.

Wreszcie jeden zlitował się i przyszedł. Doceniłem ten gest. W końcu już zdążyłem się dowiedzieć, że hydraulicy mają masę zajęć, ale żadne nie wiąże się z naprawianiem rurek i zlewów.

Hydraulik pojawił się już po dwóch dniach, umyliśmy się na jego powitanie za pomocą

chusteczek higienicznych. Naj lepsza z żon chciała wyskoczyć do Roszków i pod jakimś pozorem skorzystać z prysznic, ale się nie zgodziłem. Mężczyzna ma swoją dumę.

- A kobiety wyżej cenią higienę - odcięła się najlepsza z żon i, zdaje się, wyszła do sąsiadki pogadać o polityce. Kiedy wróciła, była podejrzenie czysta i pachnąca.

Tymczasem zjawił się hydraulik, który wyjaśnił nam, że zajmuje się tą dziedziną życia wyłącznie z musu, marzy bowiem, żeby założyć jakiś wielki interes i kupić sobie BMW, a w wolnych chwilach zostać gwiazdą estrady. Chwilowo zaś naprawia krany.

- Wie pan, próbowałem coś grzebać kilka minut, ale chyba mi nie wyszło - uśmiechnąłem się. - Akurat spieszę się i nie mam czasu.

Fachowiec machnął ręką.

- To zajmie pięć minut - powiedział.

Kiedy trzy godziny później wypętlł spod zlewu, był czerwony i wściekły.

- Panie, tu nic nie pasuje. Co to za cholerstwo. Musiały być inne rurki.

Na dowód puścił strumień wody i jego konstrukcja z rurek zaczęła puszczać wodę bokami.

- Niech się pan nie martwi - wielkodusznie machnąłem ręką. W końcu ocalił moją męską dumę. - Z mamutami, to jest zlewami, już tak jest.

Reisefieber

Przedwczoraj naj lepsza z żon zaczęła na mnie fukać:

- Przecież mówiłam ci, żebyś zapłacił za telefon i kupiłjedzenie dla kota - powiedziała z wyrzutem.

- Kupiłem - pokazałem z dumą stertę puszek.

Najlepsza z żon zastanowiła się przez chwilę.

- A pamiętałeś, żeby kupić im chrupków? No właśnie. Ciebie po coś wysłać. Nie siedź tak, zrób coś. Masz tu pranie, włóż do pralki. Albo nie - oddaj. Sama włożę. Albo chodźmy razem, z tobą to nigdy nic nie wiadomo. Trzeba wszystko uprać.

- W porządku, ale może po filmie - zaproponowałem coś, co w moim mniemaniu stanowiło kompromis, ale w mniemaniu najlepszej z żon było próbą ucieczki przed pralką.

- Film zdążysz jeszcze obejrzyć - fuczała. -A uprać musimy teraz.

- A właśnie, że nie - spróbowałem siły argumentów logicznych, co, jak się okazało, było posunięciem dosyć głupim.

- To teraz przebierz wszystkie rzeczy, zrób porządek w papierach, aja odkurzę całe mieszkanie - komenderowała najlepsza z żon.

- Teraz? O jedenastej wieczorem? - zdziwiłem się.

- Przecież jest brudno - zniecierpliwiła się. - Nie będziemy mieszkali w chlewie. A te papierki miałeś już rok temu przejrzeć.

- No właśnie, dzień w tę czy w tamtą dużo nie zmieni - pokiwałem głową.

Wczoraj miałem nadzieję, że chwilę posiedzę przy kawie, czytając gazetę, ale najlepsza z żon odkryła, że nie zinwentaryzowałemjeszcze zdjęć z wakacji.

- Kochanie, czy koniecznie muszę to zrobić teraz? -skrzywiłem się.

- Nigdy nie wiadomo, co się zdarzy - odparła zagadkowo i wręczyła mi olbrzymią kopertę, z której wysypywały się zdjęcia.

- Jak skończysz, to oddaj książki do wypożyczalni i pójdz do apteki.

- Ale miałem nadzieję, że wybierzemy się do kina -zaprotestowałem słabo.

- Też miałam nadzieję - odparła najlepsza z żon. - Jakbyś to wszystko zrobił wtedy, kiedy obiecywałeś, to nie musiałbyś się w tym grzebać teraz.

Wieczorem zobaczyłem najlepszą z żon przy telewizorze. Nerwowo gryząc koc, oglądała film dokumentalny.

- Popatrz - powiedziała słabym głosem. - Podobno kiedy samolot się rozbija, ludzie się po prostu rozpadają. To niesamowite.

- No cóż - odparłem ostrożnie. - Chyba tak jest. Zjemy kolację.

Najlepsza z żon pominęła milczeniem tę uwagę i dalej wpatrywała się w ekran.

- Praktycznie nie ma szans wyjść cało z katastrofy samolotowej - zakomunikowała ponuro.

- Hmm? - powiedziałem, bo jakoś nic inteligentniejszego nie udało mi się wymyślić.

Dzisiaj wreszcie wpadłem, o co chodzi najlepszej z żon.

- Hej, wstawaj - szarpała mnie za ramię.

- Ale która godzina? - wybełkotałem nieprzytomny.

- Już szósta, wstawaj, ubieraj się. Musimy iść.
- Zaraz, gdzie iść, co się dzieje? - usiadłem na łóżku.
- No przecież wyjeżdżamy, nie pamiętasz? Jedziemy, musimy jeszcze zrobić milion rzeczy.
- Chwilę, ale jakich rzeczy? - ziewnąłem.
- A myślisz, że rzeczy same się spakują? - najlepsza z żon nerwowo chodziła po pokoju.
- Wczoraj spakowałaś - zauważyłem.
- Ale dziś rozpakowałam, bo chciałam sprawdzić, czy wszystko zabrałam - powiedziała najlepsza z żon. - No już, wstawaj, zaraz trzeba wychodzić.
- Wychodzimy w południe - ziewnąłem. - Więc mogę jeszcze pospać.
- A wiesz, gdzie są paszporty? Nie wiesz. Wstawaj i znajdź je.
Podreptałem do szuflady i znalazłem paszporty, które były tam od niepamiętnych czasów.
- To jeszcze się zdrzemnę - powiedziałem.
- A wzięłaś wszystkie, wszystkie... - najlepsza z żon zastanowiła się chwilę, ale potem machnęła ręką.
- Jest jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia.
- Wymień choć jedną - ziewnąłem.
- Podlać kwiatki, zabrać pocztę, zrobić zakupy, zadzwonić do pani Roszko - wymieniała najlepsza z żon.
- Wczoraj dzwoniłaś do pani Roszko - zwróciłem uwagę. - Koty mają już jedzenie, jest posprzątane i można jeszcze na chwilę się zdrzemnąć.
- A gaz? Wyłączyłaś gaz? Wyłącz na wszelki wypadek komputer. Z komputerami to nigdy nic nie wiadomo - najlepsza z żon krążyła po domu niczym tygrys w klatce. - Napewno o czymś jeszcze zapomniałem. Szczoteczki są, pasta jest, piżamy są, sweterki na wypadek, gdyby było zimno - są, jak kostium kąpielowy na wypadek, gdyby było ciepło - jest. Parasole, gdyby padał deszcz - są. Chyba wszystko. Jedziemy?
- Kochanie, mamy jeszcze trzy godziny - jęknąłem.
- Nigdy nie wiadomo, jak będzie na drodze - najlepsza z żon zdecydowała: - Ruszamy.
Wytoczyliśmy się z mieszkania z trzemajwalizkami, a koty zdumione oglądały górę jedzenia, którą przed nimi ułożyliśmy.
Bez wątpienia wszystko było zapięte na ostatni guzik.
Z Kazimierza wracamy jutro.

Nie być stokrotką

W jaki sposób ludzie łączyli się ze sobą w epoce, kiedy w gazetach nie było horoskopów? Przychodził kawaler, żeby się oświadczyć, i nie wiedział, czy jest lilią, a ona bżem albo on diamentem, a ona rubinem, i czy z tego coś będzie - westchnęła dramatycznie pani Roszko.

- Dlaczego lilią? - zainteresował się Edzio.

- Niekoniecznie lilią - wyjaśniła pani Roszko zaczytana po uszy. - Możesz być mchem, jałowcem czy nawet rosiczką.

- Samajesteś rosiczką - obruszył się Edzio.

- Właśnie że nie. Z tego horoskopu wynika, że jestem tulipanem. Zresztą sprawdźmy. Tulipany są uczuciowe, wrażliwe i ciężko znoszą zmiany. Wszystko się zgadza - pani Roszko potoczyła triumfalnie wzrokiem. - Kobieta tulipan przedkłada marzenia nad codzienność.

- Co racja, to racja - mruknął Roszko, odrywając się od kolumny sportowej. - Wróciłem dziś do domu i spotkałem się z codziennością. Nie ma obiadu.

- To szowinistyczne stwierdzenie - oburzyła się narzeczona Kazika. - Według ciebie kobieta ma gotować obiad i prasować?

- Mówiłeś, że zjesz na mieście - pani Roszko się nie przejęła. - Lepiej zobaczę, co piszą o tobie. O, jesteście fiołkiem - kiwnęła na pana Roszko. - Fiołki są osobami nienadającymi się do twardej walki. Wyrastają z nich myśliciele, artyści i literaci. Kochanie, obawiam się, że pomylili cię z tulipanem.

- Pokaż mi to! - pan Roszko wyrwał jej gazetę. - No tak, sprawajest jasna. Jestem kaktusem. O, proszę. Kaktusa łatwo można urazić. Kaktusy są popędliwe, skore do gniewu, ale szybko wybaczą. Kaktus mężczyzna to człowiek inteligentny, wysokich lotów. Zwykle dochodzi do najwyższych stanowisk. To po prostu! - Roszko uderzył się w piersi.

Wróciliśmy z najlepszą z żon do domu pogrążeni w myślach. Byłem stokrotką i trochę mnie to uwierało. Nawet nie to, że stokrotki są obdarzone niezwykłą intuicją. Ale kruchość stokrotki mnie zirytowała. „Stokrotki łatwo się obrażają i bardzo trudno im zmienić poglądy - nawet jeśli nie mają racji” - pisała jakaś nieznana mi wróżka. Najlepsza z żon przyznała się, że nie chce być orchideą.

- Niby orchidea jest pachnąca i tak dalej - tłumaczyła mi. - Ale nie znosi nieporządku. Musi mieć wszystko poukładane. Dotyczy to zarówno życia codziennego, jak i zawodowego. Orchidea przede do porządku dziennego nad stratą pracy, ale mężczyźni będzie źle posłane łóżko. Rozumiesz chyba, że taka charakterystyka słyca mnie i zupełnie nie pasuje.

- No powiedz sam, czy toja? - westchnęła najlepsza z żon. - I nie zostawiaj tutaj gazety. Wiesz, że ma leżeć w koszyku, bo robi się bałagan. - dodała.

- Nie, nie - zaprzeczyłem. - Ty i orchidea to absurdalna pomyłka.

Wieczorem przy herbacie najlepsza z żon zawahała się:

- Myślisz, że stokrotki z orchideami, no wiesz, pasują do siebie?

- No cóż, dzielą je pewne różnice, ale generalnie każdy wie, że są po prostu

nierozłączne - zawyrokowałem.

W tym momencie zadzwonił telefon.

- Słuchaj, stary - Roszko zaczął bez wstępu. - Jakbyś był kaktusem, to wolałbyś dzielić życie z tulipanem czy, powiedzmy, z różą? Rozumiesz, i to, i to ma kolce

- dodał na wszelki wypadek.

Następne kilka dni upłynęły mi na tym, żeby nie być stokrotką. Zmieniałem zdanie nawet kilkanaście razy w ciągu dnia, w sklepie nakrzyczałem na sprzedawczynię, bo powiedziała, że pączki są świeże, a były wczorajsze, i na nikogo się nie obraziłem.

- Nie jestem stokrotką - pochwaliłem się najlepszej z żon.

- A ja nie jestem orchideą - oświadczyła żona.

- Zaraz powiem o tym pani Roszko.

Kiedy spotkaliśmy się w sobotę, pani Roszko była jak nowo narodzona.

- Tulipany powinny być z makami, a kaktusy zjałowcami - obwieściła.

- Ale ty nie jesteś jałowcem - zwrócił jej uwagę Roszko.

- A orchidee? - zainteresowała się najlepsza z żon.

- Wszystko mam tu rozpisane - pani Roszko była dumna. - Ty powinnaś być z Edzikiem, bo orchidee najlepiej zgodzą się z mchami. Roszkowi będzie dobrze z Talką. Obaj lubią grzebać przy samochodach. Jajako tulipan najlepiej się zgodzę z nasturcją, a Zuzajest właśnie nasturcją - wskazała narzeczoną Kazika.

- Chyba że weźmiemy pod uwagę test kamieni - zauważyła trzeźwo najlepsza z żon. - Wtedy ty jako rubin powinnaś się związać z Kazikiem - opalem.

Chciałem coś powiedzieć, ale moja żona - aktualnie cyprys w ascendencie - ostrzegła mnie, żebym tyle nie mówił. Jako malachit mam milczeć.

Wizyta

Zasadą niniejszych opowiadań jest błyskotliwa puenta, która i mnie niekiedy zaskakuje swoją błyskotliwością. Zdarzają się jednak historie takie jak ta, w których, niestety, wszystko jest do przewidzenia. Czy gdybyś, drogi czytelniku, dostał w swe ręce rządowy raport „Jak uniknąć płacenia podatków” z adnotacją „tylko do użytku wewnętrznego”, to co, nie zajrzałybyś? No właśnie.

Na początku najlepsza z żon krzywiła się nieco na myśl, że miałyby kolację we własnym domu uhonorować nieznanego nam dotąd kuzyna Edzia Obsta. Wprawdzie argumentacja Edzia, że jego norka jest za mała na wydawanie przyjęć, a kuzyn to człowiek miły, wart, by dać mu przystawkę i coś jeszcze, wydawała się racjonalna, ale najlepsza z żon wciąż była sceptyczna, póki zmarnowany Edzio nie wymówił magicznego zdania:

- Ten kuzyn to lekarz.

Kolacja została ustalona na sobotę.

Nie bądał się wdawał w szczegółowy opis pewnych żenujących przypadków, które nastąpiły później. Pani Roszko na wieść o kuzynie lekarzu starała się przejąć imprezę, jwabiąc Edzia i wystawność i przystawek, jnatomiast narzeczona Kazika nabrała przekonania, że kuzyn to jakaś gwiazda filmowa, bowiem jej zdaniem każdy polski lekarz przynajmniej raz zagrał w jakimś serialu.

Ostatecznie jednak stawkę przeliczyła najlepsza z żon. Jak? Nie mam pojęcia.

- Zawsze marzyłam, żeby mieć znajomego lekarza - wyznała mi na kilka dni przed planowaną wizytą. - To takie nobilitujące. W PRL, w którym się przecież wychowaliśmy, znajomego lekarza to miał jedynie czterdziestolatek Karwowski, a i to dlatego, że kręcili o nim film. No i jeszcze ci z Czech, ze szpitala na peryferiach, ale oni sami byli lekarzami. Dlaczego tak dziwnie na mnie patrzysz?

Co niezwykle, zażądała, żebym przedstawił jej menu do akceptacji, i wykreśliła wszystko, co mogło mieć nawet śladowe ilości cholesterolu.

- Wiesz, bądź co bądź to lekarz - wyjaśniła enigmatycznie.

Kuzyn Edzia okazał się człowiekiem miłym, cienkim jak tani długopis.

Staraliśmy się nie pokazać po sobie zainteresowania. Po prostu Roszko zdjął mu czapkę, żeby było szybciej, najlepsza z żon zabrała szalik, a ja poprowadziłem do łazienki, żeby umył ręce (w końcu wszyscy lekarze to robią, kiedy przyjdą), a potem posadziłem na kanapie.

- Drinka? - zapytałem. - A, pewnie nie. Alkohol twój wróg.

- Herbaty - zaproponowała najlepsza z żon. - Oj, przepraszam, teina. Wiem, woda mineralna.

- W *Na dobre i na złe* to wszystko prawda? - zapytała narzeczona Kazika, która już nie mogła wytrzymać z ciekawości. - No, te wszystkie przypadki medyczne.

- Jeśli już o przypadkach mówimy - wtrącił Roszko - jestem dyrektorem i boję się chorób serca. Jak mam im zapobiegać? Dyrektorzy często zapadają na ten mięsień.

- Kochanie - przedarła się pani Roszko. - Powiedz może o tym, że boli cię w boku. Ja, panie doktorze, uważam, że to wątroba. Tak to czuję. Intuicyjnie. To wątroba?

- Może ciasteczko - wtrąciłem, aby kuzyn nie pomyślał, że rozmawiamy tylko o jednym. - A skoro jesteśmy przy ciasteczkach. Jak to jest z poziomem tłuszczu?

- Dyrektor - powiedział doktor. - A co to za firma?

- Duża - wyczerpał temat Roszko. - No to co z sercem?

- Daj spokój - zaznaczył swą obecność Kazik. - Ostatnio byłem u lekarza, bo gniotło mnie w żołądku. A on się nie przejął. To same konowały. Znapantego konowała?

Doktor pokręcił głową.

- No właśnie - ciągnął Kazik. - Siedzę w tym gabinecie, a facet, ten doktor, niby młody, taki z długim nosem, nawet nie zapytał, jaki tryb życia prowadzę, a włosy miał okropnie zapuszczone. Dał mi tani lek, że to przejedzenie, przeszło mi, ale mam poczucie, że sprawa jest poważna. A jaka byłaby pańska diagnoza?

- Może mówmy sobie na ty? - zaproponował doktor. - Jestem..

- Fajnie - przerwał Kazik, podciągając sweter, żeby obnażyć brzuch. - Jak jest twoja diagnoza? Wrzody, co?

Kuzyn doktor złapał za szklankę i długo pił wodę mineralną. Zapadła martwa cisza, którą wykorzystał Roszko.

- W mojej rodzinie jest dużo przypadków nadciśnienia, rozumie się, tętniczego. Tak się to mówi. Stryj na przykład to umarł. Siedział, stryjenka przyszła, a onbach - umarł. Ja mam tu wszystko zapisane, o proszę, może zerkniesz, jak już jesteśmy po imieniu..

- Tak - powiedział doktor i rzucił się do drugiej szklanki, w której było coś mocniejszego. Najlepszaz żon, siedząca do tej pory w niemym zachwycie, wdarła się z uwagą, że czas pomówić o czymś przyjemniejszym. Na przykład o tym, jak cudownie mieć zaprzyjaźnionego lekarza, do którego można dzwonić nawet nad ranem albo, dajmy na to, w sylwestra.

- Na szczęście nie do mnie - odezwał się doktor. - Jestem okulistą.

- O - zdetonował się Kazik, który dotąd cały czas siedział z podciągniętym swetrem. - Byłem, słuchajcie, u okulisty. Fatalnie miał zapuszczone włosy, żadnych odżywek, nic. Stwierdził, że mój wzrok jest idealny. A ja mam wrażenie, że mi się rozmazuje. Obraz. Jak myślisz, czy muszę już nosić soczewki pół dioptrii?

- Trzeba zrobić badania - wtrącił się Roszko. - A tak *a propos* badań, to chyba uczyli cię i o sercu? W końcu jak wysiądzie serce, to na co oczy, rozumiemy się?

- Zresztą wy na pewno się wszyscy znacie - wysunęła przypuszczenie najlepszaz żon. - Powiedzmy, dzwoni do ciebie jakiś znajomy i pyta o bolące kolano, a ty bach, łapiesz kolegę, tego, no, od kolan, i pytasz, co i jak. Bo na przykład jak my potrzebujemy czegoś od naszego kochanego Roszka, to możemy wpaść w połowie nocy, prawda?

- Fakt - przyznał Roszko i nawet mu powieka nie drgnęła na tak oczywiste kłamstwo. - Najważniejsze to trzymać się razem. Pamiętam, jak kiedyś potrzebowałem czegoś pilnie od Kazika w Boże Narodzenie. Ico? Natychmiast przyjechał i przywiózł. Zdaje się, że jakieś proszki. A nawet nie jest chłopem lekarzem, ha ha. Jakby był, dajmy na to, okulistą, ha, ha, to pewnie by mnie jeszcze zbadał.

To ja byłem tym, który odprowadził doktora do windy. Sprawiał wrażenie wyczerpanego. Odsunąłem Roszka, który pokazywał, jak szybko bije mu serce, gdy trochę podbiegnie, i najlepszą z żon, która chciała numer telefonu. Doktor z ulgą wsiadł do windy i nieprzymtomnie dziękował mi za pomoc. Przytrzymałem windę nogą.

- A tak przy okazji. Od jakiegoś czasu bolą mnie uszy. Zwłaszcza zimą. To taki kłujący

ból. Zastanawiam się, co na to brać.

- Czapkę - odpowiedział doktor.

W salonie Kazik perorował:

- Taki sam jak wszyscy lekarze. Włosy okropnie zapuszczone. Widzieliście, mówię mu, że wrzody, a on nie zapytał nawet, jaki tryb życia prowadzę. Przyszedł z wizytą, nawet torby lekarskiej nie miał ze sobą.

- Właśnie - powiedziała pani Roszko. - Też to zauważyłam.

Miałem kiedyś sen

Niniejszym ogłaszam, że za sny ze swoim udziałem nie biorę odpowiedzialności. Drogi czytelniku, jeśli przyśniłem ci się, jak gonię żyrafę, a sennik albo twój psychoanalityk podpowiedzieli ci, że to znaczy, że ucieknę z twoją żoną, zostawiając ci na stanie jedynie teściową, nie szukaj mnie. Wyjechałem bez adresu.

Poniedziałek

Najlepszej z żon przyśniło się, że jazdradzam. Zamiast wszystkie swoje siły inwestować w nią - strażniczkę mojego ogniska - ja wyskoczyłem z jakąś *blondi revolution* do Paryża i tam sprawiałem jej szalone kreacje. Najlepsza z żon śledziła mnie we flanelowej koszulinie i boso. Ubawiłem się setnie tą opowieścią. Moja małżonka również:

- Talko - powiedziała - ale ja mam fantazję. Te *blondi revolution*, no no.

Też pokiwałem głową. No, no. Tydzień temu byliśmy na niezwykłym przyjęciu, na którym było trzech znajomych Roszka - dyrektorów. Wszyscy byli łysi, pierwszą i drugą młodość mieli za sobą, a ze sobą każdy miał *blondi revolution*, o czym jako człowiek nieobyty w świecie nie miałem pojęcia, i pogratulowałem każdemu ślicznej córki.

- Talko, ty kretynie - wysyczał Roszko. - W pewnych kręgach jest przyjęte, że kiedy dochodzisz do pięćdziesiątki, to zmieniasz dom, samochód i żonę. Dwuosobowy kabriolet, apartament w stylu minimalistycznym i *blondi revolution* w stylu maksymalistycznym.

Przyjrzałem się jeszcze raz trzem dyrektorowym i pokiwałem głową. Wszystkie miały nieziemskie ciuchy i były w ciąży.

- Standard - machnął ręką Roszko. - Ubezpieczenie na wypadek, gdyby wyrugowała je inna *blondi revolution*.

Powiedziałem najlepszej z żon o tej modzie na nowe żony i samochody i chyba stąd się jej wziął ten sen. Choć zapewniałem, że duże, uszminekowane silikonowe usta, obfity, sprężysty silikonowy biust i szczupłutkie nogi kończące się tam, gdzie normalny człowiek ma szyję, w ogóle mnie nie biorą.

Najlepsza z żon stwierdziła, że to ostatnie zdanie powiedziałem bez przekonania.

Wtorek

Znów śniłem się najlepszej z żon. Tym razem w otoczeniu afrykańskich piękności przechadzałem się po sawannie, a ona w jakiejś przedpotopowej halce, ukryta w krzakach, patrzyła na to ze smutkiem i gniewem.

Opowiedziała mi ów sen przy śniadaniu, trochę jednak jakby chłodna.

- Mówią - powiedziała wolno przy grzance - że sen to nieocenzurowany głos podświadomości.

Po południu wyrwałem się z domu i kupiłem jej szalony kostium kąpielowy w afrykańskie wzory. Przyjęła go uprzejmie, ale bez należytego entuzjazmu.

- Kiedy mówiłam o głosie podświadomości, nie miałam na myśli kostiumu, tylko stan naszego małżeństwa - powiedziała.

Odparłem, że nasze małżeństwo ma się świetnie, niemniej wieczorem profilaktycznie zanudziłem ją streszczeniem dziejów Greków i Rzymian w nadziei, że przyśni się jej po prostu Platon. Kiedy już zasnęła, zrobiłem sobie kawę i zadzwoniłem do Roszka. I on

ubawił się do łez:

- Pani Roszko nie wierzy w sny. Wierzy w znaki zodiaku.

Potem porozmawialiśmy trochę o finansach, że kiepsko stoją.

Środa

Najlepsza z żon nie pamięta, co jej się śniło, a ja poszedłem do Kazika po wiertarkę. Wpadł Roszko. Przywitał mniejakby chłodno i przez cały czas nie spuszczał ze mnie oczu.

- Nic, nic - powiedział, gdy wreszcie zapytałem, o co chodzi. - Po prostu śniło mi się, że zostałem prezesem naszej firmy i robiłeś mi publicznie uwagi.

Bardzo byłem ciekaw jakie, Roszko jednak nie chciał mi powiedzieć.

- Roszko, stary durniu - zachęciłem go.

Skamieniał.

- Właśnie takie uwagi mi robiłeś. Akcjonariusze byli wstrząśnięci - powiedział, pożegnał się chłodno i wyszedł. Zadzwoiłem do niego wieczorem do domu, ale odebrała pani Roszko.

- Już śpi - powiedziała.

Nieco się przestraszyłem.

Czwartek

Istnieje taka teoria, że dawno temu ludzkość miała do wyboru dwie drogi - albo postęp technologiczny, albo rozwój duchowy i parapsychologiczny - i wybrała technikę.

Niestety, najlepsza z żon nie utożsamia się z tym wyborem. Rano pobiegłem do sklepu po ciepłe bułeczki i kiedy wstała, stół byłjuż zastawiony.

- Śniło mi się, że mnie zostawiłeś - powiedziała z wyrzutem. - Kiedy cię odnalazłam, pudrowałeś się. Sprawdziłam w senniku: pudrować twarz - chęć ukrycia niegodziwego postępu.

Po południu zadzwonił Kazik:

- Śnił mi się Roszko.

Odetchnąłem.

- Poszliśmy z Roszkiem na ryby i było fantastycznie, a potem przyszedłeś ty i powiedziałaś, że jesteśmy nudziarzami. Nie żebym w to wierzył, ale Talko, ty naprawdę myślisz, że jestem nudziarzem?

Piątek

Wizyta u psychoterapeuty. Wysłuchał mnie i zalecił relaks. Powiedziałem, że pędzjesz do sklepu kupić bób. Następna wizyta w poniedziałek.

Poniedziałek

Psychoterapeuta potraktował mnie nieżyczliwie:

- Śniło mi się, że tracę klientów, bo rozpowiada pan o mnie nieładne historie, cały czasjedząc bób. Bóbjeść: pogorszenie warunków materialnych - tak podaje sennik - powiedział. - Żegnam.

Najgorsze, że podał też cennik. Godzina u niego kosztuje stówą.

Środa

Spotkałem narzeczoną Kazika.

- Śniłeś mi się - zawołała wesoło. - Och, Talko, nie powiem, co robiłeś, ale może wyskoczmy gdzieś wieczorem. Kazik rozpowiada o tobie, że jesteś idiotą. Podobno nazwał cię nudziarzem.

Piątek

Najlepsza z żon wynajęła detektywa - śledzi mnie i szuka afrykańskich piękności, ewentualnie *blondi revolution*, które, jak przypuszcza, są hodowane na jakiejś zakonspirowanej farmie i stamtąd dowożone naprzyjacia, gdzie natychmiast łapią męża chwytającego drugą młodość. Roszko mówi wszystkim, że odwiedzam go w pracy, udają szefa, a jego poniżam. Matti twierdzi, że w to wszystko nie wierzy.

Niedziela

Śniłem się Mattiemu, jak wołałem na niego „laluś”. Spotkał mnie na ulicy i splunął mi pod nogi.

- To za lalusia - powiedział.

Psychoterapeuta nie odpowiada, a właśnie przyszedł e-mail od czytelniczki: „Śnił mi się pan”. Nie mam siły go czytać, mroczki przed oczami... (tu dziennik się urywa)

Parabola

To najlepsza z żon wpadła na ten idiotyczny pomysł, a pani Roszkoeszcze przyklasnęła.

- Cudownie, wieczór kulturalny! - piała w słuchawce pani Roszko. - Ściągnijcie wszystkich. My będziemy na pewno.

Pomysł najlepszej z żon, dławionej niedostatkiem przeżyć duchowych, zasadzał się na prostym przekonaniu, że świat udręczony jest papką dla mas.

- Tokszoły w telewizji i, chała w księgarniach, czy ty rozumiesz, Talko, jakie ożywcze dla nas wszystkich będzie reaktywowanie wieczorów kulturalnych? To nawiązanie do dobrej tradycji salonów artystycznych!

- Może jestem organizmem prostym i salon kojarzy mi się jedynie z wygodną kanapą, ale też znam takiego Roszka i...

- A właśnie że on jest zachwycony. Rozmawialiśmy już o tym i bardzo się ucieszył. On też, nawet jeśli w to nie wierzysz, cierpi na brak duchowej stawy. Obiecał, że wygłosi krótki odczyt o fantastyce.

Po rozmowie, którą tu zrelacjonowałem, minęło kilka dni, aż wreszcie, w piątek, nadszli goście. Najlepsza żon zaordynowała na ten dzień proste przekąski - ot, sterta warzyw i dipy, w których można je wymaczać - wszystko po to, by obżarty brzuch nie obniżył lotów dyskusji. Około dziewiętnastej wszyscy siedzieli już w naszym salonie. Pierwszym punktem spotkania była lampka wina i wypożyczony przez najlepszą z żon artystyczny film drogi. Zapytałem Roszka, czy przygotował odczyt.

- Będę mówił z głowy - odpowiedział.

Zaczął się film. Droga, którą jechał bohater, sama w sobie była nieco nudna i rzeczywiście reżyserowi udało się tę nudę dokładnie pokazać przez bite dwie godziny. Najlepsza żon, korzystając ze skromnej akcji, rozpoczęła więc dyskusję.

- Nic się nie dzieje - rzuciła z offu. - Prostota życia.

- Prostota - powiedział Kazik.

- Cudownie - powiedziała pani Roszko.

Matti, cały umazany dipem, rzucił przed siebie:

- To parabola.

- Cudownie - powiedziała pani Roszko.

-Niby nic, ale jednak coś - powiedział Roszko.

Tymczasem film trwał, a bohater nigdzie jeszcze nie dojechał. Zauważyłem, że Roszko nieco sflaczał na kanapie.

- Takie jest właśnie życie - ziewnęła narzeczona Kazika, patrząc na film. - Jedzie się jedzie, ale jakże często nigdzie się nie dojeżdża.

- Oj, tak - powiedziała pani Roszko.

- To parabola - dołożył Matti.

- Oj, tak - powiedział pan Roszko.

Zrobiło się nieco sennie. Moim zdaniem nawet najlepsza z żon, zagłębiona w swoim fotelu, opadła z sił.

- Czy wiecie, że ten film szybko zszedł z ekranów kin? - usłyszałem głos narzeczonej

Kazika. - Ludzie nie chcą teraz oglądać niczego, co niejest czystą rozrywką.

- No - powiedział Edzio.

- A warto -powiedział zamierającym głosem Matti.

- Oj warto - podtrzymała rozmowę pani Roszko.

- Dokładnie tak - powiedział Roszko.

Najlepsza z żon zwiśla na fotelu. Bohater jechał, a w jego duszy rozgrywało się wiele, oj wiele. Wiem, bo w recenzji przeczytałem, że robił rozrachunek z życiem.

- Filmy drogi mają długą tradycję. Niegdyś oglądałam ich sporo. Teraz już nie pamiętam tytułów, ale jestem przekonana, że zapadły mi głęboko w duszę - powiedziała.

- Oj tak - ziewnął Roszko.

Tymczasem bohater się zatrzymał. Patrzył. Widział dziecko, kamera złapała w kadr orła. Orzeł przekrzywił głowę, zamachał skrzydłami.

- O, widzicie, tu reżyser chciał powiedzieć... -zaczęła pani Roszko.

Orzeł zaskrzeczał.

- No coś nam chciał powiedzieć, zasugerować -dokończyła.

- Oj tak - pokiwałem głową.

Po dwóch godzinach bohater dojechał, a film dobiegł końca. Skończyły się również dipy. Następnym punktem programu miała być dyskusja nad filmem i odczyt Roszka. Zaproponowałem, żeby dyskusję odfajkować, w końcu coś tam gadaliśmy w czasie filmu, a zanim Roszko rozpocznie - zamówić pizzę. Wszyscy zgodzili się zachwyceni.

Nim przyjechała pizza, ktoś włączył telewizor. Leciał tamjeden z tych seriali, których nikt nigdy nie ogląda.

- Ona chyba była wcześniej z tym brunetem - zdziwiła się pani Roszko.

- Bo on jest jej szefem - wyjaśniła narzeczona Kazika.

- Wiecie, że onajest już po czterdziestce? - rzucił

Matti.

- Poważnie? - ożywiła się najlepsza z żon. - Ciekawe,jak ona to robi, że tak wygląda.

- Botoks pewnie - podsunęła narzeczona Kazika.

Tymczasem poszliśmy z Roszkiem pooglądać nowości na aukcjach internetowych. Potem przyjechała pizza, a później trzeba było się żegnać. Już przy drzwiach najlepsza z żon przypomniała sobie o odczycie Roszka.

- Chciałem powiedzieć, że lubię fantastykę, zwłaszcza tę aranżację, wiecie, statki, kosmiczne stwory, tojest takie ożywcze.

- A ja nie lubię fantastyki - skończyła dyskusję najlepsza z żon.

- To na pewnojest botoks - stwierdziła narzeczona Kazika, ściskając moją małżonkę. - Pa, kochana.

Popatrz na jego

Szklanka jest do połowy pełna albo do połowy pusta. To proste spostrzeżenie pozwalało dotąd ustalić, z kim człowiek swojego mamuta: z pesymistą czy może z optymistą. Sądzę jednak, że to ogromne uproszczenie. Nigdzie bowiem nikt nie mówi, czyja to szklanka, a ta informacja ma znaczenie podstawowe.

Matti zajechał pod restaurację swoim rączym dwuosobowym sportowym rumakiem akurat w chwili, gdy i my do toczyliśmy się naszą kobyłką.

- Kobyłka nie jest może zbyt zrywna, ale bagażnik ma, że ho, ho, i łóżko Juniora tam wsadzimy, i wózek, i nawet okazji kupiony fotel wejdzie - przekonywałem najlepszą z żon w salonie samochodowym. - Sportowe wózki *sapasse*.

Teraz jednak, gdy Matti osadził to swoje sportowe cacko, coś mnie strzeliło w sercu. To przyspieszenie, ten pęd na prostej zabudowanej, gdzie dozwolona jest pięćdziesiątka, a rumak wali setką może jeszcze drugą. Zdaje się, że gdzieś w okolicach szatniarza coś mi się na ten temat wyrwało.

- Och, już przestań - zgasiła mnie najlepsza z żon. - Tobie się zawsze wydaje, że inni mają lepiej. Nasz samochód jest dobry dla nas.

Okazało się, że przyszedliśmy ostatni. Przy stole siedzieli już i Roszkowie, i Kazik ze swoją starą narzeczoną, i wreszcie Edzio, który nas tu ściągnął, by uczcić sukces

- właśnie znalazł wydawnictwo, które zgodziło się wydać jego powieść. Wprawdzie nic prawie nie zapłacili, ale nie kazali też dopłacać.

Wznieśliśmy toast, podczas gdy kelner przyjmował zamówienia. Najlepsza z żon znów ma potrzebę udawać, że jest na diecie, długo więc wybierała dania, by wreszcie odrzucić różne mięsne smakołyki i wzięć jakieś obrzydliwe skrzyżowanie dietetycznego sera z czymś innym, czego, zdaje się, wielką zaletą było to, że jest dietetyczne.

- Latem nie jadam mięsa - powiedziała najlepsza z żon, ale nikt jej nie słuchał, bo narzeczone Kazika pokazała komórkę. Była to komórka ze wszystkimi możliwymi dodatkami, zamiast dzwonka ludzki głos, ekran jak w komputerze, kolory meksykańskie, słowem...

- Masz śliczną komórkę - powiedziała pani Roszko grobowo, podczas gdy pan Roszko, sponsor pani Roszkowej komórki, donosił pospiesznie, że małżonka jego ma śliczny aparat z klapką, najpiękniejszą klapką, o której zawsze marzyła.

- Ale teraz, gdy patrzę na ten cudowny ekranik...

- zaczęła pani Roszko. Widziałem, jak najlepsza z żon zerka ukradkiem, ale patrzyłem bez strachu. Ona na szczęście w ogóle nie lubi komórek, a tego rzęcha, którego jej kiedyś oddałem, i tak zostawia w domu.

Atmosfera nieco się oziębiła - pani Roszko siedziała zgaszona. Ja też nie miałem dobrego nastroju po samochodzie Mattiego. Wprawdzie nie chciałem sportowych cacek, ale teraz, gdy widziałem, jak Matti wysiada z czegoś takiego... Tymczasem po lewej najlepsza z żon opowiadała Roszkowi o istocie zawodu dziennikarza - wolności. Piszesz, panie, kiedy chcesz, wstajesz, kiedy chcesz. Roszko, który wysiaduje swój fotel do osiemnastej, zmarkotniał. Spojrzył na mnie wilkiem. Dobrze pamiętam czasy, gdy

wybieraliśmy kariery zawodowe - on zawsze chciał mieć poukładany czas, ale teraz...

Roszko coś rzucił pod nosem i nagle zmarnotniała najlepsza z żon.

- Naprawdę masz taką pensję? - usłyszałem. - My jesteśmy na wierszówce. Jak mnie głowa boli i nic nie piszą, to nie zarabiam, a ty...

Zobaczyłem w jej oczach zazdrość. Sam natomiast zadzwoniłem do niani, czy z Młodszy wszystko w porządku. Ledwie odłożyłem telefon, napotkałem wzrok Mattiego. Patrzył na mnie dziwnie. O ile wiem, Matti to zdeklarowany singiel, szczupak polujący na rozkoszne płotki, ale bez planów zostania z którąś dłużej. A teraz patrzył na mnie pożądliwie.

- Rodzina - powiedział. - A jednak dobrze jest siedzieć w restauracji i dzwonić, czy z synkiem w porządku. Ja wciąż mam nowe dziewczyny i...

Złowiłem spojrzenie Kazika rzucone znad starej narzeczonej. Kazik, jak jeszcze niedawno mi wykładał, ceni sobie stabilizację z narzeczoną. Teraz jednak, gdy patrzył na Mattiego, wyobrażając sobie tożego akwarium z płotkami, miał w oczach jakąś... zazdrość?

Jedynym, który wciąż był zadowolony z tego, z czym przyszedł, był Edzio. Nie na długo. Kelner, którego Edzio postanowił oszołomić swymi przyszłymi literackimi sukcesami, wyznał, że sam jest już autorem, ale postanowił wydać rzecz własnym sumptem, bo to jest wolność i może większe pieniądze.

- Ach tak! - powiedział Edzio z zazdrością. Ten Edzio, który po nocach mi tłumaczył, że wydanie czegoś własnym sumptem to straszna porażka. - Wydać samemu, bez chodzenia na kompromisy z redaktorami, no tak.

Tymczasem kelner rozłożył na stole nasze półmiski. Wszyscy dostali pod nóż to, co zamówili. Zajrzeliśmy każde z osobna w cudze talerze. Najlepszej z żon poszła ślinka na szaszłyki pani Roszko, Edzio - widziałem - miał ochotę na sałatki narzeczonej Kazika. Wreszcie moja małżonka powiedziała na głos:

- Jakoś tak jest, że cokolwiek zamówię, zawsze mi się wydaje, że inni mają smaczniejsze.

Nie przytaknąłem. Myślałem o tym samochodzie Mattiego.

Królik

Od kiedy w czekoladowym wielkanocnym króliczku znalazłem Mikołaja dla niepoznaki zawiniętego w papierek z uszami, straciłem wiarę w tradycję.

Wszystko zaczęło się od tego, że Roszkowie zapalili się do urządzania Świąt Wielkanocnych.

- Tradycjato rzecz najważniejsza w świeciezako-munikowałapani Roszko z ważną miną, wyciągając się na naszej kanapie.

- Racja - potwierdziłem, usiłując nie spalić tradycyjnych płonących naleśników z nalewkąprowansalską.

- Chcemy, żeby nasz Robcio poznał, co to są zwyczaje, no i w ogóle - ciągnęła pani Roszko. - A wy? Wy też staracie się w dzieciach rozbudzić poczucie tradycji.

- Pewnie - rzuciłem raźnie. - Jajka i... no, jajka. Tak, zdecydowaniejajka.

- Co z tymjajkami? - zainteresowała się najlepsza z żon.

- Będziemy malować. Tradycja - zawiadomiłem zwięźle.

- O,ja protestuję - zirytowała się najlepsza z żon. - Żadnego malowania. Tego brakuje, żeby podłoga się zaplamiła albo stół.

- Rzeczywiście, malowanie jajek to nie jest najszcześniejszy pomysł - skrzywiła się pani Roszko. - Za to możemy pójść z koszyczkiem i święconką. W ten sposób Robcio pozna tradycję.

- Ale co włożymy do środka? - zastanowił się Roszko.

- Jak to co? - zirytowała się pani Roszko. - To co wszyscy. Tradycyjne świąteczne wiktuwały.

- Chleb, kiełbasę, sól - zaproponował Roszko.

- Mając na myśli tradycyjne, nie mówiłam o tuczających - podkreśliła pani Roszko. - Dobrze wiesz, że nie mogę jeść chleba i kiełbasy, o soli nie wspominając. W diecie, mój drogi, najważniejsza jest konsekwencja. Tylko tego by nam brakowało, żebyśmy jednego dnia zajadali wędzonkę, wymawiając się, że to tylko służbowy lunch, a innego kiełbasępod pozorem świąt. Nie chciałbyś chyba, żebym wyglądałajak beczka.

- No to co ma być w koszyczku? - najlepsza z żon jak zwykle racjonalnie przywróciła dyskusję do meritum.

- Sądzę, że marchewki, ewentualnie sok marchewkowy - zastanowiła się pani Roszko. - Naprawdę bardzo zdrowy.

- W ogóle warzywa - zgodziła się naj lepsza z żon. - Seler, por, możejeszcze półjabłka.

- Dieta South Beach zaleca łączenie warzyw z serem-przypomniała sobie pani Roszko.

- Zdecydowanie tak - ucieszyła się naj lepsza z żon. - A więc kawałek sera i może ryby.

- Tylko nietłustej - podkreśliła pani Roszko. - Łosoś nie wchodzi w grę. Może filet z soli?

- Mówiłem o soli - zdziwił się Roszko.

- Ty się nie znasz - zgasiła go pani Roszko. - Sól to biała śmierć. Zamierzam wychowywać dziecko w duchu zdrowej tradycji, a nie niezdrowych nawyków żywieniowych.

- Jeszcze jajka i baba drożdżowa - przypomniałem sobie.

- Doskonale sobie poradzimy bez baby i jajek - stwierdziła najlepsza z żon. - Jajka to czysty cholesterol, a o babie nawet nie będę mówić.

- No to wszystko ustalone - odetchnęła pani Roszko. - Cojeszcze można by pokazać tradycyjnego?

- Lany poniedziałek - zaproponowałem.

- Wykluczone - oburzyła się pani Roszko. - Przecież to święta. Pomyśl tylko, ubiorę się, ułożę włosy, a Robcio ma mnie oblać wodą? Chyba zwariowałeś. Czy ty wiesz, ile czasu muszę poświęcić na zrobienie sobie fryzury i makijażu? Lanie wody to żadna tradycja, tylko chuligańskie wygłupy.

- Dobrze, kochanie, zrobimy to bez lania wody - zgodził się Roszko.

- I bez jajek - zażądała pani Roszko. - Nie wiem, kto wymyślił dzielenie się jajkami. - To strasznie niezdrowe. Zresztą może kiedyś akurat nic innego nie było pod ręką, ale dziś na pewno można znaleźć coś tradycyjnego i zdrowego, czym się można podzielić.

- Marchewką? - zaproponowałem z lekka zdesperowany.

- A wiesz, to świetny pomysł - uśmiechnęła się pani Roszko. - Naprawdę, jak chcesz, to wymyślisz coś fajnego. Poza tym marchewka o wiele lepiej pasuje do tych królików, czyż nie?

- No tak - przyznałem.

- No to mamy wszystko ustalone - podsumowała najlepsza z żon.

- I prezenty - przypomniała sobie pani Roszko.

- Prezenty? - zdziwił się Roszko. - Niech się Robciowi święta dobrze kojarzą - zdecydowała pani Roszko. - Prezenty będą, będą, już wiem. W koszyczku. To taka miła tradycja.

To mogły być niezapomniane, tradycyjne święta. Niestety w ostatniej chwili Roszkowie się rozmyślili. Właśnie dostaliśmy od nich kartkę.

„Moc życzeń świątecznych, wesołego dyngusa, kolorowych jajek, przesyłają Roszkowie ze słonecznego Egiptu. PS Będziemy tu mieli tradycyjne, świąteczne śniadanie wielkanocne”.

Sąsiadka

Nie uwierzyłbym, gdybym na własne uszy nie usłyszał, jak Edzio Obst mówi:

- Stary, nie mogę wpaść, obiecałem sąsiadce, że wyprowadzę psa, więc rozumiesz, jestem zajęty.

Drogi czytelniku, czy zdarzyło ci się kiedyś oglądać kryminał z zachwycającym porucznikiem policji w roli głównej, powiedzmy, grany przez Brada Pitta, którego w połowie filmu pozbawia życia jakiś marny rzezimieszek o nieznanym nazwisku, a na miejsce porucznika wskakuje trzeciorzędny asystent z czkawką? Czekasz, sądząc, że może Pitt jednak zmartwychwstanie albo wszystko okaże się po prostu kamuflażem, ale nie. Trzeciorzędny rzezimieszek gra do końca, Brada Pitta ani widu, ani słychu, a zagadki z braku porucznika nikt nie rozwiązuje. Jeśli nie, pomyśl, jak bardzo byś się zdumiał, widząc coś takiego. Tak jak ja, gdy usłyszałem Edzia. Ten stary mizantrop, wiecznie utyskujący na sąsiadów, zbyt głośnych, zbyt dzieciatych, zbyt chętnych psom, kotom, przyjęciom, ten stary świrus... Zobaczyłem go na własne oczy, jak prowadzi po trawniczku cudzego jamniczka.

- To piesek sąsiadki - powiedział.

Przybiegłem go odwiedzić w przekonaniu, że się przesłyszałem, ajednak...

Piesek, wyjaśnił mi Edzio zaraz po tym, jak jamnik skonsumował mi nogawkę, jest uroczą psiną pewnej biednej dziewczyny, która dopiero co wprowadziła się na piętro Edzia.

- Ten pies to jej jedyna bratnia dusza - powiedział.

- Ona ciężko pracuje, wiesz, w jakiejś firmie, która ją okropnie wykorzystuje, a nie ma w Warszawie żadnego oparcia. Dzielna, wspaniała kobieta.

Rzeczywiście była wspaniała - zobaczyłem ją chwilę potem, jak wysiadała z samochodu, cała w złotych włosach i ekscytującym, nieukrywającym zbyt wiele odzieniu na swych posagowych kształtach. Od razu poczułem podziw dla jej dzielności. I, jak mówił Edzio, tylko jamniczek jest jej bratnią duszą?

- Talko - powiedziałem, gdy do nas podeszła. Podała mi szczupłą dłoń. - Edzio - dorzuciłem czym prędzej

- to mój stary przyjaciel. Dziwne, że się jeszcze nie spotkaliśmy. Bywam u niego codziennie. Czy już mówiłem, że kocham j amniki?

- Cudownie - powiedziała sąsiadka.

Przyznaję, że nie opowiedziałem najlepszej z żon o tym spotkaniu. Ona jakoś słabo toleruje te dzielne, samotne dziewczyny. Powiedziałem natomiast, że razem z Edziem piszemy scenariusz, więc, kochanie, musimy już lecieć.

Ta dzielna dziewczyna miała naprawdę ciężkie życie. Rankiem jej psa wyprowadzał Edzio, po południu zajmowałem się nim ja. Czasem biedaczka zapomniała zrobić sprawunki i wtedy pomagał jej pan Czesio, spod siedemnastego.

Jakaż życzliwość drzemie w obcych ludziach - nawet strażnik miejski patrolujący osiedle nie wszczął awantury, gdy jamnik załatwił się na chodniku. Podczas gdy inni właściciele byli surowo upominani, a kilku trafiło nawet do grodzkiego sądu, sąsiadka dostała jedynie ustną obietnicę, że strażnik zadzwoni jeszcze dziś wieczorem, to może

skoczą gdzieś na kawę.

Wieczorami sąsiadka słuchała muzyki. Ściany aż wibrowały od decybeli, lubiła bowiem ciężkiego rocka.

- Czy aby nie przeszkadzam? - sumitowała się na widok Edzia. - Ta muzyka to moją jedyną odskocznia od smutnej codzienności.

W imieniu Edzia zaprzeczyłem:

- Nic a nic nie przeszkadza.

Edzio też był wzruszony jej troskliwością.

- Sąsiadka pomoc i wzajemna życzliwość podstawą stosunków międzyludzkich - powiedział. Dodał też, że dotąd wolał raczej subtelne kwartety smyczkowe, ale dzięki niej odkrywa radość, jaką niesie jejka zarzynanej gitary.

Od czasu do czasu pukaliśmy, pytając, czy akurat nie trzeba niczego tej wspaniałej kobiecie, bo akurat idziemy na zakupy. Średnio co godzinę.

- To takie miłe - uśmiechała się. - Właśnie zabrakło mi wina, czy...

- Znam świetny sklep - mówiłem promiennie. - Akurat będę tam przechodził.

Po czym pędziłem na drugi koniec miasta i wracałem z butelką, której cena w normalnych warunkach wprowadziłaby mnie w zawrót głowy.

- Ile jestem winna?

- Och, dziesięć złotych, to promocja - mówiłem na miękkich nogach.

Muszę stwierdzić, że i ja coś odkryłem. Mianowicie, że przepadam za Edziem. Przez te wszystkie lata naszej znajomości nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo lubiącego towarzystwo, jak przyjemnie jest siedzieć w jego zabałaganionym mieszkaniu, pić jego cienką herbatą, udawać, że się nie rozumie jego wymownych spojrzeń, że bym już sobie poszedł, gdy sąsiadka wpadała, by zapytać, czy nie zobaczyłby, dlaczego nie działa jej pilot do telewizora.

Tak, tego wszystkiego o sobie nie wiedziałem.

Drogi czytelniku, jeśli już od jakiegoś czasu chodzi ci po głowie myśl, że cała ta historia i moja opowieść skończy się jakimś gburowatym narzeczonym, który wróci z wielomiesięcznej zagranicznej delegacji i zajmie miejsce u boku sąsiadki, grając nam wszystkim na nosie, to się nie mylisz.

W istocie, pewnego dnia pojawił się gburowaty narzeczony, który wrócił z wielomiesięcznej zagranicznej delegacji i zajął miejsce u boku tej dzielnej dziewczyny, grając nam wszystkim na nosie.

Edzio przestał wyprowadzać jamniczkę, pan Czesio zajął się uprawą swojej działki, a ja przestałem odwiedzać Edzia. Najlepsza z żon się zaniepokoiła.

- I co z tym waszym scenariuszem - spytała - już nie piszecie?

Potwierdziłem:

- Wiesz, jakoś mało oryginalna fabuła nam wyszła.

Na pozycjach

Od kilku tygodni pracuję nad poradnikiem. W projekcie stanowiąc on będzie zapis moich życiowych doświadczeń i wróżę mu przyszłość bestsellera. Będzie to opowieść o tym, jak z najlepszą z żon opracowaliśmy grę strategiczną, podobną nieco do futbolu, którą można by nazwać: „Jak pójść na dowolne spotkanie i wyjść z niego szczęśliwym”. Gra warta jest jednak każdych pieniędzy - piszę to na wypadek, gdyby ktoś od razu chciał ze mną podpisać umowę.

Oto na przykład garden party u Kazików. Ta szumna nazwa ukrywają prostą grillę w przydomowym ogródku. Towarzystwo poza znanymi nam postaciami nieco mieszane. Grupa bankowców rozmawia o kursach walut, panie o dzieciach. Wchodzimy. Najlepsza z żon, grająca teraz jako prawoskrzydłowy pomocnik, podprowadza mnie do zgromadzonych w kącie ogrodu matek jak napole karne. Uwielbiam po prostu matki, najlepsza z żon o tym wie, robi mi więc dobre wejście.

- Och, Talko to fantastyczny ojciec.
- To cudownie - cieszą się matki.

Najlepsza z żon zostawia mnie samego, ale czuwa nieopodal. Nie zamierzam rozmawiać o Juniorze, zamierzam opowiedzieć o moich fantastycznych przygodach archeologa. To strasznie trudne znaleźć kogoś, ktojeszcze chciałby tego słuchać. Tylko zupełnie nieznanne matki mogą wytrzymać moje westchnienia:

- Pustynie Syrii! Gdy pewnego wieczoru siedziałem na dnie wykopu i patrzyłem na naszych robotników, również syryjskich...

Tymczasem najlepsza z żon, która mnie asekuje, widzi nadciągającego Roszka. Roszko też uwielbia matki, chciałby impowiedzieć, jak wielkim jest dyrektorem. Najlepsza z żon dyskretnym szarpnięciem za koszulkę osadza Roszka na miejscu i mówi:

- Czy wiesz, że literatura jest jak muzyka?

Roszko od razu ucieka, on już po wielekroć słyszał te słowa i nie chce słuchać wykładu o literaturze iberoamerykańskiej, a ja jestem bezpieczny. Kiedy kończę i matki chciałyby wreszcie porozmawiać ze mną o dzieciach, wkracza najlepsza z żon.

- Kochanie, Kazikowie proszą cię na chwilę.

Kazikowie jedzą za domem kielbasę z rusztu i o niczym nie wiedzą, oczywiście. Nadszedł czas na najlepszą z żon. Ona, gdziekolwiek się znajdzie, chciałaby porozmawiać o śmierci i przeznaczeniu. To trudne, pani Roszko, gdy słyszy o śmierci, od razu błędnie, ale u Kazików zawsze znajdzie się ktoś nowy. Idziemy do bankowców. Teraz ja jestem pomocnikiem: puszczam prostopadłą piłkę do najlepszej z żon, w sam środek finansowego wianuszka.

- Zostań tu, zaraz przyniosę wina - mówię i uciekam.

Dalej najlepsza z żon musi radzić sobie sama, ale jest w tym niezła. Bankowcy czują się w obowiązku powiedzieć jej coś miłego, a ona, wysłuchawszy komplementów, natychmiast zaczyna o przeznaczeniu. Zdarza się, że przeszarżuje. Ludzie chcą pierzchać już w połowie jej opowieści o tym, jak umarła żona Edgara Alana Poe. Wtedy wkraczam na chwilę i dośrodkowuję na przykład tak:

- Podobno horrendalnie wysoki kurs euro zabił pewnego bankowca w Londynie.

Wszyscy są zelektryzowani i najlepsza z żon znów wraca do Poego, tyle że teraz uwzględnia jego problemy finansowe, co bankowcom jest jakby bliższe. Dalej dzieje się tak samo: ja ją wyciągam i znów gramy na środku pola, rozglądając się za ofiarą. System dwójkowy jest tu idealny. Edzio Obst, który najchętniej zanudza opowieściami o teatrze, niewspierany przez nikogo, ograny, traci słuchaczy w cztery minuty. My mamy średnio dwukrotnie dłuższy czas. Oto więc stoimy na środku pola, raczej zadowoleni, bo co chcieliśmy, to opowiedzieliśmy, i widzimy jakąś niezwykle barwną postać ułapioną przez Mattiego. Matti jest dobry w obronie, ale najlepsza z żon to doświadczony zawodnik. Wychodzi na pozycję i od razu wali w okienko z pierwszej piłki.

- Matti, przepraszam, mam do ciebie zawodową sprawę.

Matti opiera się, ale jako wolny strzelec nie może sobie pozwolić na przegapienie kontraktu. Idzie więc. Nie wiem, co mu opowiada najlepsza z żon, wiem natomiast, że ja zajmuję uwagę barwnej postaci i już zostałem poinformowany, że właśnie się rozstała z tym z telewizji. Oczywiście, że go kojarzę. Sama postać jest urocza, dowcipna, opowiadam jej wszystkie moje kawałki o Syrii, które tak zachwycają, gdy się je słyszy pierwszy raz, i kiedy wraca Matti, już jesteśmy umówieni na kolację.

Potem ja ratuję najlepszą z żon przed złym humorem narzeczonej Kazika, a ona czyści mi pole, wpadając na Roszkaprzygodkiem i wykrzykując:

- Roszko, Leszek cały czas cię szuka! Och, przyszliśmy tu właściwie dla was.

Zdarza mi się usłyszeć, że u Kazika jest nudno i nie ma z kim pogadać. Jakoś nigdy nie mogłem zgodzić się z tą oceną. Wracamy do domu odprężeni. Znów opowiedzieliśmy nasze stare kawałki. Cztery zero dla nas, i to na wyjeździe.

r

Dzień Świstaka

Niewiele mi wiadomo o życiu świstaków. Właściwie wiem tylko tyle, że mieszkają w górach i zajmują się zawijaniem w sreberka i przepowiadaniem pogody. Ponieważ nigdy nie zamierzałem konkurować z nimi w żadnej z tych dziedzin, nie sądziłem, że nasze drogi kiedykolwiek się skrzyżują. Do czasu, kiedy obejrzałem film *Dzień Świstaka*, w którym główny bohater Phil Connors przeżywa codziennie ten sam dzień - 2 lutego - spotyka tych samych ludzi, a ci ludzie codziennie powtarzają te same gesty i mówią to samo. Connors, co zrozumiałe, reaguje gwałtownie: kiedy spotyka po raz kolejny dawnego kolegę ze szkoły - który po raz kolejny rzuca się na niego i zaczyna wylewnie ścisnąć, i po raz kolejny pragnie sprzedać mu polisę ubezpieczeniową - wrzuca go do kałuży. Rzecz jasna, nie mogłem tak postąpić z najlepszą z żon.

2 lutego, wtorek

Zamierzałem właśnie pojechać na przegląd samochodu, kiedy najlepsza z żon zatrzymała mnie w drzwiach.

- Wiesz, kochanie, mam problem - rzekła pewnego

2 lutego, który przypadał akurat 3 czerwca. - Otóż pokłóciłam się z panią Roszko.

- Wciąż się kłócicie, a potem przepraszacie - machnąłem ręką. - Do jutra jej przejdzie. A co zrobimy na obiad? Trochę się spieszę na przegląd.

- No wiesz! - najlepsza z żon otworzyła szeroko błękitne oczy. - Mam problem, nie wymagam chyba za wiele, jeśli chcę, żebyś mnie wysłuchał. Pragnę tylko, żebyś postarał się mnie zrozumieć, a ty mnie ignorujesz. Czy głupi samochód jest ważniejszy ode mnie? Nie możesz poświęcić mi ani chwili?

Musiałem przyznać, że samochód nawet się nie umywa do problemów z panią Roszko.

2 lutego, środa

Zamierzałem właśnie pojechać na przegląd samochodu, kiedy najlepsza z żon zatrzymała mnie w drzwiach.

- Wiesz, kochanie, mam problem - powiedziała. - Pamiętasz, jak ci opowiadałam wczoraj o kłótni z panią Roszko?

Bohater *Dnia Świstaka* uczył się na błędach. Ja też się uczę, i to znacznie szybciej. Dlatego zdjąłem kurtkę, usiadłem przed najlepszą żon i powiedziałem:

- Opowiedz mi o tej kłótni. O co właściwie wam poszło? Mam bardzo dużo czasu.

- Opowiedz, opowiedz - fuknęła najlepsza z żon. - Tu nie ma nic do opowiadania. I tak niczego nie zrozumiesz z babskich spraw.

- Pewnie masz rację - ucieszyłem się. - No to lecę na przegląd.

- Czy naprawdę zawsze tak musi być? - jęknęła najlepsza z żon. - Chcę tylko, żebyś mnie pocieszył, powiedział, że wszystko będzie dobrze. Nie stać cię nawet na tyle?

2 lutego, czwartek

Zamierzałem właśnie pojechać na przegląd samochodu, kiedy najlepsza z żon zatrzymała mnie w drzwiach.

- Wiesz, kochanie, jeśli chodzi o tę kłótnię z panią Roszko...

Zdjąłem kurtkę, usiadłem przed najlepszą z żon i powiedziałem:

- Kochanie, nie zamartwiaj się tak. Rozumiem, że ta kłótnia bardzo cię zabolowała. Może postaraj się o tym nie myśleć przez jakiś czas. Wszystko skończy się dobrze. Zobaczysz, pani Roszko na pewno dziś zadzwoni i się pogodzicie.

- Daj spokój - machnęła ręką najlepsza z żon. - Czy nie rozumiesz, że kobieta potrzebuje w takiej sytuacji czegoś innego? Jak będę chciała, żeby ktoś mnie pocieszał, to zadzwonię do narzeczonej Kazika. Od ciebie oczekuję, żebyś zachował się jak mężczyzna, żebyś powiedział mi, co ja mam w tej sytuacji zrobić. Czy wymagam zbyt wiele?

2 lutego, piątek

Zamierzałem właśnie pojechać na przegląd samochodu, kiedy najlepsza z żon zatrzymała mnie w drzwiach.

- Wiesz, kochanie, już sama nie wiem, co mam zrobić z tą panią Roszko.

Zdjąłem kurtkę, usiadłem przed najlepszą z żon i powiedziałem:

- Według mnie sprawa jest jasna. To ona pierwsza zaczęła i ona powinna wyciągnąć rękę do zgody. Można zrobić to tak: zadzwonię do Roszka i wybadam, jak wygląda sytuacja. Albo sam do nich wpadnę i opowiem pani Roszko, tak mimochodem, że strasznie przeżyłaś tę kłótnię. Na pewno ją to ruszy i zadzwoni. Gdyby to nie poskutkowało, zadzwonię do narzeczonej Kazika. Ona może rozpuścić plotki, że ty czujesz się odepchnięta, i wtedy pani Roszko zadzwoni, żeby zaprzeczyć. Co ty na to?

- Wy, mężczyźni, wszyscy jesteście tacy sami - najlepsza z żon machnęła ręką. - Od razu chcesz rozwiązywać problem, a przecież kobiety są z Wenus. Nie słyszałeś, że kobieta, kiedy ma problem, nie chce, żeby podawać jej rozwiązanie, ale żeby jej wysłuchać? Czy proszę o zbyt wiele?

7 czerwca, sobota

Zamierzałem właśnie pojechać na przegląd samochodu, kiedy najlepsza z żon zatrzymała mnie w drzwiach.

- Masz pozdrowienia od pani Roszko. A gdzie się wybierasz? Na przegląd samochodu? Myślałam, że pójdziemy na spacer - powiedziała z wyrzutem, zakrywając słuchawkę telefonu.

Zdjąłem kurtkę i usiadłem na krześle.

- Wyobraź sobie tylko, kochana - najlepsza z żon mówiła do słuchawki - mówi, że idzie na przegląd. A obiecywał, że zrobi ten przegląd na początku tygodnia, no i znowu nie pójdziemy na spacer. Czy naprawdę wymagam zbyt wiele?

Literatura kobieca

Niniejsza opowieść, mam nadzieję, stanie się przyczynkiem do dyskusji, dlaczego w Polsce tyle kobiet nagle chwyciło za pióro. Moim zdaniem dlatego, że mężczyźni skamienieli, trzymając się za głowę. Oto dowód.

Czas: sobotnie wczesne popołudnie. Miejsce zdarzenia: łąka usiana delikatnym kwieciami. W tle złamana linia lasu. Pośrodku łąki na rozłożonych kocach trwa piknik. Wokół stoją kosze z jedzeniem, świeci czerwcowe słońce.

Osoby: pani Roszko, pan Roszko, ja i najlepsza z żon oraz chór osób nieistotnych.

Pani Roszko: To się zdarzyło, kochanie, jak jechaliśmy nad morze.

Pan Roszko: Jechaliśmy na Mazury.

Pani Roszko: To miało być nasze pierwsze plażowanie nad morzem. Pan Roszko gnał chyba z dwieście na godzinę...

Pan Roszko: Pięćdziesiątką...jechałem.

Pani Roszko: Aż tu nagle przy dwusetce złapaliśmy gumę.

Pan Roszko: Nie, nie. Po prostu zatrzymaliśmy się na poboczu, bo chciałaś za potrzebą, i wtedy zauważyłem, że mamy przebitą oponę. Jakbyśmy złapali przy dwusetce, tobyś tu nie siedziała.

Pani Roszko (*głośniej*): Zarzuciło nas na drzewa, złapałam kierownicę i cudem udało mi się wyprowadzić samochód. A nie miałam wcale prawa jazdy. Po prostu nagle wiedziałam, co robić. Więc stanęliśmy. I nagle zza drzewa wyszedł starzec. Absolutnie magiczny: w takiej szacie powiewającej jakby.

Pan Roszko: On tam stał, bo łapał stopa, był trochę stary, ale bez przesady. Głównie to był napity.

Pani Roszko: Jakiś mag. I zaraz się to okazało. Myśmy wtedy z Roszkiem nie byli jeszcze małżeństwem, a ten starzec podszedł i powiedział: „Będziecie mężem i żoną”.

Pan Roszko: Powiedział: „Ładną ma pan żonę. Zabierzcie mnie, państwo, do Olsztyna?”

Pani Roszko: Kochanie, bardzo cię proszę, nie przerywaj mi, dobrze? Co ten Olsztyn ma tu do rzeczy? Przepowiedział, że będziemy razem. Skąd on wiedział, że zostaniemy małżeństwem? No skąd?

Najlepsza z żon: No właśnie. Mów dalej.

Pani Roszko: Ja się oczywiście zdumiałam, bo wcale nie zamierzałam wychodzić za pana Roszko, a tymczasem ten starzec spojrzął i mówi: „Będziecie mieli synka”. „Będziecie mieli synka”. Niesamowite, prawda? Akurat kiedy to mówił, zaczęłam zmieniać koło.

Pan Roszko: Ja zmieniałem koło, a z tym synem to mówię, że był napity. Powiedział: „Ho, ho, ja na pana miejscu tobympani zaraz zmajstrował jakiegoś pędraka”.

Najlepsza z żon: I co z tego, że trochę inaczej to ujął. Więc co z tym starcem?

Pani Roszko: Kiedy już koło zostało zmienione, chciałam spojrzeć na niego, a on... słuchajcie, jak wróżka rozpułynał się nagle w letnim powietrzu.

Chór osób nieistotnych: Ooooo.

Pan Roszko: Jak mu powiedziałem, że niejedziemy do Olsztyna i żeby spadał, to odszedł kawałek łapać innego stopa.

Pani Roszko: Przestań już, na Boga. Odszedł... nigdzie nie odszedł, sama widziałam, jak znika, jakby w las wchodził, a tam żadnego lasu nie było, bo byliśmy już na przymorskich terenach, płaskich, równych...

Pan Roszko: Byliśmy oczywiście na Mazurach i wszędzie był las. Wpadł pewnie do rowu, bo mówię, że był napity, i zasnął.

Pani Roszko: Wszystkojedno. Przecież i tak chodzi o tego starca, który wywróżył nam nasze małżeństwo i synka. Co las ma do tego?

Najlepsza z żon: Piękna opowieść. Magiczna. Wiesz co? Ty powinnaś może jakąś książkę napisać. Bo ja chyba napiszę. Przypomniała mi się pewna historia z Włoch. Małe włoskie miasteczko na granicy, cmentarz na szczycie.

Ja: To było we Francji.

Najlepsza z żon: Talko zostawił mnie samą na cmentarzu i poszedł po coś do samochodu.

Ja: A skąd. Przecież robiłem ci zdjęcia. Poza tym tam było sporo ludzi.

Najlepsza z żon: Bądź lepiej cicho. Więc siedzę na tym cmentarzu...

Pani Roszko: Zupełnie sama?

Najlepsza z żon: Samiuteńka. I wiecie, nagle z jakiejś rozpadliny wychodzi jaszczurka. Bardzo lubię te włoskie nagrzane jaszczurki wychodzące z rozpadlin. A one lubią mnie. Chyba się mnie nie boją. Tamta podeszła do mnie i usiadła mi na dłoni.

Pan Roszko (*do mnie na stronie*): Jak to było?

Ja: Goniła tę biedną jaszczurkę po całym cmentarzu, a jaszczurka wiała, ile sił w nogach. Aż wreszcie ją ledwo żywą dopadła. I biedaczka odrzuciła ogon. Jaszczurka oczywiście, nie najlepsza z żon.

Najlepsza z żon: Ta jaszczurka patrzyła na mnie nieruchomymi oczami, jakbyśmy się znały w poprzednim życiu. I oczywiście wiedziałam, że to coś znaczy. Że coś się wydarzy. I następnego dnia na autostradzie zatrzymała nas policja.

Ja: To było w Czechach, dużo wcześniej, kochanie.

Najlepsza z żon (*ignorując mnie*): Ta jaszczurka chciała nas chyba przed tym ostrzec. Chwilę wcześniej, niż nas zatrzymali, przypomniałam sobie tę jaszczurkę. Chcieli nam skonfiskować samochód.

Ja: Nie, chcieli sprawdzić, czy wykupiliśmy winietkę na autostradę. Na szczęście mieliśmy.

Najlepsza z żon: No właśnie, mówię, że ta jaszczurka mnie ostrzegła.

Pani Roszko: Ależ ci się przydarzyło. Magia.

Najlepsza z żon: No mówię ci. Mężczyźni są zbyt materialistyczni. Nie są w stanie tego zrozumieć.

Ja i Roszko unisono: To prawda.

(Bez)względność pamięci

Świat wciąż się zmienia, ale pewne rzeczy pozostają niezmiennie. Krowa daje mleko, tak jak sto lat temu (choć jest to mleko UHT), po nocy przychodzi dzień, po zimie lato (ze względu na kryzys zrezygnowano z wiosny). Jeśli zaś chodzi o najlepszą żon, to można być pewnym, że wszystko zapomniała. Napytanie o numer PIN do jej karty nieodmiennie zaprzecza, że kiedykolwiek miała kartę, a nawet jeśli, to z pewnością nie ma żadnego pina. Zapytana, gdzie schowała bardzo ważny rachunek, który leżał na stole, kłamie w żywe oczy, że nawet nie dotknęła stołu (a przecież widać, że został świeżo wyczyszczony). Kiedy wygrałem z nią zakład o zmywanie naczyń (założyliśmy się o to, jak nazywa się aktor grający Jamesa Bonda), już nazajutrz nic nie pamiętała. Twierdziła nawet, że z zasady się nie zakłada, więc niemożliwe, żebym cokolwiek wygrał. Naczynia musiałem zmyć sam.

Nic więc dziwnego, że nagły przypływ pamięci najlepszej z żon wydał mi się podejrzany.

Wszystko zaczęło się jakiś miesiąc temu, kiedy zepsuł się wieszak.

- Kup jakiś wieszak, jak będziesz wracał z pracy - powiedziała najlepsza z żon.

Przez kilka następnych dni wracałem z pracy różnymi drogami, a żadna nie przebiegała w pobliżu sklepu z wieszakami. Miałem nadzieję, że kupię ten wieszak w piątek, ale w czwartek najlepsza z żon powiedziała:

- Obiecałeś cztery dni temu kupić wieszak i co?

Wieszak kupiłem w poniedziałek, ale sprawa nie była zakończona. W środę najlepsza z żon zrelacjonowała znajomym ze szczegółami historię kupowania wieszaka. Można by sądzić, że kupowałem go pół roku, a nie przez głupi tydzień.

Od tej pory co chwila napotykałem zadziwiające przykłady fenomenalnej wręcz pamięci najlepszej z żon.

- Bombelek jest wspaniałym mężem - zawiadomiła pewnego razu Kazików. - Oczywiście zdarzają mu się wpadki. Na przykład nie mogłam się doprosić, żeby naprawił spłuczkę w ubikacji albo przynajmniej zadzwonił po fachowca.

Zamarłem przy stole, a kawałek ciasta utkwiał mi w gardle.

- Ależ kochanie - wybełkotałem. - Spłuczka zepsuła się nam w starym mieszkaniu, w okolicach stycznia 1998 roku!

- No właśnie - najlepsza z żon kiwnęła główką. - O tym mówię. Całe tygodnie musieliśmy sobie radzić bez spłuczki. Rozumiecie sami, że to dość uciążliwe - popatrzyła porozumiewawczo na Kazików.

Narzeczona Kazika pokiwała potakująco głową i spojrzała na mnie z potępieniem.

Zupełnie nie pamiętałem zdarzenia ze spłuczką, ale sądzę, że te tygodnie były raczej dwoma czy trzema dniami. Kiedy wygłosiłem tę uwagę, spotkałem się z karcącym spojrzeniem Kazika. „Mężczyzna nie powinien unikać odpowiedzialności” - zdawał się mówić wzrok.

Pamięć najlepszej z żon najwyraźniej kwitła, co udowodniło spotkanie z Roszkami. Zacząłem wręcz podejrzewać, że potajemnie prowadzi pamiętnik. Co prawda nadal nie pamiętała swojego numeru PIN ani naszego kodu pocztowego, ale znała na wylot wszystkie

moje potknięcia.

- Od razu mówiłam, żebyśmy sprzedali wszystkie dolary - opowiadała Roszkom. - Mieliliśmy zaskórniaki na czarną godzinę, a teraz przydałyby się pieniądze na szafę. Mówiłam mu: Sprzedajmy te dolary i kupmy szafę. A teraz dolary spadły.

- No, stary - pokręcił głową Roszko. - Rzeczywiście trzeba było sprzedawać. Teraz dolary stoją cieniutko.

- Ale analizy w ogóle na to nie wskazywały - broniłem się rozpaczliwie. - Sam mówiłeś, że dolar nie spadnie.

- A ja powtarzałam: Trzeba sprzedać dolary i kupić szafę - kiwała głową najlepsza z żon.

- Ależ kto to mógł przewidzieć! - argumentowałem. - „The Economist” wspominał o szansie na wzrost kursu.

- A teraz nie stać nas na szafę - podsumowała najlepsza z żon.

Następne tygodnie wcale nie były lepsze. Najlepsza z żon zapomniała wypełnić PIT i posunęła się do tego, że wyrzuciła nasze zaświadczenia o ulgach remontowych, biorąc je mylnie za rachunek z supermarketu, ale jeśli chodzi o mnie, zachowywała pamięć absolutną.

- Kochanie, obiecałeś w zeszły wtorek około siedemnastej, że kupisz ziemię do kwiatków.

- Mój drogi, dwa dni temu rano mówiłeś, że wyrzucisz wreszcie te stare listwy, i co?

- Mamy zepsuty internet, już od tygodni nie mogę wysłać z domu maila, a ty wciąż nic z tym nie robisz!

W zeszłym tygodniu postanowiłem się odciąć:

- Już od dwóch tygodni obiecujesz mi, że upieczesz ciasto, i co?

- Wypominanie to bardzo brzydki obyczaj - obruszyła się najlepsza z żon. - Nie odwracaj kota ogonem, tylko umyj wreszcie okna. Obiecujesz to od miesiący.

Wczoraj miałem sen. Leżą na łożu śmierci, dookoła stoją wnuki, prawnuki i najlepsza z żon. Chcą coś powiedzieć, ale najlepsza z żon nie daje mi dojść do słowa: „A mówiłam, że trzeba było wcześniej sprzedać te dolary! A w ogóle to nie leż tak i wstawaj. Obiecałeś mijuz miesiące temu, że wyskoczymy gdzieś na weekend”.

Pamięć absolutna

Najlepsza z żon nie lubi sobie robić zdjęć.

- Wolę pamięć, wspomnienia - tłumaczy to zjawisko i to tłumaczenie miałoby nawet jakiś filozoficzny wydźwięk, gdyby nie bezsporny fakt, że cojak co, ale najlepszą z żon znam jak zły szeląg. W istocie bowiem jest tak, że o ile zdjęcie pokazuje obiektywną rzeczywistość (i najlepsza z żon o tym wie), o tyle pamięć upiększy ją tak, że nic już nie zostanie z pierwotnego obrazu.

- Proszę, pomóż mi wstać od stołu - powiedziała najlepsza z żon rok temu w Wielką Sobotę. - Jeśli mi nie pomożesz, zostanę tu na wieki.

Przed nią piętrzył się stos półmisków, które najlepsza z żon ogołociła z szynek, kiełbas, baleronów, sałatek i chleba.

- Jutro już niczego nie tknę - powiedziała, opierając się na moim ramieniu. - Jakem ja.

Jutro podano jednak zupę chrzanówkę, specjalność mamy najlepszej z żon. Potem zaś były szynki, balerony, kiełbasy, ciasto drożdżowe i sernik.

- Naprawdę, Talko, jeszcze tylko ten kawałek sernika - powiedziała, łapczywie sięgając po ciasto, na moje oko piąty raz. - Po świętach się po prostu odchudzę już. Na pewno nie przybrałam więcej niż dwa kilogramy.

Zapewne była to prawda, ale następnego dnia na stół wjechały balerony, szynki, kiełbasy i sałatki z majonezem. Najlepsza z żon, pomna własnych obietnic, że w czasie świąt nie będzie siedzieć przy pełnych półmiskach, tylko odda się spacerom, rzeczywiście wstała od stołu. Potem obeszła go kilka razy, dobierając sobie na talerz. Początkowo jadła na stojąco, lekko drepcąc w miejscu, jednak po drożdżowym poczuła się nieco ociężała i usiadła. Wieczorem przeniosłam ją na posłanie.

Poświęteczna waga wskazała trzy kilo nadwyżki.

- Znasz moją silną wolę - powiedziała najlepsza z żon bez lęku. - Po prostu zrzuć to raz dwa. Jest taka dieta. Bananowa. Je się sześć bananów w ciągu dnia i się chudnie. Sam zobaczysz.

Rozmowa ta zdarzyła się wieczorem już następnego dnia zobaczyłem, jak najlepsza z żon zjada na śniadanie cztery banany. Po południu spałaszowała lody.

- To mój piąty banan dzisiaj - powiedziała.

- A lody?

- To tylko banan. Z lodami - odrzekła.

Wieczorem przyniosła sobie na kanapę cztery kanapeczki z szynką i pomidorkiem. Pomyślałem, że to ekwiwalent za jakiegoś szczególnie wielkiego szóstego banana, ale myliłem się. Zanim poszliśmy spać, najlepsza z żon zjadła jeszcze batonik i ulubione galaretki, by na koniec powiedzieć mi:

- Kochanie, zobacz, mam jeszcze całego szóstego banana do zjedzenia.

Po miesiącu diety bananowej waga wskazała, że najlepsza z żon złapała dodatkowy kilogram.

- Diety to bzdura - oświadczyła. - Po prostu ograniczę jedzenie. Najlepiej pieczywa.

Jak powiedziała, tak zrobiła: szynki i kiełbasy jadła jak nasi przodkowie, rwąc zębami z

dużych kawałów. W drugim dniu niejedzenia pieczywa zastałem ją z batonem w ręce.

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Ale się mylisz. Mogę sobie pozwolić na baton, bo nie jem pieczywa - wytłumaczyła.

Ostatecznie walka z kilogramami poświęconymi trwała blisko kwartał i zakończyła się sukcesem tylko dlatego, że najlepsza z żon zapadła na grypę i straciła apetyt.

Teraz przejdę do konkluzji. Tuż przed ubiegłorocznymi świętami Bożego Narodzenia najlepsza z żon na kolacji u Roszków, na której byli wszyscy nasi przyjaciele, podczas corocznej dyskusji o świątecznym obżarstwie powiedziała, absolutnie wierząc w to, co mówi:

- Na Wielkanoc naprawdę się objadłam. Ale w dwa tygodnie zrzuciłam dodatkowe kilogramy. Po prostu mam silną wolę. Powiedziałam sobie: „Moniko, po prostu nie jesz”. I niejadłam.

Wczoraj zaś z okazji kolejnych świąt wielkanocnych wydaliśmy dla przyjaciół kolację. Między mięsiwem a deserem rozmowa znów zeszła na świąteczne obżarstwo, nękające wszystkich zgromadzonych.

Najlepsza z żon otarła usta serwetką.

- W ogóle was nie rozumiem - powiedziała. - Ja po prostu mówię sobie: „Moniko, nie jedz dużo w święta”, i niejem. W zeszłym roku na Wielkanoc skubnęłam tylko trochę jajek. Na stole były ciasta, serniki, a ja nic. Poza tym dużo spacerowałam.

Podziwom nad jej silną wolą nie było końca. A już najbardziej podziwiałem ją.

Słomiany wdowiec

- Rozstania są po to, by zatęsknić i czekać powrotu - powiedziała pani Roszko. Staliśmy nad niedomkniętą walizką, Roszkowie i my, przyklaskując wszystkim zdaniom wygłaszanym przez panią Roszko. Ja osobiście byłem nieco zazdrosny.

- Ty również mogłabyś gdzieś wyjechać - wypomniałem najlepszej z żon. - Kto wie, może nawet zatęskniłbym do ciebie, a już na pewno podgonił z robotą.

W istocie to był prawdziwy powód wyjazdu pani Roszko - Roszko miał mnóstwo pracy i ani chwili czasu na życie rodzinne, z uwzględnieniem codziennej tęsknoty za panią Roszko.

Najlepsza z żon prychnęła i to był jej jedyny komentarz. Następnego dnia Roszko został słomianym wdowcem i już o siódmej rano zameldował się w pracy. O ósmej zwołał szefów działów na naradę w sprawie ciąg budżetowych, a o ósmej pięć odebrał SMS-a: „Tęsknisz za mną? Twój królik, który właśnie wstał i zjadł twarożek”.

Roszko poprosił o pomysły i pod biurkiem odpisał: „Tęsknią”.

O ósmej piętnaście: „Tylko tęsknią? Myślałam, że teraz, gdy mnie nie ma, tęsknisz za mną bardziej. A co jadłeś na śniadanie? Boja terazemjajko na miękko”.

Szef działu sprzedaży zażądał kategorycznej odpowiedzi na pytanie, co z wydatkami reprezentacyjnymi, akurat w chwili, gdy Roszko mozolnie stukał: „Kromkę chleba z wędliną, pomidorem i z masłem. Tęsknię oczywiście okropnie, budżet na reprezentację będzie zmniejszony”.

„Wcale o mnie nie myślisz - odpisała pani Roszko. - Jesteś w pracy”.

Sprawa wydatków reprezentacyjnych poruszyła wszystkich. Roszkojednąpięściąbił w stół, a drugą w klawiaturę: „Jestem”.

„A co dokładnie robisz? - zapytała pani Roszko. - Opisz mi tak, żebym to zobaczyła”.

Wieczorem wyciągnąłem Roszka do kina. Był to film akcji. Zasiadłem z popcornem, a Roszko z wibrującym telefonem. Film zaczął się od malowniczego wybuchu, który niemal wbił mnie w fotel.

„Gdziejesteś?” - zapytała tymczasem pani Roszko.

„W domu” - skłamał Roszko.

„Myślałeś o mnie?”

„Oczywiście”.

„A co myślałeś o mnie?”

- Przepraszam, Talko, podrzuć mi, co dziś myślałem o pani Roszko - trącił mnie Roszko. Strząsnąłem z siebie jego rękę. Film doszedł właśnie do pierwszego zwrotu akcji i każdy okazywał się nagle kimś innym, niż przypuszczałem.

- No to co myślałem? - wyszeptał Roszko.

- Tęskniłeś.

- To już było.

- Nie, tego jeszcze nie widziałem. Najlepszy pościg w życiu.

Ktoś syknął za nami.

- Mówię o pani Roszko - wysyczał Roszko.

Szczęśliwie dla niego film nieco wyhamowywał tempo w scenie lirycznej.

Spojrzałem na udręczoną twarz mojego przyjaciela.

- Napisz, że ją kochasz - powiedziałem. - To zawsze działa.

„Ale jak? Jak mnie kochasz?” - chciała wiedzieć pani Roszko.

„Namiętnie” - wstukał Roszko.

„Namiętnie było wczoraj” - oburzyła się pani Roszko.

- Talko, ratuj - błagał Roszko.

Następnego dnia rano, była to środa, Roszko miał jakąś ważną naradę, na której trzęsły się stołki, tak że musiał oburącz trzymać swój, i dlatego komórkę oddał sekretarce. Gdy wieczorem wpadł do nas na ciacho i kawę, jeszcze się z tego tłumaczył. Najlepsza z żon była nieco zła, gdy zamiast chwalić jej tort Sachera, marzył na balkonie, bo tylko tam był zasięg, i stukał wyjaśnienia.

- Macie pozdrowienia od pani Roszko - powiedział po godzinie, gdy wreszcie wrócił do stołu.

Najlepsza z żon przyjęła to chłodno.

Przez następne dni nie widziałem Roszka, sekretarka powiedziała mi, że wziął urlop. Zostałem go w domu, gdy chwiejąc się na konstrukcji z krzeseł, wycierał ścierką górę szafy. Wyglądał na wykończonego.

- Pani Roszko wraca za tydzień - powiedział, nie wypuszczając ścierki. - Muszę jeszcze wyczyścić kafelki w łazience, przybić listwę w pokoju, posegregować książki, wyprać tę pościel w kratkę, oddać jej wiosenny płaszcz do czyszczenia, wyjaśnić sprawę rachunku telefonicznego, wiesz, zawyżyli nam chyba w zeszłym miesiącu. Boję się, że się nie wyrobię.

Poszedłem sam do jego kuchni, zrobiłem sobie kawę i zasiadłem do lektury tygodnika. Roszko nie miał czasu, więc streszczałem mu co ciekawsze teksty. Po godzinie zastałem go na podłodze. Padł z wyczerpania. Komórka brzęczała.

„Czy myślisz teraz o mnie?” - pytała pani Roszko. - Na pewno za mną nie tęsknisz”.

„Myślę i tęsknię - odpisałem. Zastanowiłem się i dodałem: - Odliczam dni do twojego powrotu. Już nigdy nie rozstaniemy się na tak długo, kochanie. Ta tęsknota mnie wykańcza”.

Poszedłem po koc, przykryłem Roszka i cicho wyszedłem.

Najlepsza z żon powiedziała mi, że właśnie rozmawiała z panią Roszko. Podobno jej mężowi służą rozstania.

- Twierdzi, że Roszko stał się czuły i romantyczny - podsumowała najlepsza z żon. - Może ja też bym wyjechała na kilka dni?

Dam ci twarze za nazwisko

Felieton ten życzliwie dedykuję właściwym służbom zajmującym się handlem żywym towarem

W zacisznym kącie pubu nad dwoma zupełnie nie-ruszonymi kuflami piwa siedzieli Matti z Roszkiem tak pograżeni w rozmowie, że mogłem bezkarnie ich podsłuchiwać, stojąc tuż obok.

- Sprzedaj mi dyrektora finansowego tego banku - mówi Matti, przypalając Roszkowi papierosa. - W zamian oddam w pakiecie dwie popularne twarze.

- Jak popularne? - zainteresował się Roszko. - I do czego miałbym je wykorzystać?

- Och, stary - zachnął się Matti. - Popularne twarze. Człowieku, już zjedną selekcyonerzy, kłaniając się w pas, wpuszczą cię do każdego klubu w tym mieście! No i miałbyś spady, gdyby twarz nie chciała się pojawić na jednym czy drugim bankiecieku.

Roszko się zamyślił. Za oknem zachmurzyło się i zaczął padać śnieg, co napewno ująłbym w opowiadaniu, bo w felietonie to jednak element zbędny.

- Ten dyrektor to naprawdę ktoś - zaczął z wahaniem Roszko. - Dałem za niego projektantkę mody, własną gosposię i obiecującego prezesa firmy producenckiej. On sam, ten dyrektor, ma niesamowite wręcz kontakty.

Podobno wystarczy mu jeden pośredni telefon, żeby się skontaktować z... - zniżył głos i nie usłyszałem.

Matti nie wyglądał jednak na poruszonego.

- Za te jego kontakty i tak musiałbym dopłacić jakimś na przykład wizażystą, jeśli ten dyrektor ma żonę. Ale interesująca jest projektantka.

- To dobra inwestycja a - poparł go Roszko. - Teraz, wiesz, każdy chce mieć własnego kreatora, więc mógłbyś ją potem odsprzedać z zyskiem jakiejś wschodzącej gwiazdki pop albo...

Niemal widziałem pracujący w głowie Mattiego komputer. Błyskawicznie zestawiał projektantkę ze wszystkimi swoimi kontaktami. Powoli zacząłem rozumieć, o co chodzi.

- Ostatecznie zajmujesz się przecież kreacją wizerunku - przypomniał Roszko. - Gdybyś miał w pakiecie projektantkę, byłbyś bardziej konkurencyjny. Poza tym - dodał Roszko - to pierwszorzędną projektantką. Ubiera się tak, że od razu chcesz ją rozebrać.

Matti uniósł brew.

- Trafił mi się kiedyś fuks - zaczął - z koleżanką ze szkoły. Straszna mysz, nawet jej nie wystawiałem, bo miała po prostu sklep, marny zresztą. Aż któregoś dnia okazało się, że jej rodzony brat jest szyszka w Ministerstwie Finansów. Puściłem go w obieg i to właśnie za kontakt na niego załapałem pierwsze zlecenia. To co, poznasz mnie z dyrektorem? Może kolacja u ciebie? Ta sobota?

Roszko przysunął sobie piwo.

- Mnie też się trafił fuks, dawno, jeszcze na początku - powiedział. - Koleżanka mojej pani sprzątajacej. Z Ukrainy, dwa języki, szkoła muzyczna drugiego stopnia. Przyszła kiedyś w zastępstwie. Oddałem ją dyrektorowi wydawniczemu za kilka kolacji i pracę dla szwagra. Sobota jest OK.

W pubie zrobił się nagle straszny tłok. Trafiłem za filar, przyciśnięty brutalnie przez osiłka z tak wielkapięścią, że nie zależało mi na tym, by mnie przeprosił. Straciłem też wątek i byłbym już nie słuchał, gdybym nagle nie usłyszał swojego nazwiska.

- Talko? - wykrzywił się złośliwie Matti. - A cóżja za niego dostanę? Waciki?

Roszko zaoponował. Postanowiłem posłać pani Roszko kwiaty.

- Rzeczywiście Talko nie wypracował portfela atrakcyjnych kontaktów, ale on sam ma jakąś tam cenę, był raz czy dwa w telewizji - powiedział z przekonaniem. - Teraz można go puścić na poziomie gosposi albo, ja wiem, lekarza specjalisty. Kiedyś za Talkę dostałem kontakt na pediatrę, ale to była najwyższa stawka. Komuś zależało, żeby przeczytał opowiadania dziecka i się wypowiedział. Niestety, Talko dał plamę, bo powiedział, że dziecko to niech się gramatyki najpierw nauczy, a okazało się, że facet miał znajomych w ministerstwie. Ledwo się z tego wyplątałem. Ale teraz idzie w górę. Znowu ma być w telewizji, więc nabiera ceny, mimo że to telewizja śniadaniowa.

Poczułem, że słup zafalował mi przed oczami. To osilek czknął, aja wylądowałem niczym danie główne na stole między Mattim i Roszkiem.

- Tyle czasu! - ucieszył się obłudnie Roszko. - No, co tam u ciebie? Jakoś nie wpadaliśmy z panią Roszko, bo czasu nie było.

- Może w tę sobotę - zaproponowałem Roszkowi mściwie. - Wiesz, tylko wy i my, jak kiedyś.

Roszko to jednak Roszko. Anijeden miesiąc mu nie drgnął, gdy mówił.

- Sobota? Och nie. Przychodzi teściowa.

Mam nadzieję, że odpowiedni urząd zajmie się bulwersującymi przypadkami handlu żywym towarem, który budzi mój moralny sprzeciw. Powody osobiste, takie jak ambicja oraz to, że sam jestem towarem niecenionym, żeby nie powiedzieć przecenionym, nie mają tu nic do rzeczy. Z poważaniem: Życzliwy.

Na poważnie

Niedziela

Najlepsza z żon zauważyła, że ją izoluję.

- Izolujesz mnie - zauważyła.

Chodzi o to, że nie rozmawiamy ze sobą poważnie i nie wtajemniczam jej w swój męski świat, tak jak płacenie rachunków, naprawy samochodu, odsetki od kredytów i inne finansowe sprawy oraz pewne kwestie remontowe naszego mieszkania.

- Nie traktujesz mnie poważnie - powiedziała najlepsza z żon. - To znaczy jak partnera, a nie kuchnię przy garach i z obiadem w wazie.

Zasugerowałem, że to ja gotuję obiady w tym domu, a co do wazy, to jej nie posiadamy i to nie jest argument.

- Nie bądź niepoważny - zgasiła mnie najlepsza z żon i dodała enigmatycznie: - Wazę pojmuje przemożenie.

Wniosek jest taki, że mam ją wciągnąć i pozwolić jej uczestniczyć.

Poniedziałek

Cały wieczór zapoznawałem żonę z naszymi rachunkami. Siedzieliśmy na dywanie. Rozłożyłem na kupki wszystkie rachunki: osobno za mieszkanie, za prąd, za gaz, telefoniczny, za internet, za telewizję, wydruki z kart i te wszystkie, które musimy odkładać, bo je sobie odliczymy od podatku. Aż sam się zdziwiłem, ile mam tego na głowie. Małżonka ze skupieniem oglądała każdy i w zeszycie notowała znaki szczególne: ten za prąd jest pomarańczowy - napisała - a za telefon niebieski.

Wszystko dlatego, że postanowiła zająć się opłatami.

Po godzinie zadzwonił Kazik i chciał ze mną rozmawiać. Najlepsza z żon powiedziała, że teraz nie mam czasu, niech więc Kazik poprosi do telefonu swoją narzeczoną. Rozmawiały półtorej godziny.

Wieczorem chciałem zrobić kartkówkę ze znajomości rachunków, ale się wymówiła serialem o hrabim Monte Christo.

- Oj, nie mówisz poważnie - powiedziała, kiedy zapytałem zniechęca, czy uważa, że powinniśmy przewalutować kredyt. - Wymyśliłeś sobie to słowo. Przyznaj się.

Wtorek

Mówiłem jednak poważnie. Najlepsza z żon zgubiła zeszyty, a co najgorsze - połowę rachunków. W międzyczasie usiłowałem opowiedzieć jej o zleceniach stałych opłacanych z konta. Przez ostatnie dni poruszałem z nią kwestie inwestycji domowych i ich rozplanowania, tak żeby budżet to wytrzymał. Wyjąłem jabłko i wyjaśniałem budżet na tym przykładzie: kiedy się zje całe jabłko, to już się nie ma ani kawałka na potem.

Zjadłem całe jabłko, żeby udowodnić tezę.

- Zjadłem i nie ma - tłumaczyłem. - Tak samo z budżetem...

- Jak to nie ma - przerwała najlepsza z żon i wyciągnęła następnego jabłko z torby na stole i zaczęła zjadać. - Przecież widzę, że jest.

Środa

Wprowadziłem pojęcia: odsetki, debet i zapas finansowy. O zleceniach stałych

słuchała uważnie, a potem znalazła pod kanapą *Wszystko dla pań* Emila Zoli i już nie mogła się oderwać.

- Ja mam podzielną wagę, stary, no co ty - powiedziała.

Przytaknąłem.

- W banku musisz jutro zmienić zlecenie stałe, bo podniósł nam się czynsz - zacząłem. - Musisz mieć kartą identyfikacyjną, dowód osobisty i przede wszystkim znać PIN.

Kiwała głową, akcentując, że rozumie, i dyskretnie przerzucała kartki. Powieść traktuje o miłości i wielkim magazynie pełnym kuponów sukna, jedwabi, walenc jańskich koronek i innych wciągających kobiety przedmiotów.

- Potem - dodałem, przyglądając się, jak dostaje rumieńców - musisz złapać kasjera, zjeść jego serce, a PIN do twojej karty kredytowej napisz sprayem na murze. Zapamiętasz, co masz zrobić?

- Jasne. Dam sobie radę - odpowiedziała.

Piątek

Podobno pani Roszko też miała kiedyś tą chorobą, ale wcześniej. Natomiast narzeczona Kazika nigdy. Nie odkryliśmy przyczyny.

Sobota

Byliśmy u Roszków na imieninach pana Roszko. Podano na nich różne smakołyki, a najlepsza z żon zachowywała się wręcz wzorowo. Widać było, że słuchała tego, co jej mówiłem o kursach walut w kontekście kredytów. Powtórzyła parę zdań, a potem poszedłem do łazienki. Gdy wróciłem, Roszko robił herbatę w kuchni, a najlepsza z żon nurzała się w rozmowie z paniami na kanapie.

- Kryzys wieku średniego - mówiła. - Ogarnął go strach przed światem i niepewność własnych działań. Całe dni opowiada mi o kontaktach, finansach, bankach, terminach, szukając potwierdzenia swej męskości w moich oczach. To dość męczące tak słuchać dzień po dniu tych nudziarstw, ale staram się mu pomóc. Zwalczyć strach przed starością i wiążącym się z tym niedołęstwem.

Widziałem głowy kiwające się ze zrozumieniem.

- I to jego słownictwo, on te słowa wymyśla i nie wie, co znaczą. Na przykład dywersyfikacja ryzyka.

- To znaczy, że zamiast wkładać pieniądze do jednej skarpetki, wkładasz do kilku i nawet jak przyjdzie złodziej, to nie znajdzie wszystkich - popisał się Roszko.

- O właśnie - przytaknęła najlepsza z żon... - Wreszcie zrozumiałam, o co chodzi.

Nie chcę się nawet zastanawiać, o kim mówiła moja małżonka.

Kobieta Jamesa Bonda

Śniło mi się, że jestem Jamesem Bondem, wygrałem *casting* na tę rolę i od razu obsadzono mnie w sześciu odcinkach. Miałem ratować świat przed sadystycznymi milionerami, rozbrajać bomby atomowe, podróżować w łodziach podwodnych i nosić markowe ubrania, które nie gniotą się tak jak moje. Układy z ludźmi miałem znakomite, wszyscy w wywiadzie mnie lubili za poczucie humoru i błyskawiczne puenty, a M., który tym razem znów był mężczyzną, doceniał mój profesjonalizm i nie byłem zagrożony bezrobociem.

W biurze dużo ludzi na mnie pracowało, bo byłem najlepszy.

Otaczały mnie przystojne kobiety w bikini, które musiałem uwieść i robiłem to od ręki. One w ogóle były mnązachwycone.

Śniło mi się, że jestem Jamesem Bondem, dostałem już kontrakt, mój menedżer wynegocjował dla mnie znakomite warunki, miałem własnego kucharza, ale producentom nie spodobała się moja sylwetka i kazali mi się odchudzić. Odtąd kucharz podawał mi jedynie kalafióra z wody. Na *casting* na kobietę Bonda zgłaszały się różne piękności. Przyglądałem się im, pijąc drinka przyniesionego przez dziewczynę od drinków, i nawet ona miała torebkę od Prady. Te piękności, które chciały być moimi dziewczynami, robiły wszystko, żeby dostać rolę, jedna nawet próbowała mnie uwieść, ale ja nie miałem nic do gadania, bo i tak wszystko trzymał w garści producent i to on wybierał.

Mogłem trochę pokrzywić się na swoją rolę i ponarzekać, ale któregoś razu, gdy chciałem zmienić scenę, producent powiedział, żebym się zamknął, bo jest dużo facetów, którzy chcą grać Bonda. Dziewczyna od drinków przyniosła mi szklaneczkę i jakoś przeżyłem ten dzień.

Śniło mi się, że jestem Jamesem Bondem, mam na sobie te wszystkie markowe ubrania, a w scenariuszu znam się na wszystkim, od przyrządzania ziemniaka po prowansalsku po technologię kosmiczną, ale moją dziewczyną jakimś cudem została najlepsza z żon, a ona ciągle zapomina śmiać się z moich puent. Najgorsze są jednak te dni, kiedy gramy skomplikowane sceny ucieczki z łodzi podwodnej. Najlepsza z żon w złotym bikini majedynie przedostać się na dziób, żeby wyłączyć reaktor atomowy, odciąć dopływ powietrza i włączyć zasilanie awaryjne. Po tym wszystkim przychodzi, bo akurat zabiłem mojego rywala, i puentuję scenę. Z najlepszej z żon jest jednak żadna aktorka i ja, James Bond, mylę się z Leszkiem K. Talko.

- Jaki reaktor mam wyłączyć, do diabła?! - mówi na przykład. - Skąd mam wiedzieć, jak to się wyłącza, i w ogóle mówisz do mnie za szybko, a ja, kurczę, nie wiem, czerwony guzik czy niebieski. Nigdzie nie chodź, tylko sam to sobie wyłączaj, ja tu bez ciebie na pewno nie zostanę, w życiu nie widziałam reaktora, trzeba czasu, żeby się nauczyć, sam go sobie wyłączaj. Dzisiaj jeszcze ani razu nie powiedziałeś, że mnie kochasz, pani Roszko mówiła, że stałeś się oziębły.

Mówię, że ją kocham, potem mówię puentę ze scenariusza, ale ona jest już obrażona o ten reaktor i o awaryjne zasilanie, którego też nie włączyła, bo nie wie, co to jest. Ja się wściekam, cały mój *image* Bonda szlag trafia i nawet ta dziewczyna od drinków jest

zniesmaczona.

Potem gramy prostą scenę końcową. Najlepsza z żon, wciąż w złotym bikini, ma powiedzieć: „Och James”, a potem mamy się osunąć w głąb wielkiego łóża.

- Nie będę mówić nic tak głupiego - zarzeka się najlepsza z żon. - Zrobimy tak: ty powiesz, jak bardzo mnie kochasz, aja na to osunę się do tego łóża i powiem: „Kochanie, poproszę filiżankę herbaty. I daj mi pilota”.

Kątem oka widzę, jak sanitariusze wynoszą reżysera, i ktoś mu robi sztuczne oddychanie.

Śniło mi się, że jestem Jamesem Bondem. Film z moim udziałem wszedł na ekrany. Sceny z najlepszą z żon trochę poprawiono i całość wygląda bardzo znośnie. Pierwszego dnia po premierze przyjmuję gratulacje wszystkich moich przyjaciół, a następnego dnia Edzio Obst depcze mnie w recenzji, że taki ze mnie Bond, jak z żaby ogier i możeja się znam na robieniu jajeczniczy, ale na budowaniu roli na pewno nie. Roszko w ogóle się do mnie nie odzywa, bo w żadnym momencie go nie pozdrowiłem, zwłaszcza wtedy, gdy już po akcji ląduję z najlepszą z żon w łóżu Ludwika XVI, wtedy miałem dużo czasu i mogłem bezgłośnie chociaż powiedzieć: „Roszko”, to jest charakterystyczny ruch warg, Roszko by to pojął.

- Stary, za taki numer straciłbym kontrakt - mówię mu, ale on jest obrażony i narzeka, że się zmieniłem i sukces mi uderzył do głowy.

Kazik też mnie unika. Słyszał od Roszka, że zachowałem się jak świnia, a na dodatek w filmie reklamowałem różne towary, takie jak zegarek Omega, który mam zawsze na ręce i w kadrze, a on, Kazik, uważa to za niemoralne, również dlatego, że nie ma nic z tych towarów. Nic nie maw sensie pieniędzy, bo on omegi nie produkuje. Układy z ludźmi mam coraz gorsze, wszyscy mówią, że mi się w głowie przewróciło i myślę sobie, że jestem Bóg wie kim, inie dostaje już ani jednego SMS-a, a najominamój widok przechodzą na drugą stronę ulicy.

Śniło mi się, że jestem Jamesem Bondem. Wygrałem *casting* i od razu dostałem rolę w sześciu odcinkach. Menedżer załatwił mi świetny kontrakt, a ja się budzę i mówię do najlepszej z żon:

- Znów mnie męczył ten nocny koszmar.

Damski bokser

Pojęcie damski bokser funkcjonuje w świadomości pozostających w wolnym stanie obywateli jako określenie mężczyzny, który oszałamia kobietę prawym prostym, a ona jest przekonana, że to jazda figurą na lodzie. Co innego żonaci.

Według żonatych, takich na przykład jak ja, damskim bokserem jest nikt inny tylko żona, dajmy na to najlepsza z żon, która mnie wychodzącego właśnie z kąpieli i przekonanego, że gramy debla w tenisa, nokautuje sierpowym:

- Bo ty nigdy nie odkładasz rzeczy na miejsce i zawsze zostawiasz mokrą podłogę w łazience. Poza tym ciągle nie naprawiłeś kontaktu i jeszcze się nie zdarzyło, żebyś zapytał, czy nie jestem zmęczona!

- Ale przecież wczoraj odłożyłem te cholerne rzeczy!

- Wczoraj się nie liczy, bo ty nigdy nie odkładasz i zawsze robię toja.

- Ale wczoraj...

- A trzy tygodnie temu w środę o siedemnastej? Odłożyłeś śrubokręt? Ten czerwony!

- Nie pamiętam.

- No właśnie, ty nigdy nie pamiętasz!

- Ale nie brałem czerwonego.

- Ciągle bierzesz czerwony!

- Mam jeszcze niebieski, a ten czerwony pożyczyłem Roszkowi miesiąc temu, więc nie mogłem...

- Tak! Jeszcze się nie zdarzyło, żebyś mi powiedział, że coś komuś pożyczasz!

Trzy lata małżeństwa zajęło mi zrozumienie, że właściwie już po pierwszym ciosie jestem liczony i każda próba podniesienia się do walki to oczywista porażka. Jeden wieczór z Kazikiem wyjaśnił mi, dlaczego tak się dzieje.

- Posiadanie wielu narzeczonych pozwoliło mi na wyciągnięcie wniosków ogólnych. Otóż one wygrywają, bo sobie zabierają wszystkie słowa - powiedział Kazik, gdy razem leczyliśmy dusze, oglądając w empiku pisma, które balibyśmy się przynieść do domu.

- Rozumiesz, te wszystkie „zawsze”, „nigdy”, „bo ty” i tak dalej. Narzeczona mi mówi: „Bo ty jesteś męskim szowinistą”. Ja na to: „Tak, bo ty jesteś...”, a ona zaraz w krzyk: „Tylko nie mów do mnie «bo», bo tego nie lubię, to mnie obraża, a ty zawsze mówisz «bo»”. Na toja: „To ty zawsze”, a ona: „Nienawidzę słów «zawsze» i «nigdy», nigdy ich nie używam!” Więc ja na to: „Jak to nigdy?”, a ona: „Dlaczego wciąż powtarzasz nigdy?!” Rozumiesz?

Przyznałem, że nie za bardzo, choć rozmowa wydała mi się znajoma - jakbym słyszał najlepszą żon.

- Stary - powiedział Kazik z westchnieniem, odkładając na półkę magazyn z blondyną na okładce - chodzi tylko o te słowa. One są jak karabiny. Niczego nieświadomy oglądasz telewizję, a twoja żona przychodzi i cię z nich rozstrzeliwuje, ajak chcesz oddać serię z własnego kałusza, to mówi: „Jestem przeciwko używaniu broni palnej!” Jak możesz strzelać. Ty na to, że właśnie oberwałeś serią, a ona, że nie dotyka się karabinu. Ty na to, że masz dowody, a ona, że nie ma łusek, trupa, ciała, nic. Ty patrzysz i rzeczywiście:

dowody zniknęły.

Nareszcie zrozumiałem.

Najlepsza z żon krążyła po kuchni w znakomitym nastroju. Rumiany biszkopt chłodził się na stole.

- Co, znowu biszkopt? - zapytałem odprogu. - Dlaczego ty zawsze robisz tylko biszkopty?

- Kochany - powiedziała zaskoczona - przecież chciałeś.

- Tak, bo ty nigdy nie robisz nic innego, to co miałem chcieć?

- Ale ja zawsze...

- Och, jeszcze się nie zdarzyło, żebyś mi przyznała rację bezjakiegoś ale. No, zdarzyło się? Może w zeszłym roku, co? Zawsze tylko „ale, ale, ale”... Nigdy: „Tak, masz rację”. I nie mów: „zawsze”, dobrze? - powiedziałem, gdy żona zaczęła otwierać usta. - Przecież widzę, że chciałaś powiedzieć „zawsze”. A ja nie mówię o zawsze, tylko o biszkopcie, że go zawsze robisz.

W tamtej chwili żałowałem, że ktoś nie kręci w naszym domu jakiejś dokumentalnej telenoweli - to byłby mój życiowy sukces: scena, w której najlepsza z żon zamarła z otwartymi ustami, gotowymi powiedzieć „zawsze”. Zjadłem biszkopt, który uwielbiam, i jako zwycięzca w nagrodę przyznałem sobie godzinę muzyki arabskiej na *fuli*, której ona nie znosi. I kiedy pławiłem się tak w boskich dźwiękach, najlepsza z żon przyszła z kartką białą jak pokojowa flaga.

- OK - powiedziała. - To umówmy się, że jak robimy kłótnię, twoje jest „zawsze” i „jeszcze się nie zdarzyło”, a moje „nigdy” i „ciągle”.

- Bo ty zawsze mówisz „nigdy” - zacząłem próbnie.

- Nigdy nie mówią „zawsze” - odparła.

- Ciągle - powiedziałem.

- Jeszcze się nie zdarzyło - odparła. - OK, działa.

Edzio sto złotych Obst

Będzie to opowiadanie o Edziu Obście, zapoznanym krytyku, któremu przydarzyła się niezwykła odmiana losu.

Stało się to w piątkowy wieczór, gdy prowadząca program telewizyjny miała pani poprosiła Edzia o krótką wypowiedź w sprawie literatury polskiej. Stało się tak, ponieważ kilku innych zaproszonych do dyskusji znawców tematu zjadło cały czas antenowy na wyrafinowane dyskusje o kondycji literatury i dla biednego Edzia zostało już tylko trzydzieści sekund.

Siedzieliśmy przed telewizorem - najlepsza z żon i ja- trzymając za niego kciuki.

- Panie Edziu, krótko podsumowując - powiedziała miała pani - czym jest polska literatura współczesna?

- Jest jak fasolki wszystkich smaków - wydukał Edzio wprost do kamery (dwadzieścia sekund). - Na prawdę wszystkich (siedem sekund).

- Dziękuję za rozmowę - powiedziała panienka.

Występ Edzia pozostał bezpłatny, nie licząc mojego telefonu po programie:

- Wpadnij do nas jutro na herbatę - co jest jednak pewną gratyfikacją.

Nie przyszedł. Już od rana rozdzwoniły się telefony i kalendarz Edzia na dwa miesiące zapełnił się terminami występów w telewizji. Oszalałemu z zazdrości Roszkowi tłumaczył, że nie wie, jak to się stało, niemniej jednak już po kilkujego publicznych występach dało się zaobserwować pewną metodę. W poniedziałek rano, gdy zaproszeni eksperci próbowali na wszystkie sposoby odpowiedzieć na pytanie, czym jest nasza zgrzebna polska rzeczywistość w aspekcie ostatnich wydarzeń (nieważnejakich, rzeczywistość bowiem zawsze jest zgrzebna), zasadził się na koniec dyskusji, by wreszcie wypalić:

- Nasza rzeczywistość jest jak świąteczna choinka, choć wciąż świeci, to więdnie i opada.

Prosto ze studia przeniósł się do programu literackiego, w którym rozważano właśnie, czym jest powieść pewnego modnego pisarza. Edzio, który jeszcze nie zdążył jej ode mnie pożyczyć, rzucił okiem na opasłe tomisko.

- Tapowieść jest jak bigos, ale nie na mięsie, tylko na wodzie - powiedział Edzio i wyszedł do programu kulinarnego, w którym napytanie, czym jest polska kuchnia, odpowiedział:

- Polska kuchnia jest jak *Stara baśń*, a tymczasem świat poszedł już naprzód.

Popyt na Edzia w telewizji pobił wszelkie rekordy. Wkrótce Edzio wysiekł z rynku konkurencyjnych ekspertów i komentatorów. Ostatnio w programie gospodarczym wyjaśnił, czym są dla obywateli wysokie stopy procentowe („Wysokie stopy procentowe są jak spodnie, które cisną w kroku i nie pozwalają iść. Trzeba ten krok obniżyć”).

Ta wypowiedź wywołała skoki na giełdzie i trzy komentarze wysokich urzędników, z których żaden nie był jednak tak błyskotliwy jak Edzio i jego późniejsza riposta („Nie znam się na krawiectwie, ale wiem, czym są moje kieszenie”).

Sam Edzio dawno już porzucił nudne pisanie recenzji. Zamiast tego buchnął mi z biblioteczki przysłowia japońskie i jeszcze wyklócał się, że muszę mu zapłacić stówę, jeśli

chcę usłyszeć dlaczego.

- Stówa za minutowy występ - powiedział mi bezczelnie. - Za dłuższą wypowiedź sto pięćdziesiąt złotych.

Trzeba było interwencji najlepszej z żon, by zaczął mówić za darmo.

- Ekspert w istocie nie musi się znać na niczym - wyjaśnił mijak komu głupiemu. - Zresztą nikt nie oczekuje, że ktokolwiek w pół minuty powie coś mądrego o tym, dlaczego wybuchają wojny, albo czym jest dzisiejszy świat i dlaczego rozpadają się rodziny. Wszystko jedno, czym jest i dlaczego. Byle to powiedzieć krótko i błyskotliwie. Dlatego daj mi teraz te japońskie przysłowia, bo za tydzień mam program o tym, czym jest szczęście. Japończycy już ten temat przerobili.

Rzeczywiście, pokazał się. Był to program dla młodzieży szkół średnich. Oprócz Edzia przy okrągłym stole siedziało dwóch filozofów, którym nie dane było jednak powiedzieć ani słowa. Mówił Edzio.

- Czym jest szczęście? Szczęście jest jak piękna kobieta. Trzeba nauczyć się ją dostrzec przed pierwszym kieliszkiem wina. Czym jest kobieta? Kobieta jest wszystkim. Czym jest wszystko? Wszystko jest nadmiarem, na który nie działają krople żołądkowe. Dziękuję.

Przyznam, że był taki moment, gdy zaapelowałem do Edzia, by wrócił do swojej dawnej skóry krytyka. Edzio słuchał mnie nieuważnie, lustrując moją półkę z nowościami.

- Sto złotych i program bez cięć - powiedział. - Ekspert jest jak posiadacz kamienia filozoficznego. Dzięki niemu wszystko zamienia w złote. Sto pięćdziesiąt złotych, jeśli mam jeszcze puentować.

Postanowienia noworoczne

Wybaczenie nie jest w modzie, odkąd z anteny zniknął program *Wybacz mi*. Sam chciałem wziąć w nim udział i poprosić o wybaczenie Roszka za to, że zadzwoniłem do niego o północy, żeby zapytać, czy nie umówiliśmy się na dwudziestą na piwo, aprzy okazji pozdrowić ciocię, znajomych i Gosię, narzeczoną piaskownicy. Niech wie, co straciła. Niestety, Roszko mnie przejrzał i zawiadomił, że jeśli to zrobię, to zgłosi mnie do programu *Tylko miłość*.

Sprawa przycichła aż do sennego, przyprószonego śniegiem wieczoru, gdy siedzieliśmy z Roszkami i Kazikami i tradycyjnie zastanawialiśmy się, co zrobić z sylwestrem i Nowym Rokiem.

- Koniecznie musimy zrobić postanowienia noworoczne - powiedziała nagle pani Roszko. - Na przykładja bym chciała, żeby w nowym roku podłoga w łazience nie była wiecznie zachlapana.

- Nie liczy się, nie liczy - zawołał Roszko. - Musisz wymyślić coś takiego, co sama zamierzasz robić.

- Zamierzam nie zachlapywać podłogi. Mam nadzieję, że wtedy będzie sucha. No, chyba że kto inny ją zachlapie - popatrzyła oskarżycielsko na Roszka.

Zapadła chwila niezręcznego milczenia, w którą wstrzeliła się narzeczona Kazika.

- A ja zamierzam wybaczyć.

- A komu? - zainteresowałem się.

- Na przykład tobie - narzeczona Kazika uśmiechnęła się uroczo.

- Ale co takiego? - zdumiałem się.

- Już ty sam wiesz najlepiej - narzeczona Kazika pogroziła mi palcem. - Poza tym wybaczę też panu Roszko. Wszystkim wybaczę. Nawet pani Roszko wybaczę. Co prawda wylała mi czerwone wino na ulubioną bluzkę i musiałam ją wyrzucić, ale co mi tam.

- Ojej, kiedy? - zdziwiła się pani Roszko.

- Nie pamiętasz? Byliśmy na plotkach w kawiarni, na wiosnę. Zagapiłaś się na tego szalowego bruneta i powiedziałaś, że ma świetną pupę, o niebo ładniejszą od pana Roszko, bo nie obwisa.

- Co takiego? - pan Roszko aż podskoczył. - Komu obwisa?

- No i wtedy właśnie wylałaś mi wino na bluzkę. Bardzo drogą, ale wybaczam ci. I wybaczam Kazikowi. Kochanie, byłam na ciebie wściekła, że poszedłeś sobie z Talką i Roszkiem na ten striptiz, ale już mi przeszło.

Trudno sobie wyobrazić, co się działo potem. Najlepsza z żon i pani Roszko zaczęły się przekrzykiwać i rzucać różnymi znajdującymi się pod ręką przedmiotami, podczas gdy my z Roszkiem usiłowaliśmy wyjaśnić, że to zupełnie co innego, że wpadliśmy tylko do kolegi, który miał wieczór kawalerski i ktoś zamówił mu striptizerkę, ale my jej nawet ubranej nie widzieliśmy, więc nie ma co mówić o rozebranej, bo weszliśmy tylko na chwilę, a Basia przyszła o północy.

Niestety, nie przyniosło to spodziewanego efektu, bo, jak zauważyła pani Roszko, skąd niby wiedzieliśmy, kiedy przyszła ta striptizerka, skoro jej nie widzieliśmy, i skąd

wiedzieliśmy, jak miała na imię.

Wieczór skończył się tak sobie. Jak mawiał pewien mędrzec, jutro też jest dzień i tak dalej. Po kilku dniach sprawa przycichła i nasze żony zajęły się kontemplacją nowych sweterków. Niestety, przy okazji kolejnego spotkania narzeczona Kazika uśmiechnęła się szeroko i wypaliła:

- Nic się nie martwcie. Naprawdę wam wybaczyłam. Nic a nic nie żałuję tej bluzeczki. I zupełnie nic mnie nie obchodzi to, że chodzicie na striptiz.

-Ale my nie... - usiłowałam przerwać.

- A tobie wybaczam, że obgadałaś mnie, że wyglądam fatalnie w tej małej czarnej kupionej w butik - narzeczona Kazika wyciągnęła palec w stronę najlepszej z żon. - Pani Roszko szczegółowo mi powtórzyła, co mówiłaś. Było mi bardzo przykro, ale co mi tam. Rzeczywiście wyglądałam grubo.

- Nie grubo, tylko chciałam powiedzieć, że chyba lepiej ci w czerwieni, ale to nie znaczy, że w czerni źle, tylko tak oryginalnie - tłumaczyła się najlepsza z żon, rzucając mordercze spojrzenia na panią Roszko.

- A co tam, nie szkodzi - narzeczona Kazika machnęła ręką. - Muszę lecieć. Ja wszystko zapomniałam.

Ostatnie dni przed sylwestrem były koszmarem. Gdy tylko któreś z nas natykało się na narzeczoną Kazika, ta głośno potwierdzała swoje niezłomne noworoczne postanowienie i zapewniała, że wszystko wybaczyła i zapomniała.

Czerwonyjak burak uciekłem z kawiarni, kiedy narzeczona Kazika uznała za stosowne raz jeszcze wybaczyć mi ten nieszczęsny striptiz. Najlepsza z żon ledwo umknęła z autobusu. Nawet Kazik zaczął zdradzać pewne oznaki rozstroju nerwowego.

- Wybaczam wam, ale wy też musicie mi wybaczyć, jeśli macie o coś pretensje - powiedziała narzeczona Kazika przy okazji kolejnego spotkania. - Każdy musi mieć noworoczne postanowienie.

- Nie wybaczę ci - rzuciłem olśniony własną inteligencją.

- Taaak? Znakomicie - obruszyła się narzeczona Kazika. - Też ci nie wybaczę.

Od tej chwili mamy spokój. Jak mawiał Sun Tzu (a może był to znany filozof Domestos?), pobij przeciwnika jego własną bronią.

Małżeństwo

Ludzie często pytają mnie, jak to jest być idealnym małżeństwem. Długo się wówczas zastanawiam, po czym z mądrą miną wygłaszam jakąś złotą myśl: „Małżeństwo to jak spacer po różanym polu - piękne, ale czasem kłuje” albo „Małżeństwo jest jak pociąg InterCity - najważniejsza jest dobra miejscówka koło wagonu restauracyjnego”.

Prawda leży jednak gdzie indziej.

Rano dzwoni budzik i najlepsza z żon mówi sennym głosem:

- Wstanę i nakarmię Juniora.

Mógłbym obrócić się na drugi bok i zasnąć, ale przecież wiem, że gdybym to zrobił, najlepsza z żon miałaby pretensje, że ja śpię, a ona karmi Juniora, mimo że przecież sama to zaproponowała. A więc o co chodzi?

- Zostań w łóżku, ja wstanę - mówię. Karmię Juniora, a najlepsza z żon z zasępioną miną wpatruje się w szafę.

- Nie mam się w co ubrać - mówi najlepsza z żon i zastyga z wyczekującą miną.

Mógłbym oczywiście nic nie mówić, ale przecież wiem, czego się ode mnie oczekuje.

- A ta mała czarna... - zaczynam.

- No wiesz, przecież się w nią już nie mieszczę. Strasznie utyłam - obrusza się najlepsza z żon.

Ponownie mógłbym nic nie mówić, bo przecież widzą, że to nieprawda, ale znam moje mążowskie zadania, więc bohatercko brną dalej:

- Ależ skąd! Kochanie, wcale nie utyłaś!

- Wciąż mi powtarzasz, że schudłam - najlepsza z żon oskarżycielsko wyciąga palec.

No tak, zawsze do tego dochodzi i - co najgorsze

- ona ma rację. Przecież dla mężczyzny to oczywiste, że nie można codziennie chudnąć, ale i nie można codziennie tyć. Co robić? Jak wybrnąć? Nie mogą jednak powiedzieć, że wciąż jest równie szczupła, chociaż tak właśnie jest. Mówią więc:

- Wydaje mi się, że wyglądasz znacznie szczuplej.

- Naprawdę tak myślisz? - zastanawia się najlepsza z żon.

Przecież gdyby codziennie była szczuplejsza, nawet tylko o dziesięć gramów, to do dziś w ogóle by znikła

- mój analityczny umysł pracuje na najwyższych obrotach. Trzy kilo sześćdziesiąt pięć deka rocznie to przez siedem lat daje ponad dwadzieścia pięć kilogramów, czyli w przypadku najlepszej z żon utratą ponad połowy masy ciała. Nie ma mowy, żeby ktokolwiek to przeżył, no a przynajmniej ktoś, kto jak najlepsza z żon waży czterdzieści dziewięć kilogramów. Nikt przy zdrowych zmysłach nie oczekuje chyba, że bym mógł potwierdzić takie rzeczy.

- Jestem stuprocentowo pewny - zaklinam się.

- A gdzie najbardziej schudłam? - pyta najlepsza z żon.

Rany boskie! Co teraz? Czysty totalotek. Wczoraj powiedziałem, że na brzuchu, i było pudło. Okazało się, że według najlepszej z żon na brzuchu wcale nie schudła. Ba, może nawet utyła. Wydaje mi się, że jest bardzo szczupła, ale jak to powiem, będzie afera, że się

nią nie interesuję i lekceważęj problemy. Strzelam:

- Wydaje mi się, że znacznie schudły ci nogi.

- Serio?! A gdzie najbardziej?

Trafiłem, trafiłem! Udało się! Teraz tylko nie wolno popsuć efektu.

- Zdecydowanie tam na górze, tak, na górze.

Przecież nie powiem, że w kolanach. Mam pięćdziesiąt procent szans, że trafię. Zobaczymy.

- Wiesz, też mi się tak wydaje - mówi najlepsza z żon.

Oddycham z ulgą, ale to dopiero pierwsza wygrana bitwa. Potem najlepsza z żon rozmawia przez telefon z przyjaciółką i relacjonuje mi z wypiekami na twarzy niesamowitą historię, z której wynika, że jakaś Baśka, która, zdaje się, wcześniej chodziła z jakimś Jankiem, teraz ma nowego faceta i została wegetarianką, i co ja na to. Dla mnie Baśka może chodzić z obydwojema naraz albo nawet w ogóle przestać jeść, ale przecież tego nie powiem.

- Wiesz, to straszne z tym Jankiem - mówię współczująco. - Szkoda faceta.

- A nie sądzisz, że też powinniśmy zostać wegetarianami? - pyta najlepsza z żon.

Dobre sobie. A kotleciki indyjskie? A zrazy z grzybami, nie wspominając o szynce parmeńskiej? Nigdy w życiu, po moim trupie!

- To wspaniały pomysł. Czytałem, że człowiek robi się zdrowszy, no a poza tym chudnie - mówię.

- Zaczynamy od dzisiaj - zapala się najlepsza z żon. - Na kolację zjemy marcheweczkę, a jutro na śniadanie jogurcik i pomidora.

Kiwam głową. Zjemy tę marcheweczkę, a jutro i tak zrobię zrazy. Powiem, że szkoda, żeby się zmarnowały, i zaczniemy być wegetarianami w przyszłym tygodniu. Zawsze tak robię.

Kiedy idziemy już spać, najlepsza z żon szarpie mnie nagle za ramię i pyta:

- Jak myślisz, czy ja się w ogóle nadaję na dziennikarkę?

Jest już po północy i bardzo chce mi się spać. Oboje pracujemy w tym zawodzie już kilkanaście lat i nawet by mi nie przyszło do głowy pytać o takie rzeczy, zwłaszcza o tej porze.

- Wiesz, to bardzo ciekawe - zapalam światło. - Porozmawiajmy o tym. Sądzę, że jesteś świetna. Piszesz wspaniałe reportaże. Twoje felietony są o wiele dowcipniejsze niż moje.

- Naprawdę tak myślisz? - pyta najlepsza z żon.

- Tak - zapewniam.

Najlepsza z żon zasypia. I wtedy nagle mi się coś przypomina. Coś, co nie może czekać do rana:

- A jak myślisz, jaki powinienem sobie kupić aparat fotograficzny? Raczej kompakt czy może lustrzanekę?

Najlepsza z żon zapala światło:

- A jak wyglądają? - pyta.

- Lustrzanka mierzy światło przez obiektyw, ma system luster, chyba pentagonalny, a za to kompakt jest mniejszy - tłumaczę.

- Ale jak wyglądają - pyta znowu najlepsza z żon.

- Lustrzanka jest taka czarna, kanciasta, a kompakt może być czerwony albo niebieski, z tymże jakością zdjęć...

- Bierz kompakt - decyduje najlepsza z żon i zasypiamy.

Ludzie czasem pytają nas, skąd bierzemy pomysły na te felietony.

To głupie pytanie.

Redakcja: Magdalena Petryńska Korekta: Maria Fuksiewicz, Alicja Chylińska Redakcja techniczna: Urszula Ziętek

Projekt okładki i stron tytułowych: koniec_kropka Fotografia na I stronie okładki: z archiwum domowego autorów

Wydawnictwo W.A.B. 02-502 Warszawa, Łowicka 31 tel./fax (22) 646 01 74,646 01 75,646 05 10,646 05 11 wab@wab.com.plwww.wab.com.pl

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne Piaseczno, Żółkiewskiego 7 Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca S.A., Kraków

ISBN 83-7414-144-1

Spis treści

[Spotkanie](#)

[Ekscytujące życie](#)

[Dlaczego kobiety mają makijaż w łóżku](#)

[Człowiek dobrej roboty](#)

[Ogląd Roszka](#)

[Cokolwiek, kochanie](#)

[Bądź sobą](#)

[Po co nam żony i przyjaciele](#)

[Po prostu Bolek](#)

[Ostatnie pocieszenie](#)

[Rzeczywistość wirtualna](#)

[Zbrojne ramię](#)

[Domowe doznanie ekstremalne](#)

[Wywiad debiutanta](#)

[Osoba mnoga](#)

[Tematy do konwersacji](#)

[On mnie uwielbia](#)

[Poltergeist](#)

[Śmiechu warte](#)

[Czego pragną kobiety](#)

[Wiele hałasu o nic](#)

[Posiedzenie esemesowe](#)

[Tornado w domu](#)

[Ale imprezka, co?](#)

[Spodek o imieniu Zocha](#)

[Sztuka kompromisu](#)

[Komórka do wynajęcia](#)

[Niemoralna propozycja](#)

[Księgowość w domu](#)

[Witajcie w ciężkich czasach](#)

[Sen nocy wigilijnej](#)

[Wielki tenis](#)

[Kolanko](#)

[Jestem, jaka jestem](#)

[Pan łowi](#)

[Męskie pragnienia](#)

[Szerokie horyzonty](#)

[Męska duma](#)

[Reisefieber](#)

[Nie być stokrotką](#)

[Wizyta](#)

[Miałem kiedyś sen](#)

[Parabola](#)

[Popatrz na jego](#)

[Królik](#)

[Sąsiadka](#)

[Na pozycjach](#)

[Dzień Świstaka](#)

[Literatura kobieca](#)

[\(Bez\)względność pamięci](#)

[Pamięć absolutna](#)

[Słomiany wdowiec](#)

[Dam ci twarzę za nazwisko](#)

[Na poważnie](#)

[Kobieta Jamesa Bonda](#)

[Damski bokser](#)

[Edzio sto złotych Obst](#)

[Postanowienia noworoczne](#)

[Małżeństwo](#)